

Matura

Z „MARCINKA”

MATURA

1973

Matura

Mu
Z „MARCINKA”
MATURA
1973

Mu
Z „MARCINKA”
MATURA
1973

Poznań 2023

Zespół redakcyjny
Maria Bąk-Ziółkowska, Ryszard Dembiński, Magdalena Gumna,
Jolanta Koprucka-Purol, Andrzej Krauss, Renata Kurka,
Maria Piaskowska-Woźniak, Irena Sarnowska-Wroczyńska, Elżbieta Wajda

Copyright © by Andrzej Krauss i zespół redakcyjny: My z „Marcinka”.
Matura 1973

Projekt okładki: Andrzej Jeziorkowski

Zdjęcia z archiwów prywatnych, drukowane za zgodą autorów.

ISBN 978-83-964638-3-8

Wydawca:
Stowarzyszenie Wychowanków Gimnazjum i Liceum
im. Karola Marcinkowskiego
w Poznaniu

Druk i oprawa:
perfekt

Poznań 2023

*Pamięci Profesorów, Koleżanek i Kolegów,
którzy odeszli
i Tym, którzy mogą świętować Jubileusz
50. rocznicy matury*

Spis treści

Skąd ten pomysł, czyli o genezie wydania	9
Toast rocznika '73 z okazji 50-lecia matury	13
Absolwenci rocznika 1973	17
Nauczyciele rocznika 1973	27
KLASA A	37
KLASA B.	59
KLASA C	87
KLASA D	113
KLASA E.	133
KLASA F.	147
KLASA G	177
„Ja sportu żadnego nie..., ale wędrówka zawsze tak!”	199
O moich korzeniach i wspólnotach	213

Skąd ten pomysł, czyli o genezie wydania

BYŁO LATO ROKU 2022, CZERWIEC. Zadzwoił telefon i na ekranie zobaczyłem „Barnaba komórka” – pod takim hasłem mam zapisany numer Profesora Gerarda Sowińskiego. Okazało się, że nasz Barnaba z rocznym wyprzedzeniem informował o „drugim spotkaniu roczników jubileuszowych w drugim stuleciu działalności «Marcinka»”, dotyczącym absolwentów z lat 1953... 1973... 2018. Pozornie nie było w tym nic niezwykłego, bo spotykamy się w Szkole regularnie co 5 lat, by powspominać i bawić się do późnych godzin nocnych (konia z rzędem temu, kto chciałby w taki dzień zorganizować własną imprezę w którejś z poznańskich restauracji; nie ma wolnych miejsc, „Marcinek” się bawi!). A jednak ta wiadomość była inna, szczególna, bo Barnaba raczył przypomnieć, że dla rocznika 1973 jest to okrągła, 50. rocznica matury. Mowę mi odebrało. Najpierw przemknęła myśl, że Barnaba się pomylił. Przecież nie jest możliwe, aby tak szybko minęło tyle lat. Nauczony odejmowania i dodawania oraz innych działań matematycznych przez Paździora, szybko policzyłem – Barnaba miał rację. Jednak prawdziwym powodem, dla którego zadzwonił, nie było ani wskazanie daty kolejnego spotkania roczników, ani chęć zmuszenia mnie do spojrzenia w lustro (czytaj: we własny pesel), lecz zachęcenie do wydania książki z serii *My z „Marcinka”*.

I tak to się zaczęło, powoli i ślamazarnie. Pierwsze spotkanie przedstawicieli wszystkich klas odbyło się dopiero na początku grudnia 2022 r. Zaczęliśmy gromadzić biogramy, wspomnienia, dokumentację fotograficzną, kompletować listę nauczycieli i absolwentów naszego rocznika. Do Koleżanek i Kolegów (nie do wszystkich udało się dotrzeć) zwróciliśmy się z prośbą o nadsyłanie swoich biogramów, wspomnień oraz opisów szkolnych wydarzeń, które zapadły im w pamięć. Wszystkim tym, którzy odpowiedzieli na nasz apel, a tym samym stali się współautorami tej publikacji, serdecznie dziękujemy.

Przekazywane do rąk Czytelników opracowanie stanowi zbiór wspomnień. Zawiera też listy nauczycieli i absolwentów rocznika oraz uczniów poszczególnych klas. Jest ilustrowane licznymi fotografiami ze szkoły, z wycieczek i obozów, a także z kroniki klasowej.

Alfabetycznie zestawiona lista nauczycieli informuje m.in. o okresie ich pracy w szkole i nauczonym przedmiocie; w miarę możliwości jest wzbogacona krótkimi biogramami. Nie zdołaliśmy sporządzić biogramów wszystkich nauczycieli mimo pomocy wieloletniego nauczyciela historii w „Marcinku” Profesora Zbigniewa Lesickiego oraz mrówczej pracy koleżanki Joli Kopruckiej-Purol.

Lista absolwentów całego rocznika obejmuje 271 nazwisk uporządkowanych alfabetycznie (w przypadku Koleżanek – nazwisk panińskich). Przy 261 nazwiskach zaznaczono „przynależność klasową” – od A do G, natomiast z powodu braku wiarygodnych danych dla 10 osób nie zdołaliśmy tego ustalić.

Listy uczniów z podziałem na poszczególne klasy obejmują także nazwiska Koleżanek i Kolegów, którzy nie zdawali matury w „Marcinku” z rocznikiem 1973. Autorskie noty biograficzne sporządziły osoby, do których udało nam się dotrzeć i które zechciały je przygotować.

Wspomnienia z czasów młodości, opisy zapamiętanych wydarzeń szkolnych oraz biogramy absolwentów zostały zamieszczone in extenso i są sygnowane imionami i nazwiskami autorów.

W korekcie tekstu i redakcji opracowania pomagała nam mgr Paulina Kaczmarek, także absolwentka „Marcinka”, obecnie redaktor Wydawnictwa Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, a Jacek Grześ-

kowiak z wydawnictwa Scriptor opracował layout i przygotował publikację do druku.

Przy redagowaniu informacji o gronie pedagogicznym czerpaliśmy wiedzę z wydawnictw rocznicowych Stowarzyszenia Wychowanków Gimnazjum i Liceum im. Karola Marcinkowskiego (seria *My z „Marcinka”*, opisująca kolejne roczniki maturalne oraz rocznice Szkoły), ze strony Stowarzyszenia (myzmarcinka.pl) oraz z archiwów Liceum. Wielką pomocą w ich opracowaniu służył Profesor Zbigniew Lesicki, który jest autorem biogramów profesorskich na stronie Stowarzyszenia.

Dziękujemy Pani Profesor Marii Wallis-Stiasny za przedstawienie w formie wywiadu swojej biografii, Panu Profesorowi Henrykowi Krzyżanowskiemu za podzielenie się wspomnieniami o swoich „korzeniach i wspólnotach” oraz za napisanie specjalnie dla nas okolicznościowego „Toastu”.

Podziękowania kierujemy również do Profesora Gerarda Sowińskiego za ową skuteczną „zachętę” do wydania kolejnej książki z serii *My z „Marcinka”* oraz do Zarządu Stowarzyszenia Wychowanków Gimnazjum i Liceum im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu za dobre rady i wskazówki oraz wsparcie finansowe wydania „Matura 1973”.

W imieniu Zespołu Redakcyjnego
Andrzej Krauss

Toast rocznika '73 z okazji 50-lecia matury

Jak każda rzecz na świecie
Miał cnoty i felery.
Dla mnie najbliższy przecie
Rocznik '54*
Chłopczy dumni i mroczni
Piękne jak sen dziewczyny
Powtórzę – był to rocznik
Najlepszy i jedyny.
Matura, żegnaj szkoło!
Czas ruszył, w mgnieniu oka
Półwiecza pełne koło
Minęło i epoka.

Za szkolną bramą światek
Dosyć był zakręcony –
Ni nędza, ni dostatek
W kolorze, cóż, czerwonym.
Choć już nie było *trendy*
Lenina być lizusem,

* Autor toastu dla maturzystów '73 odnosi się tutaj do daty urodzenia tychże, stąd „rocznik '54”.

Lecz pierwomajskie spędy
Wciąż były pod przymusem.
A choć się śmiały z tego
W gumiakach grube chłopki
Jeszcze, tak, tak, kolego,
Jeździłeś na wykopki.
Ze złotym niewymiennym
Miałeś się czuć jak żebrak.
Tak, był to świat odmienny,
Choć paski MIAŁA zebra.
No i, mimo usterek,
W tym świecie prawdą szczerą
Było: homo to serek,
Zaś ślub tylko hetero.

Na szczęście dziejów tryby
Kręcić się jęły wartko.
By w końcu, nie na niby.
Wyborczą dać nam kartkę.
Jan Paweł, Solidarność
Patrole w noc grudniową;
Myślałeś nie na darmo
Szkolili cię wojskowo.

Co dzień praca, rodzina
Zaś *pro publico bono*
W nadliczbowych godzinach
Powalczyć mogłeś z WRON-ą.
W ciekawych życie czasach
Podobno jest jak przeciąg,
Lecz co się liczy: kasa
Czy to, co powiesz dzieciom?

Byliśmy młodszy nieco
I jakby lepsze zdrowie
Więc kiedy lata lecą
Trzymajmy się panowie
I panie – dla was toast
I serca bicie zwawsze.
Kochajmy się, zawołam,
Jak wtedy, dziś i zawsze!

Henryk Krzyżanowski
nauczyciel klas A i G,
wychowawca klasy G

Absolwenci rocznika 1973

Adamska Joanna (Chłapowska)*, klasa E
Adamski Ireneusz, klasa E
Anczewski Jarosław[‡], klasa D
Andrzejewska Urszula (Klemt), klasa G
Augustyniak Daria (Adamowicz Zydorczyk), klasa C

Barszczewski Ireneusz, klasa A
Bartoszewski Tadeusz[‡], klasa D
Baszyńska Mariorita (Gnatowska), klasa G
Bąk Maria (Bąk-Ziółkowska), klasa E
Bednarek Wiesław, klasa A
Bekasiak Zbigniew, klasa A
Bem Wanda (Bem-Piechocka), klasa A
Białkiewicz Ewa (Florek), klasa D
Biernacki Dariusz[‡], klasa E
Bitner Anna[‡] (Nowak), klasa B
Bittner Ryszard Jacek, klasa E
Biwojno Krzysztof, klasa C

* W nawiasach podano aktualne nazwiska kobiet.

[‡] W ten sposób oznaczono osoby zmarłe przed wydaniem niniejszej publikacji.

Błaszak Edward[†], klasa B
Błaszkiwicz Grażyna[†] (Zarzyńska), klasa F
Brózda Tadeusz, klasa B
Bujałowski Włodzimierz, klasa F
Bukowska Danuta (Bamber), klasa B
Byrt Wiesław, klasa D

Caliński Piotr, klasa F
Chlebowicz Maria (Zielonka), klasa E
Chojnacka Urszula, klasa A
Chojnacka Maria (Habasińska), klasa G
Chwirot Elżbieta[†], klasa G
Ciszek Jerzy, klasa F
Ciemnoczołowska Ewa (Cicha), klasa D
Ciesielski Marek, klasa D
Cieślak Barbara (Tschuschke), klasa C
Cymiński Jacek, klasa E
Czajka Krystyna, klasa B
Czamańska Renata (Kurka), klasa D

Degler Magdalena (Nowak), klasa E
Dembiński Ryszard, klasa C
Derwich Lidia (Derwich-van Deurzen), klasa F
Deskur Aleksander, klasa A
Dłużniewska Barbara, klasa A
Dobrowolski Witold[†], klasa E
Dobrzyńska Magdalena, Witecka, klasa F
Duchowski Leszek, klasa G
Duffek Bożena (Chudy), klasa B
Durkalec Jadwiga (Halwa), klasa D
Dzięcioł Zbyszko[†], klasa G
Dziwisz Dariusz, klasa A

Eicke Mariusz, klasa B

Fenrych Agnieszka Monika (Brunarska), klasa C
Florek Andrzej, klasa D
Frencel Marek, klasa A
Fuk Hanna (Jarzęcka), klasa F

Garbarek Ilona (Giemza), klasa C
Gądziński Andrzej[†], klasa B
Geisler Aleksandra (Dardas), klasa B
Gerwel Tadeusz*
Gessner Marian, klasa F
Gierkowska Irena (Pietrzykowska), klasa E
Gieryn Piotr, klasa G
Grabski Michał, klasa G
Grycza Barbara, klasa C
Grzelaczyk Barbara (Kolasińska), klasa A
Grzesiak Michał[†], klasa D
Grzesik Ewa[†] (Ziemska), klasa F
Grzybowski Marek, klasa D
Guziałek Piotr, klasa B
Gwizdowski Witold, klasa D

Hałas Andrzej, klasa G
Harasymczuk Jerzy, klasa A
Heizler Grażyna (Calińska), klasa C
Hejduk Hanna (Hejduk-Kusza), klasa A
Henschke Maciej, klasa B
Hołyńska Anna (Pawlak), klasa G
Hunek Elżbieta (Kowalska), klasa G

Jagodzińska Maria (Woźniak), klasa B
Jagustyn Barbara (Strzyżewska), klasa D
Jakubiak Joanna (Sawicka), klasa E

* Przy niektórych nazwiskach nie podano klasy. Dotyczy to osób, których przynależności do klasy nie udało się ustalić.

Jakubowski Tomasz, klasa D
Janiak Piotr, klasa A
Jankowiak Włodzimierz, klasa C
Jankowski Andrzej, klasa G
Jankowski Krzysztof[†], klasa G
Jaroszyk Maria (Lewowicka), klasa C
Jemiałkowska Jolanta (Szurkowska), klasa B
Jenek Jacek, klasa E
Jesionkowska Bożena, klasa A
Jopp Bolesław[†], klasa B
Jowiec Liliana, Madelska, klasa G
Józwiak Andrzej[†], klasa B
Juchniewicz Alicja (Meisner), klasa B
Junik Roman, klasa C
Juszczak Jakub[†], klasa E
Juwa Lucyna (Śliwińska), klasa F

Kachlicki Zbigniew, klasa C
Kaczmarek Ewa (Hubski), klasa C
Kaczmarek Przemysław, klasa C
Kalemba Hanna[†] (Kozak), klasa C
Kałmuczak Maria (Nikonczuk), klasa G
Kamińska Barbara, klasa A
Kamiński Janusz, klasa A
Karpińska Lidia (Jazdon), klasa A
Kaźmierowska Ewa, klasa A
Kędzierska Jolanta, klasa F
Kędziora Roman, klasa G
Kielbasiewicz Alicja (Frąckowiak), klasa D
Kienitz Włodzimierz[†], klasa C
Kiszka Stefan[†], klasa F
Knapik Mariola (Barker), klasa F
Kóčka Andrzej, klasa D
Kokociński Wojciech[†], klasa B
Koprucka Jolanta (Koprucka-Purol), klasa B

Koralewska Anna (Koralewska-Skibińska), klasa E
Korcz Andrzej, klasa C
Korcz Barbara (Sapota), klasa B
Kościński Piotr, klasa G
Kotowicz Janusz[†], klasa F
Kowal Piotr, klasa E
Kowalczyk Ewa (Łukomska), klasa E
Kowalka Grażyna, klasa C
Kozak Marek[†], klasa F
Kozłowska Anna (Skołuda), klasa F
Krauss Andrzej, klasa B
Krawiec Janusz, klasa F
Kryzstofowicz Dorota (Adamczak), klasa G
Krzyszowska Alina (Krzyszowska-Lellouche), klasa E
Kubiak Jerzy, klasa C
Kubiak Krystyna, klasa G
Kubisiewicz Adam, klasa A
Kufel Wiesława (Pacholczyk), klasa G
Kultys Mirosław[†], klasa E
Kurpiński Krzysztof, klasa B
Kurzawski Jakub, klasa F

Lehmann Małgorzata, klasa G
Lewczuk Waldemar
Lewicki Paweł, klasa A
Liersch Magdalena (Gumna), klasa F
Linette Katarzyna (Łacisz), klasa E
Loba Urszula[†] (Florczak), klasa F
Lula Michał, klasa A

Łada Małgorzata
Łacka Katarzyna, klasa B
Łopieński Janusz, klasa D
Łożyńska Barbara (Dondajewska), klasa A
Łukasik Ewa, klasa F

Łukowski Waldemar, klasa A

Maćkowiak Arkadiusz, klasa G

Maćkowiak Janusz[†], klasa E

Maćkowiak Paweł, klasa B

Madelski Krzysztof, klasa G

Maj Andrzej, klasa G

Makowska Jadwiga (Urbanek), klasa B

Małłek Tomasz, klasa D

Matuszak Włodzimierz, klasa F

Matuszczak Wojciech, klasa D

Matysiak Halina[‡] (Kostecka), klasa F

Michalczak Wiesława (Miątkowska), klasa B

Michalska Danuta (Grundwald), klasa C

Miziniak Waław, klasa E

Moderski Jerzy, klasa E

Morzy Tadeusz, klasa D

Mroczyk Barbara

Musielak Maria, klasa G

Musielik Mariola, klasa A

Nowaczyk Jerzy, klasa C

Nowaczyk Piotr, klasa C

Nowaczyk Michał, klasa E

Nowak Michał, klasa B

Nowakowski Aleksander, klasa A

Olejniczak Maria (Romanowska), klasa B

Olejniczak Stefania (Jarzębska), klasa C

Organista Piotr, klasa B

Parzuchowska Iwona

Pawołek Zofia (Przybylska), klasa G

Perzyński Bogdan, klasa G

Piaskowska Maria (Woźniak), klasa A

Przybył Bogusław[†], klasa C
Przybysz Judyta (Walentowska), klasa D
Przygoda Grażyna
Przysiecka Katarzyna (Nowak), klasa B
Pyda Przemysław, klasa D

Rachocka Dorota, klasa F
Rakiewicz Małgorzata (Kędziora), klasa A
Rakowski Marek, klasa C
Ratajczak Marek, klasa F
Ratajski Leszek, klasa F
Ratajszczak Małgorzata, klasa A
Rejewska Lucyna, klasa E
Reszel Izabela
Reszelska Elżbieta (Wajda), klasa G
Rogacz Hanna (Zielińska), klasa B
Rogała Michał[†], klasa D
Rokosz Marian, klasa C
Rostek Krzysztof, klasa E
Rusinek Maciej, klasa D
Rybarska Anna (Koczorowska), klasa C
Rybczyński Marek, klasa G
Rybicki Marian, klasa A
Rychlewski Jacek, klasa B

Sadowska Zofia (Margi), klasa F
Sarnowska Irena (Sarnowska-Wroczyńska), klasa A
Sarzyńska Iwona (Mikulska), klasa B
Sawiński Krzysztof, klasa C
Siatkowski Tomasz[†], klasa B
Sierakowska Katarzyna
Sierakowski Bartłomiej, klasa G
Silska Jolanta (Silska-Hańupka), klasa F
Siwa Alina (Ratajczyk), klasa C
Siwek Bogdan

Skotuda Maria (Ślusarska), klasa D
Skommer Krzysztof, klasa A
Skrzypczak Sabina (Full), klasa F
Skrzypek Ewa (Antkowiak), klasa C
Słomski Krzysztof, klasa E
Sobczak Michał[†], klasa G
Sobierajska Barbara[†] (Sobierajska-Clay), klasa D
Soliński Leszek[†], klasa B
Sołtysiak Grzegorz, klasa D
Sroka Mirosław, klasa C
Stachowiak Elżbieta (Simon), klasa B
Stankiewicz Józef, klasa F
Stankowska Elżbieta (Fellmann), klasa E
Stasińska Barbara (Stasińska-Krzyś), klasa F
Stemerowicz Roman, klasa F
Stężycka Ewa, klasa D
Strzelbicka Ewa[†] (Fenrych), klasa E
Stuligrosz Maria, klasa C
Sysiak Ewa, klasa B
Szczepaniak Włodzimierz, klasa A
Szłęczak Andrzej, klasa F
Szmeja Krystyna, klasa D
Szmytkowski Piotr, klasa F
Szocińska Dorota (Cywińska), klasa G
Szocińska Elżbieta (Charmier-Ciemińska), klasa G
Szpunar Janusz, klasa A
Szymański Ryszard
Szymendera Hanna (Nowaczyk), klasa C

Śliwińska Katarzyna, klasa A

Tatarska Anna[†] (Morzy), klasa G
Tatarska Lucyna (Kierzek), klasa G
Terlecki Krzysztof, klasa D
Tomczak Marek[†], klasa A

Tubacki Marek[†], klasa C

Twardowski Marek, klasa B

Urban Iwona, klasa A

Wajcht Marek, klasa B

Wajda Jeremi, klasa D

Wański Hubert, klasa F

Warszawski Maciej[†], klasa D

Weber Magdalena (Weber-Faulhaber), klasa F

Weinert Wojciech, klasa A

Wejman Konstanty, klasa D

Wiącek Urszula (Łukuć), klasa G

Wikarjak Teodozja, klasa D

Wolny Hanna (Wolny-Delavoie), klasa F

Woźniak Elżbieta (Staderska), klasa B

Wójciak Krzysztof, klasa C

Wroniak Hanna, klasa G

Wrześniowska Wiesława (Wrześniowska-Sołtysiak), klasa F

Wysocka Anna (Bręborowicz), klasa D

Zajac Alfred (Adamczewski), klasa F

Zajdler Maria, klasa E

Zajdlewicz Beata (Musierowicz), klasa C

Załuska Anna, klasa D

Zarzyński Grzegorz, klasa F

Zawadzki Ryszard, klasa A

Ziarkowska Ewa (Rosińska), klasa G

Zielonka Jolanta (Mucha), klasa C

Zimmer Wiesław, klasa C

Zimna Elżbieta (Deskur), klasa A

Nauczyciele rocznika 1973

Grono dyrektorskie

LUDWIK GRAJA (1907–1985), dyrektor w latach 1959–1972

Nauczyciel języka francuskiego i logiki. Po okresie dyrektorowania nadal pracował jako emeryt do 1974 r. Zainicjował współpracę szkoły z UNESCO oraz rozszerzone nauczanie języka francuskiego. W szkolnictwie średnim pracował od 1928 r. Podczas drugiej wojny światowej działał w tajnym nauczaniu. Wielokrotnie przedstawiał dorobek szkolnictwa ogólnokształcącego na konferencjach międzynarodowych.

Pochowany na cmentarzu junikowskim.

CZESŁAW SKRZYPEK (1931–1992), dyrektor w latach 1972–1981

Nauczyciel propedeutyki nauki o społeczeństwie.

Pochowany na cmentarzu junikowskim.

ANTONI DORUCH, zastępca dyrektora w latach 1960–1970

HELENA SIKORSKA, zastępca dyrektora w latach 1970–1971

LUDWIKA WILCZYŃSKA, zastępca dyrektora w latach 1971–1976

Pozostali nauczyciele

TADEUSZ BARTOSZEWSKI (1934–1986), uczył w latach 1963–1977

Nauczyciel wychowania technicznego.

Pochowany na cmentarzu miłostowskim.

BAK HIERONIM (1902–1984), uczył w latach 1956–1972

Nauczyciel łaciny i języka niemieckiego. W 1931 r. ukończył Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Poznańskiego, uzyskując kwalifikacje nauczyciela szkół średnich w dziedzinie filologii klasycznej i historii starożytnej. Przed wojną uczył historii starożytnej i łaciny w Państwowym Gimnazjum Męskim im. ks. Jana Opolskiego w Tarnowskich Górach. W latach 1945–1956 uczył w V liceum im. Klaudyny Potockiej w Poznaniu oraz w Liceum Zgromadzenia Sacre-Coeur w Pobiedziskach. W latach 1956–1972 związany z I Liceum im. Karola Marcinkowskiego.

Ojciec czworga dzieci. Jego syn Marek jest absolwentem „Marcinka” z 1951 roku.

Pochowany na cmentarzu miłostowskim.

JADWIGA BROŻEK, nauczycielka biologii w latach 1971–1974

JADWIGA BROŻKO, nauczycielka biologii w latach 1970–2004

ANNA BURCHARDT, nauczycielka wychowania fizycznego w latach 1968–1991

KRYSTYNA CHMIELEWSKA (1914–2000), uczyła w latach 1965–1972

Nauczycielka języka francuskiego, pseudonim Kobyła.

Pochowana na cmentarzu junikowskim.

ADELA CIEMNOCZOŁOWSKA, nauczycielka języka niemieckiego w latach 1969–1970

ANTONI DORUCH (1905–1985), uczył w latach 1960–1970

Nauczyciel matematyki i wicedyrektor szkoły.

Pochowany na cmentarzu górczyńskim.

MARIA DROBNIK (1928–2018), uczyła w latach 1963–1983 oraz 1998–1999

Nauczycielka języka francuskiego, pseudonim Drobnička. Po wojnie ukończyła gimnazjum we Wrześni, gdzie również zdała maturę. Studiowała filologię romańską na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, a po likwidacji tego kierunku na UAM ukończyła studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Bezpośrednio po studiach pracowała w Liceum Ogólnokształcącym w Obornikach Wlkp. oraz w Technikum Mleczarskim we Wrześni. Od 1963 roku aż do emerytury pracowała w I Liceum Ogólnokształcącym im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, gdzie uczyła języka francuskiego.

GABRIELA DRZEWIECKA (1909–2000), uczyła w latach 1957–1972

Nauczycielka fizyki i matematyki, pseudonim Drzazga. Pracowała również na emeryturze w latach 1972–1985. Pochowana na cmentarzu junikowskim.

AGNIESZKA DUCZKO-PATER (1904–1981), uczyła w latach 1945–1970

Nauczycielka języka angielskiego, francuskiego i niemieckiego. Pochowana na cmentarzu junikowskim.

BOGDAN FRANKOWSKI, nauczyciel języka polskiego w latach 1971–2004

ANTONI GROCHOWAŁSKI (ur. 1939), uczył w latach 1967–1976

Nauczyciel muzyki. W 1977 r. uzyskał stopień doktora na UAM, a w 1989 r. profesora ówczesnej Akademii Muzycznej. Tytuł profesora belwederskiego przyznano mu w 1995 r. Od 1978 r. był związany z Akademią Muzyczną w Poznaniu, pełnił funkcję kierownika Katedry Wychowania Muzycznego i dziekana wydziału (1984–2012). Był też dyrektorem chóru Wydziału Dyrygentury Chóralnej, Edukacji Muzycznej i Muzyki Kościelnej (1995–2012). W Marcinku przez lata dyrygował szkolnym chórem. Ci, co w nim śpiewali, wiedzą, że było ciężko, ale z sukcesami.

JAN GRZEGORZEWSKI (1914–2008), uczył w latach 1968–1973

Prowadził zajęcia z wychowania plastycznego. Ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Był aktywnym twórcą jako malarz, rzeźbiarz i grafik. Jego syn Iwo także jest absolwentem „Marcinka”. Pochowany w Poznaniu na cmentarzu przy ul. Nowina.

WIKTOR HAGLAUER (ur. 1931), uczył w latach 1954–1989

Jest absolwentem „Marcinka”. Ukończył AWF w Poznaniu, uzyskując tytuł mgr wychowania fizycznego. Był koszykarzem reprezentującym kraj w wielu rozgrywkach, często z sukcesem. Nauczając w „Marcinku”, równocześnie trenował I-ligowy zespół koszykówki w Klubie Lech Poznań. Był też trenerem piłki ręcznej (AZS) i wioślarstwa (KW 04). Wielokrotnie – zarówno jako zawodnik, jak i trener – zdobywał laury mistrzowskie. W 90-lecie urodzin Profesora, z inicjatywy grupy wychowanków, sali gimnastycznej nadano jego imię i odsłonięto tablicę pamiątkową.

IZABELLA HERMANOWSKA, nauczycielka języka polskiego i propedeutyki nauki o społeczeństwie w latach 1961–1973

PAULETTE JAGODZIŃSKA (1935–2015), uczyła w latach 1968–2000

Nauczycielka języka francuskiego, pseudonim Pauletta. Klasy z poszerzonym językiem francuskim istniały w „Marcinku” od 1962 r. W 1971 i 1972 r. szkoła została wyróżniona przez UNESCO organizacją obozu dla uczniów polskich i francuskich. Obóz zorganizowano w Gnieźnie, a jego kierowniczką była Profesor Paulette Jagodzińska. W 1990 r. Ambasada Francji w Warszawie zaproponowała, by w pięciu liceach w Polsce, w tym w I Liceum im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, powstały sekcje dwujęzyczne. Prawdziwą matką sekcji dwujęzycznej była oczywiście Profesor Paulette Jagodzińska. Pracowała nad programem nauczania języka francuskiego dla klas „zero” oraz szkoleniami dla nauczycieli. Pierwszy rok szkolny sekcji dwujęzycznej rozpoczął się w 1991 r. Pochowana w Białej koło Trzcianki.

ZYGMUNT JAKUBOWSKI (1924–2018), uczył w latach 1951–1987

Nauczyciel matematyki, pseudonim Paździor. Absolwent „Marcinka”, matura 1947 r. W latach 1947–1951 studiował matematykę na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Wykształcił 10 laureatów olimpiad. Był niekwestionowanym postrachem szkoły, ale wszyscy jego uczniowie bez wyjątku dostawali się na studia techniczne.

Pochowany na cmentarzu miłostowskim.

MARIA JASINIAK, nauczycielka biologii w latach 1971–1995

DANUTA KACZMAREK, nauczycielka matematyki w latach 1963–1981

Pochowana na cmentarzu junikowskim.

WIESŁAWA KRANZ (1915–1994), nauczycielka chemii w latach 1960–1975

HENRYK KRZYŻANOWSKI (ur. 1946), uczył w latach 1969–1974

Nauczyciel języka angielskiego i francuskiego. Po okresie pracy w „Marcinku” został pracownikiem naukowym, uzyskał tytuł doktora i został zatrudniony na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza i Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu. Zajmuje się także tłumaczeniami. Jako działacz Solidarności na Uniwersytecie był internowany w latach 1981–1982.

ALEKSANDER KULCZYK (1930–1982), nauczyciel wychowania technicznego w latach 1967–1982

Pochowany na cmentarzu górczyńskim.

ZBIGNIEW LESICKI, uczył w latach 1973–2018

Jest absolwentem „Marcinka”. Najstarszy stażem profesor liceum, prowadził lekcje historii i wiedzy o społeczeństwie.

Aktywnie działa w Stowarzyszeniu Wychowanków i Absolwentów I LO w Poznaniu. Zainicjował i przygotował wiele biogramów nauczycieli „Marcinka” na potrzeby Stowarzyszenia.

ZOFIA LEWICKA (1926–2000), uczyła w latach 1953–1983

Nauczycielka języka polskiego. Maturę zdała w okresie drugiej wojny światowej w Wilnie, w ramach tajnych kompletów. Na początku lat 80. była współinicjatorką odprawiania w listopadzie każdego roku, w rocznicę śmierci Patrona, mszy św. w Kościele św. Wojciecha, w intencji Szkoły oraz zmarłych pracowników i wychowanków. 12 lutego 1983 r., wracając w godzinach wieczornych ze szkolnej studniówki, na przejściu dla pieszych została potrącona przez samochód, co spowodowało trwałą niepełnosprawność.

Pochowana na cmentarzu junikowskim.

MAŁGORZATA ŁĄCZKOWSKA, nauczycielka języka rosyjskiego w latach 1967–1995

IRENA MACIEJEWSKA-KLECZEWSKA, nauczycielka fizyki w latach 1970–1973

MARIA MAKÓWNA (1905–1993), uczyła w latach 1945–1973

Nauczycielka historii, nazywana przez uczniów Marylką.

W 1931 r. uzyskała dyplom magistra filozofii w zakresie historii na Uniwersytecie Poznańskim. Pracę nauczycielki rozpoczęła w Prywatnym Gimnazjum Żeńskim Aleksandry Słomińskiej w Poznaniu. Podczas wojny zaangażowana była w tajne nauczanie na terenie Poznania. Od lutego 1945 r. rozpoczęła pracę jako historyk w I LO w Poznaniu. Była ponadto działaczką ZHP i opiekunką Błękitnej Czternastki.

Pochowana na cmentarzu miłostowskim.

ANTONI MROZEK (1920–2010), uczył w latach 1950–1987

Uzyskał tytuł magistra wychowania fizycznego w Studium Wychowania Fizycznego w Poznaniu. Nauczyciel wychowania fizycznego, a przez pewien czas również języka rosyjskiego. W latach 1952–1975 był opiekunem Szkolnego Koła Sportowego, a w latach 1974–1979 dyrektorem Międzyszkolnego Ośrodka Sportowego w Poznaniu. Trenujący pod jego okiem sportowcy osiągnęli znako-

mite wyniki, również na szczeblu krajowym, zwłaszcza w lekko-
atletyce i piłce ręcznej.

Pochowany na cmentarzu przy ul. Nowina, na Jeżycach.

ELŻBIETA NOWACZYK-SCHWERMER, nauczycielka fizyki w latach 1971–
–2009

BOGDAN NOWAK (1926–1991), uczył w latach 1962–1991

Nauczyciel matematyki i fizyki, pseudonim Kaju. Był absolwentem „Marcinka”. Wcześniej pracował w Państwowym Liceum Muzycznym w Poznaniu. Z inicjatywy wychowanków w holu szkoły (przy wejściu głównym) w 2001 r. odsłonięto poświęconą mu tablicę pamiątkową.

Pochowany na cmentarzu przy ul. Lubowskiej.

ZOFIA PERETIATKOWICZ (1938–2012), nauczycielka wychowania tech-
nicznego w latach 1969–1993

Pochowana na cmentarzu górczyńskim.

ROMAN RADOCH, nauczyciel chemii w latach 1962–1972

PAWEŁ RAJNOWSKI, nauczyciel geografii i astronomii w latach 1970–1991

IRENA ROMANOWICZ, nauczycielka historii w latach 1971–2004

MAURZYCY JANUSZ ARTUR SKOCZOWSKI (1931–2014), uczył w latach
1965–1975

Nauczyciel przysposobienia obronnego, pseudonim Maurycy.

Pochowany na cmentarzu miłostowskim.

BARBARA SKROBISZ (ur. 1924), uczyła w latach 1969–1971

Nauczycielka geografii. Uzyskała tytuł magistra geografii na Uni-
wersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz doktora eko-
nomii na Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, gdzie do 1991 r.
była adiunktem.

LECH KAZIMIERZ SŁOWIŃSKI (1922–2005), uczył w latach 1960–1979 W „Marcinku” był nauczycielem języka polskiego. Uczniowie nadali mu pseudonim Słoń. Później pracował jako profesor na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, gdzie zajmował się dydaktyką i historią literatury polskiej. Opublikował m.in. prace o nauczaniu języka polskiego w różnych okresach historii Polski. W 1993 r. otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Dzieci Profesora również są absolwentami „Marcinka”. Pochowany na cmentarzu miłostowskim.

GERARD SOWIŃSKI, uczył w latach 1964–1980

Nauczyciel języka polskiego, pasjonat, pseudonim Barnaba. Od 1993 r. jest prezesem Stowarzyszenia Wychowanków Gimnazjum i Liceum im. Karola Marcinkowskiego. Co roku daje kolejnym rocznikom („w rytmie” pięcioletnim) impuls do zorganizowania pierwszego lub kolejnego spotkania ze Szkołą oraz koleżankami i kolegami z danego rocznika maturalnego. Jest bardzo konsekwentny (tak jak w egzekwowaniu znajomości lektur szkolnych i poprawianiu błędów wszelakich) w organizowaniu inicjatyw, które służą nawiązywaniu i podtrzymywaniu więzi między absolwentami oraz inicjatyw mających na celu wsparcie Szkoły.

Pan Profesor jest absolwentem Liceum Pedagogicznego w Bydgoszczy. Studiował polonistykę na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. W „Marcinku” przepracował 16 lat. Potem wykładał na UAM, ucząc innych, jak uczyć. Pracę w „Marcinku” uznaje jednak za najważniejszy etap swojego życia zawodowego. Szkołę tę ukończyli Jego synowie, którzy, cytując słowa Profesora, „wynieśli z tej szkoły nie tylko wiedzę, ale i znakomite przyjaźnie”. Profesor zgromadził w Stowarzyszeniu absolwentów społeczników i wraz z nimi niestrudzenie mobilizuje do spotkań i wspierania Szkoły.

WANDA STANISŁAWSKA, nauczycielka języka niemieckiego w latach 1971–1974

HELENA STOIŃSKA (1907–1984), uczyła w latach 1956–1979

Nauczycielka języka polskiego. Przed podjęciem pracy w „Marcinku” pracowała w II LO w Poznaniu. Podczas wojny była zaangażowana w tajne nauczanie w Częstochowie.

URSZULA SZTWIERTNIA-PIC, nauczycielka języka polskiego w latach 1971–1978

JANINA SPYRZYŃSKA, nauczycielka biologii w latach 1954–1984.

WALERIA URBAN, nauczycielka języka rosyjskiego w latach 1969–1978
Pseudonim Wala.

MARIA WALLIS-STIASNY, nauczycielka chemii w latach 1965–1991

MIROŚŁAWA WARSZAWSKA (1925–2002), nauczycielka języka francuskiego w latach 1964–1980
Pochowana na cmentarzu junikowskim.

ROMUALDA WAWRYNIUK, nauczycielka fizyki w latach 1970–2007

LUDWIKA WILCZYŃSKA (1922–2005), uczyła w latach 1956–1977
Była nauczycielką geografii i astronomii, a ponadto w latach 1972–1976 wicedyrektorem szkoły.
Pochowana na cmentarzu miłostowskim.

WŁADYSŁAW WOJNARSKI, nauczyciel przysposobienia obronnego w latach 1969–1979

MIROŚŁAWA WOLSKA (1910–1985), uczyła w latach 1962–1973
Pracowała w szkolnictwie od 1929 r. Podczas drugiej wojny światowej brała udział w tajnym nauczaniu na terenie Wielkopolski. Przed podjęciem pracy w „Marcinku” pracowała w II LO.
Pochowana na cmentarzu miłostowskim.

ZOFIA WYPYCH, uczyła w latach 1969–2003

Nauczycielka wychowania fizycznego. Przekazywała młodzieży swą wiedzę przez 32 lata. Mimo przejścia na emeryturę w 2003 r. nadal aktywnie działała na terenie szkoły. Zorganizowała w liceum Akcję krwiodawstwa PCK.

ZOFIA ZAŁĘSKA (1908–1991), uczyła w latach 1945–1974

Była nauczycielką matematyki, a w latach 1947–1957 wicedyrektorem szkoły. Swoją karierę pedagoga rozpoczęła w 1931 r. Lata drugiej wojny światowej spędziła w Poznaniu, pracując w fabryce. Jednak zaraz po ustaniu walk w mieście rozpoczęła pracę nauczycielką w Gimnazjum i Liceum im. Karola Marcinkowskiego. Była „fundamentem ciągłości szkoły”, jak określono ją we wspomnieniach, i jej symbolem.

Pochowana na cmentarzu górczyńskim.

Klasa A

Wychowawca: **IZABELLA HERMANOWSKA**

Uczniowie

Ireneusz Barszczewski	Adam Kubisiewicz
Wiesław Bednarek	Paweł Lewicki
Zbigniew Bekasiak	Michał Lula
Wanda Bem (Bem-Piechocka)	Barbara Łożyńska (Dondajewska)
Urszula Chojnacka	Waldemar Łukowski
Aleksander Deskur	Mariola Musielik
Barbara Dłużniewska	Maria Piaskowska (Woźniak)
Dariusz Dziwisz	Małgorzata Rakiewicz (Kędziora)
Marek Frencel	Małgorzata Ratajszczak
Barbara Grzelaczyk (Kolasińska)	Marian Rybicki
Jerzy Harasymczuk	Irena Sarnowska (Sarnowska- -Wroczyńska)
Hanna Hejduk (Hejduk-Kusza)	Krzysztof Skommer
Piotr Janiak	Włodzimierz Szczepaniak
Bożena Jesionkowska	Janusz Szpunar
Barbara Kamińska	Katarzyna Śliwińska
Janusz Kamiński	Marek Tomczak [‡]
Lidia Karpińska (Karpińska-Jazdon)	Iwona Urban
Ewa Kaźmierowska	

Wojciech Weinert
Przemysław Wiśniewski[‡]

Ryszard Zawadzki
Elżbieta Zimna (Zimna-Deskur)

Uczniowie, którzy uczęszczali do klasy, ale nie zdawali z nami matury:

Lucyna Górską
Mariusz Pospieszny
Aleksandra Skaja
Wiesława Sławińska

Elżbieta Sowińska
Krystian Węcki
Lucjan Węcki
Jerzy Włoszczyński

ZBIGNIEW BEKASIAK

Studia – zootechnika, oj, nie było łatwo! Większość czasu zajmował biznes, który wymagał częstych wyjazdów do RFN-u. W 1977 wziąłem ślub z Kasią Michalską, którą poznałem w V klasie szkoły podstawowej. Było cudownie, urodził się nam syn Mikołaj, ale „coś” złego, nienazwanego wisiało w powietrzu. Zdecydowaliśmy się na emigrację. W maju 1981 r. wyjechaliśmy do Kanady – Edmonton, potem Toronto. Urodził się drugi syn Piotr.

Po około 3 latach uruchomiliśmy wytwórnię przyczep campingowych z siedzibą w Toronto. Bardzo często latałem do Polski (import części do przyczep), więc obserwowałem zachodzące zmiany i już wtedy czułem, że przyjdzie czas na powrót. Jako emigrant zawsze jesteś obcy, niezależnie od tego, ile masz pieniędzy. Ten czas przyszedł w 1990 r. Wróciliśmy do Poznania – to była nasza „ziemia obiecana”. Uruchomiliśmy dużą wytwórnię mebli skórzanych na wyposażenie banków, hoteli, rezydencji; trudno było nadażyć. Jedną z kupionych wówczas nieruchomości był zabytkowy dworzec kolejowy w Puszczykowie. Mieszkaliśmy w nim kilka lat jako „pierwsi bezdomni” w Polsce. Do dzisiaj działa tam nasza restauracja „Lokomotywa”.

Zawsze chciałem mieć szpital lub dom seniora. W roku 2000 wybudowaliśmy w Puszczykowie prywatny dom seniora, jeden z największych w Polsce. No i zupełna kłapa... Żadnego zainteresowania. Aby nie zbankrutować, zamiast „Rezydencji Parkowej” stworzyliśmy hotel „Atrium”.

Ale i ślepej kurze trafi się ziarno. Lata 2000–2012 to czas wspianych przyjęć weselnych, szalonych imprez sylwestrowych i niezliczonych konferencji organizowanych za unijne pieniądze – *Dolce Vita!*

Mimo tej szalonej dekady uznaliśmy, że na dojrzałe lata warto wrócić do pierwotnego planu. W 2012 r. wygasiliśmy działalność hotelu „Atrium”. W styczniu 2013 roku przyjęliśmy pierwszych mieszkańców w „Rezydencji Seniora Puszczykowo”.

Przez całe 45 lat wszystko, co dobre i złe, dzieliłem z żoną. Mamy wnuka Alberta, który jak sam mówi, jest: polski i norweski. Żona Mikołaja, Guro, jest Norweżką. Wiadomość z ostatniej chwili: spodziewamy się wnuczki, ale nie znamy jeszcze jej imienia.

WANDA BEM (BEM-PIECHOCKA)

Wspominam Szkołę Podstawową nr 76, którą ukończyłam w 1969 r. Z łezką w oku wspominam również egzaminy do naszego I Liceum Ogólnokształcącego, moje nazwisko wśród uczniów przyjętych i te cztery lata spędzone w 40-osobowej klasie A, której wychowawczynią była pani Izabella Hermanowska. Potem matura i start w dorosłe życie.

Po dwóch latach edukacji w medycznej szkole pomaturalnej otrzymałam dyplom technika elektroradiologii. Zawód ten wykonuję po dziś dzień, chociaż od 8 lat jestem na emeryturze.

Mam dwoje dorosłych dzieci i czworo wnucząt. Swoją część czasu dzielę pomiędzy bycie babcią i realizację swoich pomysłów na życie.

Od pięciu lat jestem radną Osiedla Stary Grunwald, redaktorem naczelnym biuletynu osiedlowego. Zajmuję się promocją akcji Zielony Poznań oraz uczestniczę w warsztatach aktywizujących seniorów naszego osiedla. Obecnie zaangażowana jestem w odtwarzanie historii miejsc i życia ludzi zamieszkujących nasze osiedle.

Moim hobby jest ogród. Poświęcam mu każdą wolną chwilę. To tu znajduję wyciszenie i zachęcam sąsiadów do dbania o swoją zieloną przestrzeń, która gwarantuje nam bezpieczne i piękne życie.

Uwielbiam podróżować i przenikać do innych kultur. Przepiękne, własnoręcznie robione albumy z takich wypadów to pomysł na przeniesienie się z przyjaciółmi w miejsca bliskie memu sercu.

Lubię żyć wspomnieniami i marzeniami, bo pomagają mi przetrwać każdy trudny czas.

ELA I OLEK DESKUROWIE

Ela i Olek: Jesteśmy razem już ponad pół wieku, matrymonialnie od przełomu 1975/1976. Mamy dwoje dzieci – Krzysztofa (rocznik 1984) i Iwonę (rocznik 1986), która dała nam dwóch wnuków – Milana (2015) i Bruna (2017).

Ela: Skończyłam Wydział Lekarski ówczesnej Akademii Medycznej w Poznaniu. Specjalizowałam się w pediatrii i chorobach zakaźnych. Po króciutkim epizodzie w szpitalu w Środzie Wlkp. pobiłam rekord stałości pracy w jednym szpitalu (prawie 43 lata) – na Oddziale Zakaźnym Specjalistycznego Zespołu Opieki nad Matką i Dzieckiem w Poznaniu przy ul. Nowowiejskiego, a w ostatnim roku w nowym siedzibie przy ul. Wrzoska.

Olek: Jestem absolwentem Politechniki Poznańskiej ze specjalnością „drogi, ulice, lotniska” oraz Politechniki Warszawskiej (studia podyplomowe z inżynierii ruchu). Pierwsze pięć lat po studiach pracowałem przy budowie i utrzymaniu dróg w Rejonie Dróg Publicznych Oborniki, z roczną przerwą na Szkołę Oficerów Rezerwy. W 1983 r. przeszedłem do planowania przestrzennego, m.in. współtworząc w 1991 r. Miejską Pracownię Urbanistyczną, w której pracowałem do końca 2022 r. Działałem aktywnie w Towarzystwie Urbanistów Polskich i Stowarzyszeniu Klub Inżynierii Ruchu, także we władzach tych organizacji. W latach 1990–1994 byłem członkiem Rady Miasta Poznania, zajmując się sprawami przestrzennymi i gospodarką komunalną.

Ela i Olek: Dopiero od tego roku oboje jesteśmy na emeryturze. Całe życie mieszkamy w Poznaniu – na Jeźycach, os. Orła Białego i od 2007 r. na Podolanach, gdzie kupiliśmy działkę z ogrodem i domem, który wyremontowaliśmy i rozbudowaliśmy.

Wolne chwile spędzamy z wnukami lub na spacerach, a dawniej na wycieczkach i wyprawach pieszych. Lubimy też krajoznawcze objazdy samochodem. Na wakacje wiosną, latem i jesienią zazwyczaj

wyjeżdżamy w góry – polskie i w ościennych krajach, choć zdarzały się Alpy lub Pireneje. Zimą jeździmy nad pusty Bałtyk, żeby powłóczyć się po plażach i przyległych lasach.

MAREK FRENCEL

Po ukończeniu liceum ukończyłem studia magisterskie na Politechnice Poznańskiej. Pracowałem jako konstruktor, inspektor do spraw reklamacji, prowadziłem własną działalność gospodarczą, zasiadałem jako prezes zarządu w spółkach. Działałem w różnych branżach: samochody, komputery, import i hurt zabawek, budownictwo w zakresie konstrukcji i pokryć dachów.

Moje hobby to polowania, zaawansowane nurkowanie i podróże. Z wyjątkiem 10 lat spędzonych w lesie mieszkam stale w Poznaniu. Będąc już na emeryturze, dalej zajmuję się dachami. Mam córkę, syna i wnuczkę.

JERZY HARASYMCZUK

Studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Poznaniu. Chirurg dziecięcy. Praca: Klinika Chirurgii, Traumatologii i Urologii Dziecięcej. Dr hab. n. med. specjalista chirurgii dziecięcej (1989), doktorat (1996), habilitacja (2012), prof. UM (2018). Żona: Nina, lek. dent., spec. periodontologii i stomatologii dziecięcej; syn Piotr, dr med., spec. ortopedii dziecięcej, absolwent „Marcinka (1998); syn Michał, lek. med., spec. ortopedii i chirurgii ręki, absolwent „Marcinka (2007); wnuk Jakub.

PIOTR JANIAK

Po maturze zgodnie ze swoim wyborem zostałem przyjęty na studia na Wydziale Lekarskim Oddz. Stomatologii Akademii Medycznej w Poznaniu. Po 5-letniej nauce jako świeżo upieczony lekarz dentysta wyprowadziłem się z rodzinnego Poznania w poszukiwaniu pracy i własnego mieszkania. Wybór padł na Krotoszyn, leżący wówczas

w woj. kaliskim, gdzie występował deficyt kadr medycznych. Tam też podjąłem pracę w miejscowym ZOZ-ie, gdzie przez 20 lat przeszedłem różne szczeble kariery zawodowej, a następnie w związku z reorganizacją systemu opieki zdrowotnej umowę o pracę zastąpił mi prywatny kontrakt z Kasą Chorych. Do chwili obecnej jestem aktywny zawodowo – prowadzę gabinet dentystyczny wraz z moim synem. Jestem żonaty od przeszło 43 lat, mam troje dzieci.

LIDIA KARPIŃSKA (KARPIŃSKA-JAZDON)

Studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Poznaniu. Specjalizacje: choroby wewnętrzne i choroby płuc. Miejsce pracy: Szpital Pulmonologiczny w Poznaniu. Przez 17 lat na stanowisku ordynatora jednego z oddziałów pulmonologicznych. Emerytura od 2021 roku.

Mąż Andrzej, muzykolog na UAM. Dzieci: dwóch synów i córka. Sześcioro wnucząt. Pięć psów.

MICHAŁ LULA

Po ukończeniu liceum podjąłem studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Poznaniu. Po studiach zacząłem pracę na Oddziale Laryngologicznym Szpitala Wojewódzkiego w Poznaniu, gdzie pracuję do dzisiaj – aktualnie w poradni. Prywatnie jestem szczęśliwym mężem i ojcem trojga dzieci – dwóch synów i córki. Od czterech lat jestem dziadkiem wnuczki Emilki. Mam również dwa psy, Maksymiliana i Wiesława.

MARIA PIASKOWSKA (WOŹNIAK)

Skończyłam studia na wydziale prawa na UAM w Poznaniu. W latach 1977–1984 pracowałam w Peweksie i PHU Jubiler. W 1986 r. zatrudniłam się w Urzędzie Skarbowym Poznań-Grunwald w dziale Podatku od Spadków i Darowizn, gdzie pracowałam do emerytury w 2016 roku. Byłam szczęśliwą mężatką (obecnie jestem wdową), mam dwoje kochających dzieci i trzy wnuczki – Nela lat 20, stu-

diuje w Holandii, Zuzanna lat 6 i Judyta lat 4 – przedszkole w Skoczowie.

Mam dwa psy, kota i rybki. Uwielbiam czytać książki i oglądać filmy, szczególnie kostiumowe. Czuję się szczęśliwa i mam udane życie.

IRENA SARNOWSKA (SARNOWSKA-WROCZYŃSKA)

Ukończyłam Akademię Medyczną w Poznaniu, a następnie uzyskałam specjalizację w zakresie anestezjologii i intensywnej terapii medycznej. Mam dwóch synów i troje wnucząt. Jestem już emerytką, ale nadal czynną zawodowo. Pracuję na pełnym etacie w szpitalu, tym samym od ponad 40 lat. Od blisko 10 lat pracuję dodatkowo w hospicjach domowych, zajmując się dziećmi z tracheostomią i respiratorem.

Od 20 lat, po śmierci męża, zwiedzam świat razem z dwiema koleżankami. Same organizujemy sobie 4-tygodniowe pobyty w różnych zakątkach świata. W ten sposób zwiedziłam całą Azję (w Himalajach byłam cztery razy), Amerykę Środkową i Południową wraz z Wyspą Wielkanocną oraz Afrykę (Namibia i Botswana). Wyjeżdżamy też na krótsze wypady, aby zobaczyć np. owce na Wyspach Owczych czy zorzę polarną w Norwegii.

KRZYSZTOF SKOMMER

Witam Was wszystkich, Szanowne Panie i niemniej Szanowni Panowie z klasy IVa I LO im. K. Marcinkowskiego w Poznaniu, z którą przeżyłem jedno z najpiękniejszych lat mojego życia... Wiele bym dał za możliwość skorzystania z „maszyny czasu”, by choć na chwilkę cofnąć się w tamte lata (oj, bardzo wiele), co mi się zresztą do pewnego stopnia udało, ale o tym na końcu.

A ponieważ nie jest to tak do końca możliwe, zgodnie z prośbą Bubka kreślę kilka słów o sobie. Prawie 50 lat temu, zgodnie z moim marzeniem, dostałem się na wydział lekarski poznańskiej Akademii Medycznej i po kilku latach wysiłku uzyskałem dyplom lekarza. Cały okres pracy zawodowej (który trwa do dziś) związałem z poznańskim szpitalem im. J. Strusia. Do 1999 roku pracowałem w centrum

miasta przy ul. Szkolnej 12, a od 2000 roku w nowym gmachu przy ul. Szwajcarskiej 3.

Uzyskałem specjalizację z zakresu chorób wewnętrznych i pracuję na oddziale o tym właśnie profilu. Przez kilka lat nasz oddział, zaanektowany przez uczelnię, stał się Kliniką Chorób Wewnętrznych, miałem więc paruletnią przygodę z kształceniem akademickim. Ale przyznaję, że zawsze stawiałem wyżej praktykę niż inne aspekty kariery medycznej, wyspecjalizowałem się więc w badaniach endoskopowych przewodu pokarmowego, które przez wiele lat wykonywałem.

Studia wpłynęły zasadniczo na moje życie osobiste, bowiem poznałem na nich wspaniałą dziewczynę z okolic Warszawy, która do dziś jest moją żoną. Jest oczywiście także lekarką, radiologiem i też pracuje do dziś w zawodzie. Pracujemy oboje, choć przeszliśmy już na emeryturę.

Mamy troje dzieci. Najstarszy syn Jakub jest informatykiem i wraz z żoną i dwojgiem dzieci (bliźniaki) od ponad 7 lat pracują i mieszkają w Dubaju. Średnia latorośl to córka – Malina; zajmuje się „kształtowaniem krajobrazu” (projektuje ogrody i je wykonuje) i wraz z mężem informatykiem mają troje dzieci. Wreszcie najmłodsze moje dziecko (Boże, w tym roku 40-tka) – Dagmara jest absolwentką Akademii Rolniczej, pracownikiem poznańskiego ZOO i wraz ze swoim partnerem są rodzicami wspaniałego 4-latka. To mój szósty wnuk. Mieszkają do dziś razem z nami, ale wkrótce wyprowadzają się do swojego nowego mieszkania.

My wyprowadziliśmy się z Poznania i od ponad 12 lat mieszkamy w podpoznańskich Złotnikach, gdzie wybudowaliśmy niewielki dom, ale za to z solidnym ogrodem, o którym zawsze marzyła moja żona.

P.S.

Świat jest malutki. Trzy lata temu mój syn, będąc na wakacjach w Polsce, przyniósł mi ze spotkania ze szkolnymi kolegami plik ze zdjęciami zatytułowany „IVa w roku 1973 przed maturą”. Oczywiście wiedziałem, że chodził do klasy z Olo Weinertem (zbieżność nazwisk nieprzypadkowa), ale zdjęcia były dla mnie kompletną nowością. Zobaczyłem je po raz pierwszy i nie wiem nawet, kto je robił (bo Piotrek z aparatem jest na zdjęciach, Wojtek też). Podobno Olo odkrył ten

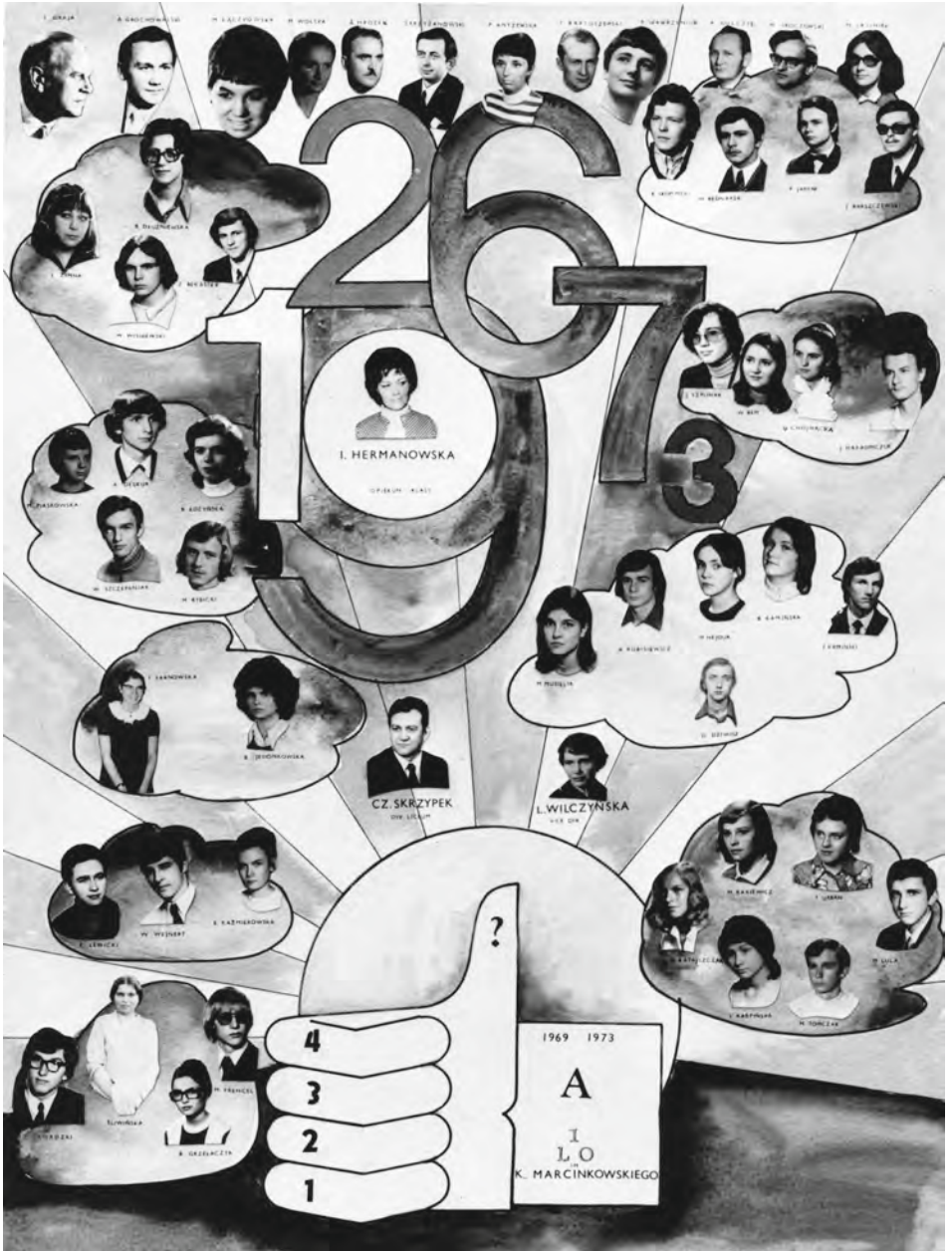
plik przypadkowo na dysku (chyba ojcowskiego) komputera. Te kilkadziesiąt fotek naprawdę cofnęło mnie wówczas w czasie...

PRZEMYSŁAW WIŚNIEWSKI

Mam córkę, absolwentkę „Marcinka” i troje wnuków. Są we Francji, ale doskonale znają język polski i chętnie tu przyjeżdżają. Po maturze ukończyłem studia i ożeniłem się z kobietą, z którą szczęśliwie jestem do dzisiaj. Potem była praca, trochę podróży, a od dwóch lat emerytura.

Przez te lata, gdy miałem jakiś problem i zwróciłem się do kogoś z Was, nigdy się nie zawiodłem i za to wszystkim dziękuję. Trzymajmy się. Do zobaczenia.

„Wiciu” odszedł od nas 24 marca 2023 r.





Przez cały okres nauki
czuliśmy się świetnie
w swoim towarzystwie,
również podczas długich
przerw spędzanych
na boisku i po lekcjach





Przyjaźnie rozkwitły zwłaszcza poza szkołą





Byliśmy wysportowani, ale i od używek nie stroniliśmy





Przed maturą szczególnie przykładaliśmy się do nauki...





choć czasami trzeba było trochę odetchnąć





Dobre towarzystwo sprawiało...





że nigdy się se sobą nie nudziliśmy





Wspólne spędzanie czasu dawało radość...





w każdych okolicznościach

Z imprezy
w klubie „Od nowa” po maturze

Wspomina **BARBARA ŁOŻYŃSKA (DONDAJEWSKA)**

Nauka wbrew pozorom może być rzeczywiście użyteczną. W jaki sposób? Postaram się zaraz udowodnić. Pamiętacie? Oj, cytowało się u nas „na polaku” obficie...

Czy sobie a muzom...? Wtedy może trochę tak. Dzisiaj w słowach ze znanych utworów ukryte zostały przywary, słabostki postaci, my i nasze szkolne sprawki.

„Ludzie ludziom zgotowali ten los” (znaczenie: 4-letnia edukacja w „Marcinku”)

„Szczęścia w szkole nie zaznał, bo go nie było w IVa” (osobnik, który nie miał zaszczytu być w naszej klasie)

„IVa nie jest stworzona do kłęski. Można ją zniszczyć, ale nie pokonać” (odporność IVa na ciosy „gagów”)

„Żaden z nas nie był samoistną wyspą”, bo ... byliśmy jak „Posąg z jednej bryły” (znamienne cechy naszej klasy)

„Słowo ciałem się stało, a IVa absolwentami Marcinka” (nasza klasa po maturze)

„Wolny, bo z więzów, jakimi go przykuł I Zakład, gdzie pot ronił, krwawy już go rozwiązał bezduszny artykuł maturalnej ustawy” (każdy z osobna)

- „A jeśli komu droga otwarta na studia – tym co z IVa” (światłana przyszłość nasza)
- „Sobie śpiewam a muzom” (wychowawczynie na godzinach wychowawczych)
- „Toczyła obłądnym rozpaczy spojrzeniem, / Spalała się sercem jak wieczna pochodnia / I dookoła patrzyła z przerażeniem / Na dwóje w dzienniku mnożące się co dnia” (4 lata nauczania prof. Hermanowskiej)
- „Martwe znasz prawdy nieznanne dla ucznia / Widzisz świat w golach, w każdej uczniowskiej rozterce / Nie znasz prawd naszych nie obaczysz cudu / Miej serce i patrzaj w serce” (nie raz mieliśmy ochotę powiedzieć komuś z „grona”...)
- „A więc śpiewaj cytaty twe z zeszytu” (język polski i dwie osobki na zajęciach)
- „Gosia miała zawsze obowiązek mówić za tych, którzy milczą”
- „Pierwsza po Bogu” (pani wicedyrektor)
- „Matka Joanna od Aniołów” (prof. Hermanowska)
- „Ten okrutny, nikczemny chłopak” (prof. Krzyżanowski)
- „Mężczyzna w pięknym krawacie” (prof. Grochowalski)
- „Dom wampirów” (pokój nauczycielski)
- „Świątynia diabła” (sala propedeutyki)
- „Sami swoi” (klasa IVa)
- „Damski gang” (dziewczęta z IVa)
- „Klan Sycylijczyków” (chłopcy z IVa)
- „Obława” (lekcja propedeutyki)
- „Popioły” (IVa po lekcji propedeutyki)
- „Bohaterowie są zmęczeni” (IVa po przerwie bożonarodzeniowej)
- „Ciężkie czasy dla gangsterów” (IVa przed maturą)
- „Krajobraz po bitwie” (IVa po maturze)
- „Wyzwolenie” (IVa ze świadectwem dojrzałości w dłoniach)
- „Buntownik bez powodu” (pan Brycki)
- „Wielka nadzieja białych” (Irek Barszczewski)
- „Był sobie łajdak” (Wiesiek Bednarek)
- „Zabijcie czarną owcę” (Zbyszek Bekasiak)
- „Życ aby żyć” (Wanda Bem)
- „Bez wyraźnych motywów” (Ula Chojnacka)
- „Żandarm się żeni” (Olek Deskur prywatnie), „Próba terroru” (tenże służbowo)

- „Żona dla Australijczyka” (Basia Dłużniewska)
- „150 na godzinę” (Darek Dziwisz)
- „Gentelman z Cocody” (Marek Frencel)
- „Angelika i sułtan” (Basia Grzelaczyk)
- „Księżniczka na opak wywrócona” (Hania Hejduk)
- „Szalony Piotruś” (Piotrek Janiak)
- „Czarownica z Salem” (Bożena Jesionkowska)
- „Królowna z długim warkoczem” (Basia Kamińska)
- „Hrabina z Hongkongu” (Lidka Karpińska)
- „Sekrety wiernych żon” (Ewa Kaźmierowska)
- „Casanova 73” (Adam Kubisiewicz)
- „Siedzący po prawicy” (Paweł Lewicki)
- „Ci wspaniali młodzieńcy w swych szalejących gruchotach” (Michał Lula)
- „Beniamin, czyli pamiętnik cnotliwego młodzieńca” (Waldek Łukomski)
- „Drapieżne maleństwo” (Basia Łożyńska)
- „Umrzeć z miłości” (Mariola Musielak)
- „Viva Maria” (Magda Piaskowska)
- „Angelika wśród piratów” (Małgosia Rakiewicz)
- „Nie pije, nie pali, nie podrywa, ale gada” (Małgosia Ratajszczak)
- „Zbieg z Alkatraz” (Marian Rybicki)
- „Miłosne przygody Moll Flanders” (Irka Sarnowska)
- „Wspaniały Red” (Krzysiu Skommer)
- „Lekarz kasy chorych” (Janusz Szpunar)
- „Pan Anatol szuka miliona” (Włodek Szczepaniak)
- „Pożądanie zwane Anada” (Kasia Śliwińska)
- „Szaleniec z IV laboratorium” (Marek Tomczak)
- „Kasia Ballou” (Iwona Urban)
- „Dzieciństwo, powołanie i pierwsze przeżycia Giacomo Casanovy z Wenecji” (Wojtek Wainert)
- „Agent nr 1” (Przemek Wiśniewski)
- „Waleczny przeciwko rzymskim legionom” (Rysiu Zawadzki)
- „Kochanka buntownika” (Ela Zimna)
- „Polowanie na muchy” (Wanda + Urszula + Ela + Bożena)
- „Toto, Pepino i fanatyczki” (Basia + Gosia + Wiesiek + Włodek)

Klasa B

Wychowawca: **ZYGMUNT JAKUBOWSKI**

Uczniowie

Anna Bitner [‡] (Nowak)	Jolanta Koprucka (Koprucka-Purol)
Edward Błaszak [‡]	Barbara Korcz
Tadeusz Brózda	Andrzej Krauss
Danuta Bukowska (Bamber)	Krzysztof Kurpiński
Krystyna Czajka	Katarzyna Łącka
Bożena Duffek (Chudy)	Paweł Maćkowiak
Mariusz Eicke	Jadwiga Makowska (Urbanek)
Andrzej Gądziński [‡]	Wiesława Michalczak (Miątkowska)
Aleksandra Geisler (Dardas)	Michał Nowak
Piotr Guziątek	Maria Olejniczak (Romanowska)
Maciej Henschke	Piotr Organista
Maria Jagodzińska (Woźniak)	Katarzyna Przysiecka (Nowak)
Jolanta Jemiałkowska (Szurkowska)	Hanna Rogacz (Zielińska)
Alicja Juchniewicz (Meisner)	Jacek Rychlewski
Bolesław Jopp [‡]	Iwona Sarzyńska (Mikulska)
Andrzej Józwiak [‡]	Tomasz Siatkowski [‡]
Wojciech Kokociński [‡]	Leszek Soliński [‡]

Elżbieta Stachowiak (Simon)
Sysiak Ewa
Marek Twardowski

Marek Wajcht
Elżbieta Woźniak (Staderska)

Koledzy, którzy byli uczniami naszej klasy, ale nie zdawali z nami matury

Władysław Seelieb – matura 1974 Jakub Węcławiak – matura
Janusz Skórkowski – matura „Marcinek” 1974
„Marcinek” 1974

ALEKSANDRA GEISLER (DARDAS)

W latach 1973–1978 studia na Wydziale Lekarskim, Oddział Stomatologii. Jako lekarz stomatolog pracowałam w poradniach ZOZ i zakładowej oraz w gabinecie prywatnym. Od 1992 r. z różną intensywnością w NZOZ. W 2020 r. po 42 latach pracy przeszłam na emeryturę. Prywatnie matka, babcia i żona. Hobby to turystyka górska, literatura, sudoku.

ALICJA JUCHNIEWICZ (MEISNER)

Z powodów rodzinnych przeniesiono mnie z Torunia – najpiękniejszego miasta na świecie – do Poznania, nie pytając mnie o zdanie. W Toruniu pobierałam nauki w wiodącym liceum, gdzie w jednakowych mundurkach rozpoczynaliśmy rok szkolny, śpiewając *Gaudeamus igitur*, a profesorowie przyodziani w dostojne togi patrzyli na nas groźnym okiem. I nagle znalazłam się w „Marcinku”, gdzie wszystko było inaczej. Gadaliście jakoś śpiewnie, byliście kolorowi, nikt nie wymagał ode mnie marginesów w zeszycie, a profesorowie byli zupełnie zwyczajni. Okazało się, że bardzo wiele zależy ode mnie i sama muszę podejmować decyzje, bo to moje życie. To był świetny czas, czas dorastania, dojrzewania, odkrywania siebie, miłości i przyjaźni. Po maturze studia – pedagogika specjalna. Po studiach praca z ludźmi z różnego rodzaju deficytami, która nauczyła mnie cenić różne odcienie życia, cieszyć się każdym dniem i kochać ludzi takimi, jakimi są.

Małżeństwo, macierzyństwo i 20 lat względnej stabilizacji. Później się posypało. Rozwód to „pikuś”, odejście dziecka – tego nie da się przeżyć, można jedynie nauczyć się z tym żyć. Kasia odeszła, ale zostawiła wnuczkę i tak w wieku 50 lat zostałam ponownie mamą. Dziś Wiki kończy szkołę podstawową i szykuje się do egzaminów, a ja oczywiście – jak każda szanująca się matka – panikuję i znowu jestem przed rozpoczęciem nauki w liceum. Włodek – gdyby nie pojawił się w moim życiu, pewno bym sobie nie poradziła, nie miałabym dość sił. Dziś jest moim mężem i fantastycznym tata-dziadkiem dla Wiki.

Nadal jestem czynna zawodowo, pracuję z ludźmi potrzebującymi pomocy i czerpię z tego faktu mnóstwo radości i pozytywnej energii. Dziś przeżywam burze i tajfuny przelatujące przez mój dom, związane z dorastaniem nastolatki i przechodzę intensywne szkolenie w rozumieniu młodzieżowego języka.

Mam nowe pomysły na życie, mnóstwo planów i ciągły brak czasu na ich realizację. Uśmiewam się do świata, Kocham ludzi i czekam na spotkanie z okazji naszej „siatki” – to niemożliwe!

JOLANTA KOPRUCKA (KOPRUCKA-PUROL)

Dziwne te moje wspomnienia. Brak obrazu pierwszego dnia w „Marcinku”, choć cieszyłam się, że ta właśnie szkoła będzie moją szkołą. Nie pamiętam też ostatniego dnia, ostatniej lekcji. Towarzyszą mi tylko mgliste wspomnienia z egzaminu maturalnego, który odbywał się w niesprzyjającej emocjom auli naszej Szkoły. Lektury, przynajmniej niektóre, pozostawiły niezatarte wspomnienia, te jednak przemilczę. Jednak najważniejsze jest to, że nauki, które pobrałam w trakcie tych czterech lat, dały mi podstawy, żeby przebrnąć całkiem dobrze przez studia prawnicze, umieć poprawnie mówić, logicznie myśleć i z sensem pisać. Właśnie tam nauczyłam się, że sprawy polskie trzeba widzieć w kontekście co najmniej spraw europejskich, jeśli nie szerzej (zeszyty do historii prowadziliśmy równoległe na dwóch kartkach zeszytu: jedna – historia powszechna, druga – historia Polski). No i do dziś zgadzam się z moim Wychowawcą, sławetnym Paździorem, że matematyka to królowa nauk, bo jest taka ...logiczna i nie ulega wpływom.

ANDRZEJ KRAUSS

Ukończyłem studia magisterskie na Wydziale Technologii Drewna Akademii Rolniczej w Poznaniu (1973–1978). Pierwszą pracę podjąłem w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Meblarstwa w Poznaniu, którego byłem stypendystą. W latach 1979–1993 pracowałem na stanowisku starszego asystenta, a po doktoracie (1987 r.) – adiunkta w Katedrze Nauki o Drewnie na Wydziale Technologii Drewna. Kolejne 10 lat pracowałem na stanowiskach kierowniczych w szwedzkim koncernie Gnosjö Konstsmide AB (produkcja mebli ogrodowych i sprzętu oświetleniowego). W 2003 r. powróciłem do pracy na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu i uzyskałem stopień naukowy doktora habilitowanego nauk leśnych w dziedzinie drzewnictwo. W latach 2012–2018 pełniłem funkcje Prodziekana ds. Studiów, a następnie do 2020 r. – Dziekana Wydziału Technologii Drewna. W 2020 r. otrzymałem tytuł profesora. Zwieńczeniem działalności dydaktycznej było nadanie Medalu Komisji Edukacji Narodowej (w dniu 68 urodzin). Od 2012 r. jestem kierownikiem Katedry Obrabiarek i Podstaw Konstrukcji Maszyn, nadal pracuję.

Urodziłem się i mieszkam w Poznaniu. W 1981 roku ożeniłem się, a moja żona Hanna jest profesorem nauk medycznych.

KRZYSZTOF KURPIŃSKI

Po egzaminach wstępnych na Wydział Elektryczny Politechniki Poznańskiej postanowiłem z Andrzejem Józwiakiem wyjechać z namiotem na ryby, zlecając ojcu sprawdzenie czy zdałem egzamin i czy zostałem przyjęty. Dlatego dużym zaskoczeniem był nieplanowany przyjazd moich rodziców na biwak namiotowy. Mój ojciec jako osoba bardzo pedantyczna sprowadził nie tylko wyniki egzaminów, ale przeczytał wszystkie ogłoszenia w gablocie i znalazł krótką informację, że Politechnika Poznańska ma 8 miejsc na studia zagraniczne „Konstrukcja maszyn elektronicznych” w Dreźnie i że termin zgłoszeń mija za trzy dni. Na drugi dzień złożyłem podanie o te studia i po trzech tygodniach wylądowałem na kursie językowym w Toruniu. W czasie tego kursu odwiedził nas absolwent Marcinka (obecnie prof. dr hab.

inż.) Roman Stryjski i przekonał mnie, że zamiast w Dreźnie powinienem studiować w Ilmenau.

W ten sposób zamiast w Poznaniu wylądowałem w Ilmenau. Studia na Politechnice w Ilmenau były bardzo ciekawe pod względem tematycznym (technika cyfrowa, automatyzacja, mikroprocesory) i dały mi możliwość poznania wielu studentów z różnych krajów. W 1978 obroniłem pracę magisterską w dziedzinie cybernetyki technicznej uzupełnione post-gradualnym studium z techniki systemowej. Po studiach rozpocząłem prace w Ośrodku Informatyki Politechniki Poznańskiej i po roku wyjechałem ponownie do Ilmenau na studia doktoranckie. W roku 1982 obroniłem moją pracę doktorską i wróciłem do Politechniki Poznańskiej starając się o stworzenie laboratorium mikroprocesorowego.

Ponieważ większość kolegów z Ośrodka interesowały inne tematy, a ja chciałem zajmować się tym tematem, wyjechałem do Niemiec i rozpocząłem pracę w małej firmie w Kolonii. Jednym z moich pierwszych projektów było oprogramowanie systemowe dla kłona IBM PC, który projektowaliśmy dla firmy Triumph-Adler. Przez kolejne lata pracowałem nad oprogramowaniem komunikacyjnym dla systemów SNA jako programista i produkt manager w firmie Philips. Kolejnym etapem mojej pracy zawodowej były pozycje w marketingu, sprzedaży i zarządzaniu, w filiach firm holenderskich, szwajcarskich i amerykańskich, co dało mi okazje poznania tych krajów i typowych dla nich sposobów zarządzania. W miarę czasu przenieśliśmy się z branży komputerowej do operatorów telekomunikacyjnych, gdzie w 1996 roku rozpoczęła się deregulacja.

W latach 1995-1999 byłem odpowiedzialny za budowę infrastruktury i procesów produkcyjnych dla nowego operatora o.tel.o communications w Kolonii. W 1999 zostałem COO firmy Callino w Monachium budującej ofertę komunikacyjną opartą na technologii ATM i WLL. Aktualnie nazywa się takie firmy start-up'em, tylko że my tworzyliśmy nie tylko oprogramowanie, ale także budowaliśmy całą infrastrukturę produkcyjną. Po Callino przenieśliśmy się z Monachium do Moguncji i byłem CEO w dtms AG, aż do momentu sprzedaży tej firmy.

W wieku 50 lat postanowiłem się uniezależnić i założyłem własną firmę CK Transition Consulting GmbH specjalizującą się w temacie turn-around i interim-management. W tym okresie miałem najbardziej interesujące projekty w różnych branżach (telco, payment, IoT), które dały mi możliwość pracy w Indiach, Chinach i Polsce. W latach 2011-2013 byłem prezesem zarządu Comarch Software u. Beratung AG w Monachium, gdzie przeprowadzałem restrukturyzację organizacji, delisting na giełdzie i rozwój nowych produktów dla clouda. Od 2014 do 2015 byłem szefem działu rozwoju firmy Gigaset we Wrocławiu, budując nowoczesny platformę IoT (Gigaset Elements).

Od 2020 roku jestem na emeryturze i zajmuję się moimi hobby – gra w golfa, wycieczki, wędrówki i fotografia cyfrowa. Jestem żonaty i mam dwoje dzieci.

KATARZYNA ŁĄCKA

Od ukończenia liceum do dziś zawodowo związana jestem z Uniwersytetem Medycznym im. Karola Marcinkowskiego (dawniej Akademia Medyczna) w Poznaniu (studia (1973–1979), praca (od 1980). Lekarz, specjalista chorób wewnętrznych i endokrynologii, profesor nauk medycznych. Hobby: muzyka, literatura faktu.

PAWEŁ MAĆKOWIAK

Patrząc z perspektywy czasu, muszę przyznać, że okres nauki w liceum był radosny, ale też wymagał wiele pracy. Na początku zdziwiłem się z koniecznością innego sposobu uczenia się niż ten, do którego byłem przyzwyczajony w szkole podstawowej. W pewnym sensie był to szok przejścia z fazy błęgiego pólleństwa do większej aktywności. Na początku nie zdawałem sobie sprawy, że aż tyle trzeba pracować, aby uzyskiwać przyzwoite oceny, szczególnie z matematyki i języka polskiego. W domu z matematyki pomagała mi nieraz mama – nauczycielka matematyki, a tata – niezwykle skru-

palatny i mający polot – prześlęczał ze mną wiele nocy nad pisanem i cyzelowaniem wypracowań z języka polskiego. Dziękuję im poniewczasie za to, tak jak dziękuję Profesorom – Gerardowi Sowińskiemu i nieżyjącemu już Zygmuntowi Jakubowskiemu. Język polski i matematyka, stojące w „Marcinku” na wysokim poziomie, przyczyniły się do moich późniejszych sukcesów na studiach biologicznych – z pozoru tylko odległych od nauk humanistycznych i matematyki – oraz sukcesów w pracy zawodowej. Pisanie stało się w końcu łatwiejsze, a niektóre elementy matematyki budzące powszechnie przerażenie w pewnym momencie studiów i pracy nawet polubiłem. Stało się to, kiedy zacząłem je bardziej rozumieć niż „wkuwać”. Podwaliny logicznego myślenia, tak w języku polskim, jak i matematyce wyniosłem właśnie z „Marcinka”. Okres nauki w liceum był nie tylko czasem wytężonej pracy, ale też rozrywki i śmiechu. Bardzo miło wspominaam lekcje języka rosyjskiego z Profesorem Antonim Mrozkiem, kiedy śpiewaliśmy popularne piosenki – a śpiewaliśmy chętnie, bo wtedy zawsze lekcji „ubywało”. Pamiętam grę w piłkę ręczną na WF-ie i międzyklasowe rozgrywki w piłkę nożną. Z sentymentem wspominaam obóz szkolny w Nieszawce i poranne zaprawy fizyczne z niezmordowanym Profesorem Sowińskim. Aż nadszedł czas matury, wielki strach, co to będzie i... w końcu ogromna radość. A później studia biologiczne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Po ich ukończeniu w 1978 r. zacząłem pracę jako nauczyciel akademicki na obecnym Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu, z którym rozstałem się dopiero jako profesor, przechodząc na emeryturę. Prowadziłem zajęcia z fizjologii, biochemii, endokrynologii, immunologii oraz innych pokrewnych przedmiotów realizowanych na obecnym Wydziale Medycyny Weterynaryjnej i Nauk o Zwierzętach. Wkład w pracę dydaktyczną został doceniony przyznaniem mi Medalu Komisji Edukacji Narodowej, z którego jestem bardzo dumny. Praca na Uniwersytecie Przyrodniczym skupiała się też na działalności naukowej i zaowocowała licznymi pracami naukowymi, współautorstwem rozdziałów w kilku podręcznikach i książkach naukowych, wypromowaniem trojga doktorów, opieką nad dziesiątkami prac magisterskich i li-

cencjackich. A wszystko to było możliwe dzięki temu, że rodzice umożliwili mi naukę w liceum i na studiach, finansując moje utrzymanie, a później moja żona Jolanta pozwoliła mi realizować się naukowo, gdy całe gospodarstwo domowe spoczywało na jej głowie, a przecież też pracowała zawodowo, na UAM-ie. O tym, ile jest pracy w domu, przekonałem się po śmierci żony. Wtedy zdałem sobie sprawę, że bez Niej nie byłoby żadnych moich sukcesów zawodowych. Takie reminiscencje przychodzą jednak do głowy zbyt późno, aby zdążyć gorąco podziękować za życia. A życie, tocząc się krętymi ścieżkami, zaskakuje nas i uczy pokory. Jest w nim wiele dróg prostych, lecz są także rozwidlenia. Po drodze skręciłem do „Marcinka” i nie żałuję spędzonych tam lat.

MARIA OLEJNICZAK (ROMANOWSKA)

Lata spędzone w „Marcinku” wspominam jako piękny, wyjątkowy okres mojego życia. Koledzy, koleżanki, przyjaźnie i pierwsze miłości, no i oczywiście wspaniali profesorowie – przede wszystkim nasz Wychowawca, jedyny w swoim rodzaju Profesor Zygmunt Jakubowski ps. Paździor, Profesor Gerard Sowiński ps. Barnaba – moje wielkie autorytety! Zawdzięczam im bardzo wiele, to, jakim jestem człowiekiem i czym kieruję się w życiu.

Po ukończeniu liceum studiowałam stomatologię na Akademii Medycznej w Poznaniu i do dziś pracuję jako lekarz dentyista. Oprócz pracy zawodowej ważną częścią mojego życia był sport wyczynowy. W 1971 r. jako uczennica „Marcinka” zaczęłam uprawiać strzelectwo sportowe w WKS Grunwald Poznań. Strzelałam z karabinu sportowego nieprzerwanie aż do 1991 r. Przez cały ten czas byłam członkiem kadry narodowej, reprezentując Polskę na arenach międzynarodowych. Zdobyłam wiele medali, byłam wielokrotną mistrzynią Polski i wicemistrzynią Europy w 1978 r. w Finlandii. Muszę się również pochwalić, że wygrałam plebiscyt na najlepszego sportowca „Marcinka”. Pamiętam też, że raz przegrałam ze słynnym Wojtkiem Fibakiem, który wtedy zaczynał swoją wielką karierę tenisową. Co to były za piękne czasy!

Moi bliscy porozejeżdżali się po świecie – siostra Alicja Olejniczak-Bailleux, która również ukończyła „Marcinka” w klasie z rozszerzonym francuskim, wyjechała do Francji, do Strasburga ponad 40 lat temu i jest wykładowcą języka francuskiego. Moja jedyna córka Alicja – specjalista IT, mieszka w Warszawie z mężem i moimi wnukami: Wikunią – tegoroczną maturzystką i Kubusiem – pierwszoklasistą. Ja natomiast ponad 30 lat temu przeprowadziłam się do Gdyni, która stała się moim pięknym miejscem na ziemi. Z okna mojego mieszkania widzę morze, niedaleko mam plażę na Oksywiu, często spaceruję brzegiem morza z Tomkiem – kapitanem, który przyплыł do mnie niespodziewanie 11 lat temu, prosto z Kanady. Dziwny jest ten świat! Kiedy wspominam lata młodości, mam przed oczami twarze kolegów i profesorów, których już z nami nie ma.... Wydaje się, że to było tak niedawno... Przecież wszystko pamiętam, więc jak to możliwe? 50 lat od naszej matury? A my ciągle tacy młodzi? Tylko te nasze zdjęcia jakby trochę się postarzały...

Cieszę się, że jestem absolwentką słynnego „Marcinka”. Zawsze byłam z tego dumna.

KATARZYNA PRZYSIECKA (NOWAK)

Studiowałam na Wydziale Prawa i Administracji (kierunek prawo) Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, ukończyłam także podyplomowe studia na Uniwersytecie Ekonomicznym w Poznaniu (kierunek Finanse i rachunkowość). Zawodowo zajmowałam się podatkami (administracja skarbową oraz współpraca z biurami rachunkowymi w ramach posiadanych uprawnień Ministerstwa Finansów do usługowego prowadzenia ksiąg rachunkowych). Mój nieżyjący mąż Włodzimierz był absolwentem Wydziału Prawa UAM i radcą prawnym. Córka Małgorzata ukończyła studia pedagogiczne na UAM. Zainteresowania pozazawodowe to literatura, muzyka klasyczna i pomaganie zwierzętom.

ELŻBIETA STACHOWIAK (SIMON)

Pół wieku to niby kawał czasu, ale wszyscy czujemy się, jakby to było wczoraj. Przepiękny to był czas i na pewno chętnie wróciłabym do klasy z moimi wspaniałymi koleżankami i kolegami. Nie zapomnę Was i dobrze mi było z Wami.

Po maturze zdawałam egzaminy na medycynę. Byłam przekonana, że ich nie zdam i w następnym roku moi rodzice będą się cieszyć, że dostanę się na jakiegokolwiek studia – a wtedy będę mogła studiować to, co mi się podoba. Wyjechałam więc na beztróski „urlop poegzaminowy” z gronem przyjaciół. Urlop był bajkowy, bo byliśmy przecież tacy dorośli... Rodzice szukali mnie telegramami, bym się stawiała na praktyki robotnicze. No tak, po takiej szkole jak „Marcinek” należało się liczyć z tym, że trudno byłoby oblać egzaminy. Studiowałam na Akademii Medycznej w Poznaniu. Potem pracowałam w Pile i studiowałam zaocznie historię sztuki (2 lata). Studia przerwał mi wyjazd do Niemiec, gdzie zrobiłam doktorat i specjalizację z interny. Mam jednego syna i wnuczki Kasię i Julcię. Gdy zakończyłam moje niezbyt udane małżeństwo i byłam przekonana, że doświadczeń męskich więcej mi nie potrzeba, poznałam mojego obecnego męża.

Cieszę się na spotkanie z Wami. A co jest tak niepowtarzalne i jedyne w swoim rodzaju, to że jesteśmy taką „Marcinkową Rodziną”, która jakby wczoraj, a nie pięćdziesiąt lat temu ostatni raz się spotkała.

MAREK WAJCHT

Po studiach na kierunku Organizacja i Zarządzanie na Akademii Ekonomicznej w Poznaniu (1973–1977) rozpocząłem pracę w dziale organizacyjnym przedsiębiorstwa ENERGOPOL 7, a następnie awansowałem na stanowisko kierownika działu rewizji gospodarczej. W latach 1980–1985 pracowałem w Estradzie Poznańskiej jako menadżer zespołu rockowego Turbo. Później do 1995 r. byłem dyrektorem handlowym w firmach zajmujących się handlem drewnem, a także herbatą. Przez kolejne 22 lata pracowałem w korporacjach angielskich.

skiej, amerykańskiej i holenderskiej jako dyrektor handlowy, potem regionalny (handel surowcami kakaowymi do produkcji czekolady). Od 2017 r. zajmuję się nadal handlem surowcami kakaowymi w firmie prywatnej. W 2019 r. przeszedłem na emeryturę.

Podczas studiów zawarłem związek małżeński, obecnie z 47-letnim stażem. Mam dwóch synów – absolwentów „Marcinka”: Michała (matura 1996) i Macieja (matura 2003) oraz troje wnucząt (15 lat, 11 lat i 9 lat). W 2001 r. wyprowadziłem się z Poznania i mieszkam w podpoznańskich Złotnikach.

ELŻBIETA WOŹNIAK (STADERSKA)

Zaraz po maturze wraz z koleżanką Iwoną obcięłyśmy włosy. W pobliżu szkoły spotkałyśmy profesora Barnabę, który stwierdził, że odmłodziłyśmy. Był to początek tzw. słusznego wieku młodych dziewcząt, który nadal trwa. Tego niesamowitego lata – nieco wydłużonego pierwszy raz w życiu o wrzesień z powodu późniejszego rozpoczęcia studiów – pojechałam wraz z grupą studentów, głównie z Uniwersytetu Adama Mickiewicza, a także z koleżanką Krystyną Czajką w Bieszczady na obóz wędrowny. Czekaając na pociąg, na stacji znalazłam w trawie czterolistną koniczynkę. I to był początek mego dość szczęśliwego życia. W drodze z Rzeszowa do Ustrzyk Górnych, którą przejechaliśmy rozklekotanym „ogórkiem”, przez cały czas rozmawiałam z nowym kolegą. Takie cudowne zauroczenie obustronne i dłuugo-trwałe... Taka wolność w Bieszczadach.

Rodzice nie byli z klasy robotniczej, więc przy średnio zdanym egzaminie nie dostałam dodatkowych punktów i nie dostałam się na kierunek lekarski. Wybrałam farmację, choć chciałam być geriatrą. Farmacja to na początku chemia, więc wyobrażacie sobie, z jakim wysiłkiem przechodziłam przez nią po naszej chemii z profesorem Romanem Radochem, który dziewczynom przy tablicy kazał pisać „od góry tablicy” – jak najwyżej i... dawał piątki, natomiast chłopców rygorystycznie nauczał tego ciekawego przedmiotu. Zresztą był niesamowity, gdy wyczarowywał piękne kolory na monetach wrzucanych do tajemniczej chemicznej cieczy. Szczęście mnie nie opuszczało i pa-

mieć do skomplikowanych nazw związków chemicznych okazała się całkiem niezła. Trwa do dziś, już 50 lat.

Na farmacji wybrałam piękny kierunek zielarstwo, który studio- wałam z zapalem i miłością do przyrody. W konkursie prac magi- sterskich wygłosiłam referat na temat „Laktonów seskwiterpenowych obecnych w chryzantemum i dostałam nagrodę. Laktony te uzy- skane z soku ww. kwiatów i badane na myszach (na szczęście nie prze- ze mnie) wykazywały działanie przeciwnowotworowe (!).

Moja pierwsza praca to mistrz zmianowy w Herbapolu w Po- znaniu. Pracowałam przy biurku i na halach produkcyjnych na trzy zmiany. Wyrabiano tam syropy, płyny, maści, drażetki... Był etanol i metanol, które rozróżniałam po zapachu, choć dwie osoby wypily omyłkowo nie ten, co trzeba, i znaleziono je sztywne pod ławkami w parku obok. Wędrowałam przez ten park codziennie, czasem dyżu- rowałam całą noc. Po 2,5 roku pracy przy produkcji leków przesłam do apteki Cefarmowskiej, by nie stracić prawa wykonywania zawodu aptekarza. Było ciekawie: czasem wpadał tramwajarz (przystanek był nieopodal) i wpychał się jako pierwszy, w czasie gdy leków nie było. Czasem czołg przejechał przed oknami, jak w 1981 r.

W czasach szarości i ciemności urodziłam córkę. To słońce pojawi- ło się niespodziewane i było piękne. Ma obecnie 40 lat i też jest far- maceutką, wyjechała do Wielkiej Brytanii i tam pracuje w zawodzie farmaceuty, doradzając lekarzom... (to nie do realizacji u nas, nieste- ty). Mamy tam dwóch szalonych wnuków, którzy nieustannie grają w piłkę.

W końcu lat 90. otworzyliśmy z koleżanką i z mężem hurtownię farmaceutyczną Spektrum. Nie wytrzymała zbyt długo, była za mała. Mąż wyjechał za granicę cokolwiek dorobić, a ja przeniosłam się do apteki w szpitalu im. Pawłowa. Była to praca całkiem nowa i jedno- zmianowa. Zostałam zastępcą kierowniczką na 10 lat. Dużo się działo. Mnóstwo darowych leków, współpraca z pielęgniarkami i lekarzami. Zrobiłam pierwszy stopień specjalizacji. W 2000 r. zaproponowano mi pracę kierownika apteki szpitalnej w ortopedyczno-rehabilitacyj- nym szpitalu klinicznym. To była całkowita nowość. Nigdy wcześniej nie miałam okazji poznać endoprotez czy implantów kręgosłup-

wych... Zamówienia publiczne, kody kreskowe, komputery. I znowu 10 lat szczęścia.

W 2010 r. nastąpiła ostatnia 10-letnia zmiana szpitala. Tym razem na szpital miejski o wielu specjalnościach. Wszystko strasznie zaniedbane. Była akredytacja, odpowiedzialność za 250 pacjentów i dość przyjaźni lekarze potrzebujący czasem rady. Cztery lata temu po pięknym pożegnaniu z załogą apteki szpitalnej przesłama na emeryturę, by opiekować się bliskimi. Szczęście trwa nadal.



Podczas wycieczki do Malborka w klasie maturalnej naszymi opiekunami byli profesorowie Ludwika Wilczyńska (Lusia) i Zygmunt Jakubowski (Paździor)



Do dziś z sentymentem wspominamy
tę wycieczkę

Edek, Ania i Michał →

Danka, Andrzej i Alicja ↓





Wspólny wyjazd ugruntował więzi koleżeńskie





Szkoda, że czas od końca I klasy (od lewej: Bolek, Marek, Andrzej)

do zakończenia klasy maturalnej minął tak szybko. Samowyzwalacz okazał się szybszy od Marka – klasowego fotografa



A pamiętasz to...

Wspomina **KRYSIA CZAJKA**

Jest styczeń 2023 r. Razem z Jolą Koprucką-Purol i Andrzejem Krausem, wspierani telefonicznie przez Marka Wajchta, zastanawiamy się, co warto byłoby zamieścić w opracowaniu z okazji 50-lecia naszej matury. Najpierw mam pustkę w głowie. Tak wiele lat minęło, tak wiele się wydarzyło...

I nagle jest tak, jak z magdalenkami u Prousta. Coś się odblokowuje i obrazy nabierają ostrości...

Są twarze, miejsca, nawet kolory tej jakże szaro-burej wtedy rzeczywistości.

Znowu mam przed oczami **Profesor Agnieszka Duczko-Pater**, która z życzliwym uśmiechem daje dziewczynom na lekcji niemieckiego wsuwki, aby włosy nie wchodzą im w oczy.

Jest **Profesor Mirosława Wolska**, która w niedziele ganiała nas wśród zabytków Poznania, z pasją o nich opowiadając.

Profesor Gerard Sowiński, zwany Barnabą, popija na lekcji herbatę ze słoika twist i wdraża swoją „autorską” metodę sprawdzania, czy przeczytaliśmy obowiązkowe lektury (o czym szerzej pisze Marek).

Przyznam się, że później, gdy coś mnie wkurzało, mówiłam, że nie będę zajmować się tym, jakie skarpetki miał bohater w przełomowym momencie swego życia. Taki żarcik inspirowany Panem Profesorem, rozumiały tylko dla Jego byłych uczniów. To, że przestałam robić

błędy ortograficzne (pamiętam adnotację pod pracą: treść bardzo ciekawa, styl dobry, rażące błędy ortograficzne, dwója), zawdzięczam kaligrafowanym tuszem na kartonie słowom, w których popełniło się błąd. Brr! Do tej pory mnie odrzuca.

Pamiętam, jaką grozę budził we mnie na lekcjach WF, prowadzonych przez **Profesor Annę Burchard**, tak zwany koń i skrzynia. Podbiegałam do nich, owszem, z wdziękiem, po czym stawałam i nie było siły, która zmusiłaby mnie do pokonania tego monstrum.

Trudno nie pamiętać, że w pierwszym tygodniu liceum załapałam trzy niedostateczne z matematyki i usłyszałam od **Profesora Zygmunta Jakubowskiego Paździora**: „Oj, Czajka, Ty to będziesz miała problemy z matematyką”. Gdy już udało się wtłoczyć mi do głowy zasady i reguły królowej nauk, a i z polskiego najgorsza nie byłam, czasem podkreślał: „Zawsze mówiłem, że jak ktoś jest dobry z matematyki, to jest dobry z polskiego”. Czasem, na kolejnych spotkaniach naszej klasy, wrednie mu to wypominałam. Na maturze miałam z matematyki piątkę i jestem pewna, że dzięki temu doświadczonemu pedagogowi, gdybym wtedy zdawała na studia o profilu ścisłym, dostałabym się bez problemu. Choć dziś nie bardzo już pamiętam, czym są całki, różniczkowanie i inne pierwiastki, to sądzę, że Paździur wykształcił w nas przede wszystkim zdolność logicznego myślenia, przydatną w każdej dziedzinie. Dodam, że w redakcji „Głosu Wielkopolskiego”, gdy jeszcze makietowaliśmy strony wstępnie na papierze, byłam jedyną, która liczbę znaków i wierszy dzieliła i mnożyła bez pomocy kalkulatora.

Ważnym etapem mojego szkolnego życia była bez wątpienia współpraca z „Tygodnikiem Żakowskim”. Żadne późniejsze doświadczenia dziennikarskie nie mogły się równać z emocjami, gdy nasze teksty „wisały na tablicy”. Te doświadczenia w dużym stopniu wpłynęły na moje późniejsze wybory.

A propos wyborów! Dla dość naiwnej, pełnej ideałów nastolatki miejscem szczególnie było **drużyna harcerska Błękitna 14**. Nie wiem, na czym to polegało, ale w późniejszym życiu, gdy spotykałam kogoś z drużyny, zawsze okazywaliśmy sobie życzliwość. Nawet jeśli – jak to w polskim kociołku – różniły nas poglądy czy polityka. Osoby, o których myślę, dobrze to wiedzą. Serdecznie pozdrawiam!

I na koniec tego wianuszka wspomnień **Nieszawka – koedukacyjny obóz**, podczas którego opiekujący się nami Barnaba zapewne niejedną włos stracił. Byliśmy wtedy pełni zapału do sportów, szczególnie nocnych! Należały do nich między innymi randki pod chmurką, zbiorowe palenie papierosów i podglądanie rozbierających się dziewczyn. No i co? Skandalu z tego nie było, na ludzi wyrosliśmy, a Barnaba chyba nas lubił.

My Jego też, czego jestem chyba najlepszym dowodem. Kiedy Profesor Gerard Sowiński zadzwonił do mnie kiedyś z niecierpiącą zwłoki sprawą, byłam dzień po wycięciu – w wieku lat 40 – migdałków (zresztą też przez marcinkowszcza, Andrzeja Stefaniaka). Byłam w stanie tylko wycharzczyć coś do telefonu. Profesor nie zraził się tym, lecz energicznie wyluszczył, o co chodzi. Oczywiście zadanie zrealizowałam. Jak to w „Marcinku”!

Lekcja matematyki – „szczegóły mają znaczenie” albo „zielone pojęcie”

Wspomina ALICJA JUCHNIEWICZ (MEISNER)

Lekcja matematyki, Profesor Jakubowski (Paździor) i my żuczki wchodzimy do klasy. Niektórzy spokojni, pewni siebie, inni na ugiętych nogach, z przerażeniem w oczach. Zaczyna się lekcja. „Wyrocznia” wybiera kogoś z nas, wybrany idzie do tablicy, dostaje zadanie i działa.

Otwiera nawias... i wykonuje niezwykle skomplikowane (dla niektórych) działania na tablicy. Po skończeniu z miną zwycięzcy obraca twarz ku „Wyroczni”. Obserwatorzy pełni zachwytu oczekują potwierdzenia z ust profesora i tu następuje zwrot akcji... „Guru” zadaje niezrozumiałe dla większości pytanie: „Czy to wszystko?” Delikwent po chwili wahania, przyglądając się swojemu dziełu, oświadcza na swoją zgubę: „Tak, panie profesorze”. Werdykt profesora, ku zaskoczeniu klasy, brzmi: „Siadaj – dwa”.

Niezrozumienie i konsternacja to mało powiedziane. Atmosfera gęstnieje, synapsy pracują na najwyższych obrotach, wszyscy szukamy (wszyscy to lekka przesada) błędu w rozwiązaniu.

Rozzazzone do czerwoności neurony przetwarzają wszystkie możliwości i nic! Kolejni wojownicy padają jak muchy, a było ich trzynastu. Aż nagle wybór pada na delikwentkę typu Alicja, która nie ma zielonego pojęcia o matematycznych zawłościach rozpisanych na tablicy. Ze strachem podchodzi do przerażającej czarnej tablicy z białymi kredowymi znakami i w akcie desperacji ...**zamyka nawias**. I wtedy staje się niemożliwe. Z ust naszego „Guru” pada: „No właśnie! O to chodziło! Zielone pojęcie...! Jak oni nie rozumieją, że matematyka to nauka ścisła, to niczego nie rozumieją. Znaki matematyczne są po to, by je stosować!”

I tak nieświadoma swego działania, przerażona swoim czynem i jego śmiałością, zostałam uratowana wśród trzynastu poległych...

Bahama yellow czyli Fiat versus Syrena

Wspomina **ANDRZEJ KRAUSS**

„Koń, jaki jest, każdy widzi”*. **Syrena, Fiat – jakie są, każdy widział**, szczególnie w latach 70. XX wieku. To było „widać, słyszać i czuć”, dosłownie i w przenośni. Ta różnica wręcz zakuła w oczy szacowne Grono Pedagogiczne „Marcinka”, gdy wiosną 1971 r. Bolek przyjechał do szkoły samochodem swojego taty, zaparkował pojazd między nielicznymi wówczas automobilami profesorskimi, a były to głównie cuda krajowej myśli technicznej, takie jak Syrena (silnik zapożyczony z motopompy), Mikrus (silnik motocyklowy), a także cuda techniki autorstwa (lub plagiatu) inżynierów zaprzyjaźnionych bratnich narodów: M-20 Pobieda (=Warszawa), Moskwiacz, P-70, Trabant, Wartburg.

Gdyby nie kolor... bajerancki, wymarzony, dostępny tylko dla nielicznych prominentów, którego już sama angielska nazwa i geograficzne skojarzenia przyprawiały o dreszcze płec piękną, kolor wcześniej kojarzony tylko z bolidami marki Porsche model 911 S...

* *Nowe Ateny*, Benedykt Chmielowski (1700–1763).

Gdyby nie zaparkował... obok tej nierzucającej się w oczy Syreny...

Gdyby nie przyjechał... samochodem tej marki...

Gdyby... Fiat 125 p w kolorze bahama yellow nie znalazł się obok Syreny...

Bolek przewodniczyłby prawdopodobnie samorządowi klasowemu dłużej, ale przecież „Skojarzenia to przekleństwo – jakiegokolwiek podobieństwo było czysto przypadkowe”... (?)

P.S.

Bolek nie parkował już nigdy samochodu na terenie szkoły (podobno). Paździor (Profesor Zygmunt Jakubowski) zmienił markę samochodu (podobno).

Klucz albo lekcja historii w wykonaniu Paździora

Wspomina **ANDRZEJ KRAUSS**

Owego wiosennego dnia Roku Pańskiego 1971 uczniowie klasy II B czekali *g r z e c z n i e* (wychowawca Paździor!) na lekcję historii przed salą nr 101 (pierwsze piętro, okna wychodzące na ul. gen. K. Świerczewskiego (obecnie ul. Bukowska – informacja ważna dla dalszego biegu wydarzeń).

Korytarze opustoszały, lekcje rozpoczęte, a my czekamy. Szczęśliwym trafem (czy aby na pewno?) drzwi do sali były otwarte, wystarczyło nacisnąć klamkę... i weszliśmy. Każdy usiadł na swoim miejscu... na chwilę. Klucz leżał na stole (katedrze). Zamknęliśmy drzwi na klucz... chyba tylko po to, aby wszyscy byli obecni do końca wydarzeń, które miały nastąpić. Mimo że miała to być lekcja historii zaobserwowaliśmy dziwne zjawiska metafizyczne, a mianowicie unoszące się w powietrzu przedmioty: gąbki, ścierka, kreda, a nawet klucz, były to pierwsze **drony pokojowe**. Warto zapamiętać: I LO im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, Polska 1971 r. – pierwsze udane testy dronów. Klucz doleciał najdalej, obrał trajektorię przez

otwarte okno w kierunku ulicy. Te ekscytujące i jakże twórcze zajęcia przerwało głośne pukanie do drzwi. Pan Woźny („Pedell”) domagał się ich otwarcia, ale solidne przedwojenne drzwi nie puściły, w przeciwieństwie do tych u Jana Kochanowskiego. Drony – z wyjątkiem tego, który opuścił klasę – powróciły na miejsca startowe.

Znalazł się niestety klucz zapasowy i do klasy wkroczył powiadomiony przez woźnego wychowawca – Zygmunt Jakubowski, Profesor od matematyki, a w pierwszej klasie także od fizyki, czyli Paździor we własnej osobie. Zarządził kartkówkę. Zadania dotyczyły materiału z poprzedniej lekcji... oczywiście matematyki. Wynik był z góry przesądzony – średnia ocen całej klasy 2,0. Dzwonek na przerwę zakończył gehennę.

P.S. 1

Nie poskarżyliśmy się ani rodzicom, ani dyrektorowi, po prostu nikomu. Paździor o wydarzeniu nie wspomniał na wywiadówce. Oceny z kartkówki nie zaważyły na ocenie na świadectwie. Pozostały wspomnienia. A wszystko dzięki nauczycielowi, który nie przyszedł na lekcję.

P.S. 2

Z perspektywy roku 2023 wyglądałoby to tak: Informujemy rodziców o jawnej niesprawiedliwości i naruszeniu dóbr osobistych. Rodzice robią awanturę na wywiadówce, składają skargę do dyrektora i kuratorium na matematyka za niezapowiedzianą kartkówkę i żądają anulowania niesprawiedliwych ocen. Kolejna skarga kierowana jest do wiadomego ministra na kuratora za brak nadzoru nad szkołą. Matematyk traci pracę.

* Ein Pedell ist eine organisatorische Hilfskraft bei öffentlichen Institutionen, wie Gerichten, Schulen und insbesondere an Universitäten (absolwenci klasy niemieckiej, wychowankowie Pani Profesor Duczko-Pater nie potrzebują tłumaczenia na język polski).

Pedell jest asystentem organizacyjnym w instytucjach publicznych, takich jak sądy, szkoły, a zwłaszcza na uniwersytetach.

Malbork czyli upragniona wycieczka klasowa

Wspomina **ANDRZEJ KRAUSS**

A było to tak... Pod koniec pierwszego roku nauki w Pierwszym Zakładzie (pamiętamy (?), jak powtarzaliśmy: „jesteśmy uczniami Pierwszego Zakładu, jesteśmy z tego zadowoleni”) ktoś zaproponował, aby zorganizować wycieczkę i pojechać „całą klasą w Polskę”. Świetny pomysł niestety nie doczekał się realizacji, bo podobno było już za późno, aby zorganizować noclegi, transport, uwzględnić kilkudniowy wyjazd w planach urlopowych nauczycieli.

W kolejnym roku naszej edukacji chęć dalszej integracji klasowej była bardzo silna. Należy w tym miejscu wspomnieć, że byliśmy drugim rocznikiem koedukacyjnym w dotychczas męskim „Marcinku”. Niestety, także w drugiej klasie nie udało się zrealizować wyjazdu z powodu bliżej nieokreślonych obiektywnych trudności. Zaczęliśmy podejrzewać, że prześladuje nas jakieś fatum. Mimo to cierpliwie i z nadzieją – bo jak wiadomo, nadzieja umiera ostatnia – czekaliśmy do kolejnych ferii letnich. Mieliśmy po swojej stronie rodziców z trójki klasowej. I tym razem znowu coś nie wyszło.

W czwartej klasie myśleliśmy bardziej o maturze, wyborze fakultetów i studiów niż o wycieczce. A tu niespodziewanie pech nas opuścił. Okazało się, że nie ma już żadnych przeszkód, „obiektywnych trudności”, a wyjazd da się „ogarnąć” logistycznie – po prostu „cud nad Wisłą”. Już po czterech latach starań wyjazd w Polskę zmaterializował się. Radość i niedowierzanie. Jedziemy! To znaczy my wraz z Paździorem i z Profesor Ludwiką Wilczyńską oraz przedstawiciele „czynnika rodzicielskiego” – państwo Jagodzińscy – rodzice Mai, bez pomocy których wycieczka prawdopodobnie znowu by się nie odbyła.

Punktem docelowym wyjazdu był Malbork.

Wesoły autobus powiózł nas w Polskę. W drodze uzupełnialiśmy nie tylko paliwo silnikowe, ale również poziomy płynów w naszych organizmach, m.in. wzmocnioną herbatą. Wycieczkę dokumentował kolega Marek, nie tylko aktywny chórzysta – pierwszy prezes szkolnego chóru pod batutą Antoniego Grochowalskiego (do dzisiaj czyn-

ny chórzysta Chóru Absolwentów „Marcinka”), harcerz Błękitnej 14, a także uzdolniony fotograf.

Pierwszy dzień w „Marcinku”

Wspomina **KRZYSZTOF KURPIŃSKI**

Minęło już ponad 50-lat, ale pierwszego dnia w „Marcinku” na pewno nie zapomnę. Po ogólnym powitaniu w auli, udaliśmy się z naszym nowym wychowawcą – profesorem Zbigniewem Jakubowskim – do naszej klasy. Na początku dowiedzieliśmy się, że jest on także naszym nauczycielem matematyki i że dopiero teraz – w Marcinku – rozpocznie się prawdziwa nauka, a nasze dotychczasowe wyniki ze szkół podstawowych możemy spokojnie zapomnieć.

Ponieważ w pierwszy dzień szkoły nikt z nas nie oczekiwał nauki i nie mieliśmy ani zeszytów, ani długopisów, więc profesor rozdał nam kartki i ołówki w celu przeprowadzenia małej kartkówki z matematyki. Wyniki tego testu były oczywiście katastrofalne. O ile dobrze pamiętam najlepszą notą była trójka, a kilkoro z nas otrzymało nawet jedynki i zerówki. Na zakończenie dowiedzieliśmy się, że „tegoroczny materiał jest beznadziejny” ale on się postara „z tego materiału” sformować co możliwe. Obiecał nam, że po czterech latach otrzymamy te kartkówki, aby zobaczyć co udało mu się osiągnąć.

Ten pierwszy dzień w Marcinku był dla mnie dużym przeżyciem, ale jednocześnie stał się symbolem nowego etapu życiowego. Mieliśmy w pierwszym roku fantastycznych nauczycieli, którzy wymagali od nas dużej dyscypliny, ale potrafili bardzo skutecznie przekazać nam swoją wiedzę. Tylko nasi rodzice nie zawsze byli przygotowani na tę nową sytuację. Moja mama po latach wspominała swoją pierwszą wywiadówkę w Marcinku, gdzie nagle pojawiło się sporo trój na świadectwie. Zaskoczona tymi wynikami zapytała profesora Jakubowskiego, czy to ma sens, aby syn dalej uczęszczał do Marcinka. Jego odpowiedź była typowa: Przecież nie będziemy ich rozpuszczać, na początek muszą się nauczyć solidnej pracy.

Z dzisiejszego punktu widzenia właśnie tego nas nauczono – solidniej pracy. Jestem wdzięczny profesorowi Jakubowskiemu nie tylko za wiedzę matematyczną, ale również za wspaniały trening mentalny. Podniesiony głos, czy też lecąca kreda nie wywołuje u mnie żadnych stresów. Pan profesor Sowiński nauczył mnie szacunku do języka i praktycznie pokazał, jak ważna jest umiejętność werbalnej komunikacji z otoczeniem. Pani profesor Duczko-Pater stworzyła bazę do nauki języka niemieckiego, co później bardzo pomogło mi w życiu zawodowym.

Przyjacielska, do kobiet nieprzyjacielsko nastawiona szkoła

Wspomina ELA STACHOWIAK (SIMON)

Szkoła stała się koedukacyjna, ale profesorowie byli profesorami gimnazjum męskiego i nie kryli, że koedukacyjne zmiany nie znajdują ich akceptacji. Z grubsza można powiedzieć, że ich sposób wychowywania płci żeńskiej stanowił przedsmak tego, co później było zawodową rzeczywistością, to znaczy, że każda dziewczyna musiała być co najmniej X razy lepsza niż męski posiadacz zdegenerowanego genu XX, czyli Y.

Barnaba był najzarliwszym wyznawcą tej ideologii. Parę przykładów. W męskim liceum pomimo wyborów i preferencji żadna kobieta nie będzie redaktorem naczelnym gazety uczniowskiej. Barnaba – omnipotentny władca – wyrzucił mnie na pierwszych zajęciach fakultatywnych z mojego ukochanego polskiego z następującym wyjaśnieniem: „Ty jesteś zbyt inteligentna, żeby się tym zajmować, studiuj coś rozsądnego, co ci pozwoli dobrze zarabiać”. *Ave, Caesar* – studiowałam medycynę. Ale trzeba przyznać, że i mężczyznom nie oszczędził swoich metod wychowawczych, takich jak deptanie po nogach, jeśli ktoś siedzący w pierwszej ławce nie zdążył ich cofnąć. Moja bezsilność, gniew i poczucie niesprawiedliwości było treningiem na dorosłe moje życie. Humanistyczne wychowanie z wartościami demokratycznymi jest być może utopią, ale młodzi ludzie mają prawo do utopii.

Kontrast dla Barnaby stanowiła Mątwą, która starała się w tych ideologicznie niełatwych czasach przekazywać nam wartości moralne na podstawie wydarzeń historycznych.

A nasz wychowawca Paździor? Mimo że nie byłam talentem matematycznym, uwielbiam go do tej pory.

Lalka czyli jak Barnaba sprawdzał znajomość lektur

Wspomina MAREK WAJCHT

Była to lektura, którą wyjątkowo przeczytałem w całości, a ponadto obejrzałem film.

Przed przystąpieniem do obrzędu sprawdzenia znajomości lektury Barnaba zwyczajowo zadawał...

...pytanie retoryczne: **Kto nie przeczytał lektury?**

Można było taki fakt zgłosić bez konsekwencji przed zadaniem tego wrednego pytania. Następnie wezwał mnie na środek klasy, aby sprawdzić moją wiedzę i zadał....

...pytanie zasadnicze: **Kto to jest Deklewski?**

Kiedy zrobiłem głupią minę i taką samą minę miała cała klasa, Barbi oświadczył: W takim razie zadam pytanie pomocnicze: **Z czego Deklewski się utrzymywał?**

Cisza...

W takim razie zadam ostatnie pytanie pomocnicze: **Gdzie Deklewski spotkał się z Wokulskim?**

Cisza...

Padło więc...

...pytanie finałowe: **Kto j e s z c z e nie przeczytał *Lalki*?**

W taki oto sposób delikwent poddawany obrzędowi sprawdzania znajomości lektury dowiadywał się, że zdaniem Barnaby nie przeczytał lektury i otrzymywał ocenę niedostateczną.

Powtórzę: powieść Bolesława Prusa *Lalka* przeczytałem i obejrzałem film. Dla niewtajemniczonych wyjaśnię, że postać Deklewskiego jest wymieniona w książce jeden raz na pierwszej stronie. Wokulski siedzi w knajpie u Fukiera, a wśród wielu innych biesiadników jest tam także fabrykant powozów, niejaki Deklewski.

Poczułem się bardzo źle potraktowany i siadając w ławce, rzuciłem na nią z furią dwa tomy książki, które z rozpędu uderzyły Barnabę. Andrzej (Krauss) zaczął mnie namawiać, abym przeprosił, ale nie miałem takiego zamiaru. Jednak po przemyśleniu na przerwie podszedłem do Barnaby i przeprosiłem. Usłyszałem wtedy, że: „Uczeń to też człowiek i ma prawo zdenerwować się”.

Klasa C

Wychowawca: **GABRIELA DRZEWIECKA**

Uczniowie

Daria Augustyniak (Adamowicz, Zydorczyk)	Włodzimierz Kienitz [‡] Andrzej Korcz
Krzysztof Biwojno	Grażyna Kowalka
Barbara Cieślak (Tschuschke)	Jerzy Kubiak
Ryszard Dembiński	Danuta Michalska (Grundwald)
Agnieszka Monika Fenrych (Brunarska)	Jerzy Nowaczyk Piotr Nowaczyk
Ilona Garbarek (Giemza)	Stefania Olejniczak (Jarzębska)
Barbara Grycza	Bogusław Przybył [‡]
Grażyna Heizler (Calińska)	Marek Rakowski
Włodzimierz Jankowiak	Marian Rokosz
Maria Jaroszyk (Lewowicka)	Anna Rybarska (Koczorowska)
Ilona Garbarek (Giemza)	Krzysztof Sawiński
Roman Junik	Alina Siwa (Ratajczyk)
Zbigniew Kachlicki	Ewa Skrzypek (Antkowiak)
Ewa Kaczmarek (Hubski)	Mirosław Sroka
Przemysław Kaczmarek	Maria Stuligrosz
Hanna Kalemba [‡] (Kozak)	Hanna Szymendera (Nowaczyk)

Marek Tubacki [‡]	Wiesław Zimmer
Krzysztof Wójciak	Jolanta Zielonka (Mucha)
Beata Zajdlewicz (Musierowicz)	

Osoby, które przez pewien czas uczęszczały do klasy C

Wiesław Czajor	Bogumiła Matuszak
Jacek Frankiewicz	Jan Michalski
Elżbieta Frąckowiak	Tomasz Uzarewicz
Zbigniew Gordon	

DARIA AUGUSTYNIAK (ADAMOWICZ, ZYDORCZYK)

Ukończyłam studia na Wydziale Zootechniki Akademii Rolniczej w Poznaniu. Po studiach po 6 latach pracy w zawodzie i życia na wsi z przyczyn rodzinnych wróciłam do Poznania i podjęłam pracę w Urzędzie Statystycznym w Poznaniu. Przez kilka lat byłam kierowniczką Wydziału Rejestrów, a ostanie lata przed emeryturą kierowniczką Wydziału Koordynacji i Organizacji Badań. Od roku 2000 mieszkam w Komornikach. Mam dwóch synów: Konrada i Patryka. Jestem także szczęśliwą babcią dwóch wnuczek – Oliwii i Mayi oraz wnuka Alexandra.

RYSZARD DEMBIŃSKI

Jestem absolwentem Wydziału Budownictwa Lądowego Politechniki Poznańskiej. Zdobyłem uprawnienia budowlane i ukończyłem studium podyplomowe eksportu budownictwa i dostaw inwestycyjnych. Jako kierownik budowy realizowałem rozbudowę Palmiarni Poznańskiej, Pawilonu na MTP, szpitala ginekologiczno-położniczego przy Polnej w Poznaniu i kilku obiektów na lotnisku Ławica. Lata 1994–2008 to okres mojej pracy dyrektora w inwestycjach aktualnego Uniwersytetu Medycznego; w tym czasie powstał Instytut Stomatologii, a łącznie zrealizowano przeszło 50 różnych zadań inwestycyjnych uczelni. W 2008 r. podjąłem największe wyzwanie – prezesowanie spółce EURO POZNAŃ 2012 budującej Stadion Miejski w Poznaniu; jako pierwsi w Polsce ukończyliśmy swój zakres przed EURO

2012... W latach 2013–2020 pracowałem w zarządzie Wielkopolskiego Centrum Wspierania Inwestycji. W tym czasie powstał budynek biurowy Za Bramką z 4-kondygnacyjnym podziemnym garażem, przywrócono dawny blask Miejskim Łazienkom Rzecznym przy Piastowskiej w Poznaniu, wykonaliśmy też prace w Poznańskim Parku Technologiczno-Przemysłowym na Dębcu.

Od roku 2020 jestem Dyrektorem ds. Technicznych w Zarządzie Komunalnych Zasobów Lokalowych w Poznaniu; eksploatujemy ponad 1000 kamienic, prawie 50 przychodni, 300 innych budynków. Każdego roku kompleksowo modernizujemy te w najgorszym stanie technicznym. Budujemy również mieszkania komunalne, przygotowujemy nowe zakresy do realizacji... Lubię moją pracę i możliwość wykorzystania wiedzy i doświadczenia.

Do naszej szkoły mam ogromny sentyment; kończył ją w 1950 r. mój ojciec Bolesław, nieco wcześniej w 1948 r. jego starszy brat Bogusław, a w 1975 r. moja żona Róża i młodszy brat Mariusz...

W wolnych chwilach rodzinnie pływamy kajakami, w zimie wyjeżdżamy na narty. Jeździmy rowerami, uwielbiamy zwiedzanie ciekawych egzotycznych kierunków (Tajlandia, Chiny, Meksyk, Bali, Kambodża, Wietnam, Sri Lanka, Malediwy), a również tych bliższych...

Jestem szczęśliwym mężem, ojcem dwóch córek i dziadkiem piątki wnucząt.

AGNIESZKA MONIKA FENRYCH (BRUNARSKA)

Po ukończeniu studiów na Wydziale Budownictwa Lądowego Politechniki Poznańskiej – specjalność konstrukcje budowlane i inżynierskie przez 25 lat pracowałam w Poznaniu przy projektowaniu, budowie i nadzorze inwestorskim mostów. Wycieczka Związku Mostowców na Sycylię i do Włoch Południowych odmieniła moje życie, bo jej efektem było zamążpójście, przeprowadzka do Warszawy i zawodowe zajmowanie się drogami miejskimi zamiast mostami.

Od 2020 r. jestem na emeryturze. Moją pasją pozostają podróże do Włoch i fotografowanie.

ILONA GARBAREK (GIEMZA)

Studia – poznańska Akademia Rolnicza, Wydział Technologii Drewna. Pierwsza praca po studiach – w przemyśle meblarskim: w Jarocińskich Fabrykach Mebli, potem w Swarzędzkich Fabrykach Mebli. Po przygodzie z przemysłem powrót na macierzysty Wydział Technologii Drewna i praca asystenta w Katedrze Meblarstwa. Pod koniec lat 80. wyjechałam z rodziną do Warszawy, gdzie mieszkamy do dziś.

Od ponad 20 lat wraz z mężem i najstarszym synem pracujemy w firmie rodzinnej produkującej artykuły dekoracyjne – nadal w branży związanej z meblarstwem.

Moja kochana rodzina to mąż Paweł, z którym jesteśmy na dobre i na złe prawie od początku studiów, dwóch synów: Maciej i Wojciech oraz córka Paulina. Mamy dwie wspaniałe wnuczki.

ROMAN JUNIK

Absolwent Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Poznaniu, pracownik tamtejszej Kliniki Endokrynologii.

W 2000 r. w Bydgoszczy stworzyłem wraz z zespołem Klinikę Endokrynologii i Diabetologii, której kierownikiem jestem do dziś. Specjalista chorób wewnętrznych, medycyny nuklearnej, endokrynologii i diabetologii. Obecna afiliacja: Katedra Endokrynologii i Diabetologii Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, Centrum Medyczne w Bydgoszczy, Klinika Endokrynologii i Diabetologii, Szpital Uniwersytecki w Bydgoszczy.

Jestem żonaty, mam syna i dwoje wnucząt.

ZBIGNIEW KACHLICKI

Absolwent Wydziału Elektrycznego Politechniki Poznańskiej.

W latach 1978–1993 pracowałem w PPMUB Elektromontaż Poznań jako kierownik robót elektrycznych na różnych inwestycjach, m.in.: Starego Browaru w Poznaniu, przebudowie Toru Regatowego Malta, budowie Portu lotniczego Okęcie w Warszawie, budowie

Wielkopolskiej Giełdy Rolno-Ogrodniczej. Od 1993 r. prowadziłem własną firmę elektroinstalacyjną. Od 2020 r. jestem na emeryturze i jednocześnie pracuję jako inspektor nadzoru na różnych inwestycjach: m.in. przebudowa Rynku Łazarskiego, przebudowa ulicy Gnieźnińskiej, budowa pawilonu dla żyraf w poznańskim ZOO, przebudowa i rewitalizacja Starego Rynku.

Jeszcze w liceum uprawiałem wyczynowo żeglarsstwo w Sekcji Żeglarskiej AZS Poznań, następnie byłem (i nadal jestem) trenerem i działaczem AZS oraz Wielkopolskiego Okręgowego Związku Żeglarskiego.

Jestem szczęśliwym mężem i ojcem dwóch córek i syna oraz dziadkiem czworga wnucząt.

ANDRZEJ KORCZ

Absolwent Wydziału Technologii Drewna, Akademii Rolniczej w Poznaniu.

Działalność zawodowa związana z przemysłem meblarskim. W 2020 r. przejście na emeryturę. Obecnie udział w prowadzeniu rodzinnej firmy audytorskiej.

JERZY KUBIAK

Ukończyłem Akademię Medyczną w Poznaniu i 1979 r. podjąłem pracę w szpitalu przy ul. Polnej. Później obroniłem pracę doktorską na Akademii Medycznej – jeden z wniosków mojego doktoratu stał się obowiązującym elementem profilaktyki konfliktu serologicznego w zakresie układu Rh D.

W ramach kontraktu pracowałem także w szpitalu w Nigerii, w miejscowości Jos. Była to niezwykła przygoda, okazja do poznania innych kultur, ludzi, zwyczajów i zawarcia przyjaźni.

Pełniłem też funkcje lekarza wojewódzkiego, a później dyrektora Centrum Stomatologii Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. Nadal pracuję jako lekarz ginekolog położnik w poradniach, a przede wszystkim w założonym wspólnie z żoną NZOZ-ie. Żona Dagmara także kończyła „Marcinka” (3 lata później).

Mamy syna i dwie wnuczki. I to jest największa radość w życiu – rodzina.

DANUTA MICHALSKA (GRUNDWALD)

Po maturze nie dostałam się na Wydział Lekarski w Poznaniu, ponieważ ...jestem kobietą. Zaczęłam pracować, chcąc jeszcze raz podejść do egzaminów. Praca w Szpitalu Wiktora Degi przerosła mnie emocjonalnie i poddałam się... Zaczęłam studia na Wydziale Farmacji. W 1978 r. skończyłam kierunek Analityki Klinicznej i po nieudanych próbach znalezienia interesującej mnie pracy podjęłam pracę w aptece na Sołaczcu. W 1980 r. wyszłam za mąż, w 1982 r. urodził się syn Dominik, a w 1984 r. córka Marta. Po urlopie wychowawczym w 1987 r. nie wróciłam już do apteki. Zaczęłam pracę w Pracowni Mykologicznej Szpitala Miejskiego im. J. Strusia w Poznaniu. Prowadzę ją do dzisiaj, obecnie w Szpitalu przy ul. Szwajcarskiej w Poznaniu. Dodatkowo przez 20 lat pracowałam w aptece na poznańskiej Starówce (współwłaścicielką była koleżanka z naszej klasy Ewa Skrzypek), a później w Swarzędzu Pod Koroną. Dzięki temu udało mi się zrealizować marzenie: wybudowałam klimatyczny drewniany dom na wsi, w którym mieszkam do dzisiaj. W międzyczasie szczęśliwie się rozwiodłam. Mam troje wspaniałych wnucząt w wielu 9, 8 i lat: Matyldę, Miłosza i Rozalię.

JERZY NOWACZYK

Studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Poznańskiej, potem praca na uczelni w Instytucie Elektroniki i doktorat. Pod koniec studiów ożeniłem się z Hanią Szymenderą, koleżanką z klasy C z „Marcinka” i z roku. Mamy syna Sławka, który jest profesorem informatyki w Szwecji i córkę Alicję, która jest lekarzem weterynarii w Poznaniu.

Praca dydaktyczna była moją pasją przez ponad 15 lat. W 1991 r. odkryłem nową pasję – tworzenie miniaturowych form graficznych, czyli pieczętek. Założyłem wspólnie z żoną zakład małej poligrafii HJN, w którym pracuję do dziś. Od ponad roku mamy w rodzinie

nowe wyzwanie i szczęście, czyli długo oczekiwaną wnuczkę Julię. Daje nam ona zastrzyk energii na kolejne lata.

PIOTR NOWACZYK

Ukończyłem studia na Wydziale Rybactwa Morskiego przy AR w Szczecinie. W 1978 roku wypłynąłem w mój pierwszy dalekomorski rejs na statku rybackim i przez siedem lat kontynuowałem to zajęcie.

Później przekwalifikowałem się i pracowałem jako supercargo/supervisor załadunku statków chłodnicowców dla polskich i zagranicznych armatorów na całym świecie.

Obecnie jestem na emeryturze i mieszkam w Krakowie. Mam dwóch synów i dwóch wnuków.

STEFANIA OLEJNICZAK (JARZĘBSKA)

Po maturze miałam rok przerwy, który wykorzystałam, pracując w Bazie Transportu Poznańskiego Przedsiębiorstwa Surowców Wtórnych w Poznaniu. To było pierwsze doświadczenie zawodowe.

W 1980 roku ukończyłam studia na Wydziale Melioracji Wodnych Akademii Rolniczej w Poznaniu i rozpoczęłam pracę w Przedsiębiorstwie Konserwacji Urządzeń Wodnych i Melioracyjnych w Obornikach Wielkopolskich. Od 1986 r. miejscem zatrudnienia był Wojewódzki Klub Techniki i Racjonalizacji w Poznaniu. W latach 1990 do 2016 (do przejścia na emeryturę) byłam pracownikiem Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Poznaniu. Całe życie zawodowe miło wspominam, bo zawsze było mi dane pracować z nieprzeciętnymi ludźmi.

Mam wspaniałą rodzinę.

BOGUSŁAW PRZYBYŁ[†]

Studiowałem na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Poznaniu. Po studiach podjąłem pracę w Bydgoszczy. W planach miałem w ciągu 1,5 roku zaliczyć staże podyplomowe, odebrać mieszkanie,

a następnie wrócić do Poznania. Splot wydarzeń – stan wojenny, ślub i narodziny syna spowodowały, że korzenie poznańskie coraz głębiej wrastały w glebę bydgoską. Początki zatrudnienia związane były z pracą w POZ. Po stażach specjalizacyjnych wróciłem do pracy na pierwszej linii frontu. Cała moja kariera to lekarz pierwszego kontaktu. Aktualnie jestem aktywnym zawodowo emerytem i szczęśliwym dziadkiem kochanego Szymka.

[Nasz Kolega Bogusław zginął 18.01.2023]

ANNA RYBARSKA (KOCZOROWSKA)

Po maturze zdawałam na Politechnikę Poznańską, ukończyłam Organizację i Zarządzanie na Budowie Maszyn. Po studiach pracowałam w ośrodku informatyki w firmie MERAZET. Wyszłam za mąż i urodziłam córkę. Po kilku latach pracy otworzyłam własną pracownię krawiecką, którą prowadziłam prawie 20 lat. Następnie pomagałam mężowi w prowadzeniu firmy – przedstawicielstwo firmy GERDA. Mąż nadal ma firmę, a ja ze względu na stan zdrowia byłam na rencie, a obecnie jestem emerytką.

Doczekałam się dwóch wspaiałych wnuków – 17 i 15 lat, których bardzo kocham. Od wiosny do późnej jesieni spędzam czas na działce nad jeziorem. Zwiedzam Polskę, kraje bliższe i dalekie.

MIROŚLAW SROKA

Ukończyłem studia na Wydziale Technologii Drewna Akademii Rolniczej w Poznaniu. Praca w wyuczonym zawodzie nie odpowiadała mi, dlatego po odbyciu obowiązkowego przeszkolenia wojskowego w ramach SOR-u zmieniłem zawód i podjąłem służbę w resorcie MSWiA. W Komendzie Wojewódzkiej Policji w Poznaniu w pionie Przystępności Gospodarczej przepracowałem ponad 20 lat. Po przejściu na wcześniejszą emeryturę policyjną dorabiałem na różnych stanowiskach w kilku firmach, zakładach i w jednostkach samorządowych. W latach 90. przeprowadziłem się z Poznania na wieś do Gminy Tarnowo Podgórne, gdzie zamieszkuję z żoną, dwoma synami i trojgiem wnucząt.

MARIA STULIGROSZ

Studiowałam historię i bibliotekoznawstwo na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pracę zawodową podjęłam jako bibliotekarka. Najpierw pracowałam w bibliotece Akademii Muzycznej im. I. J. Paderewskiego w Poznaniu. Następnie przeszłam do Wojewódzkiej Biblioteki i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu.

HANNA SZYMENDERA (NOWACZYK)

Ukończyłam studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Poznańskiej. Pod koniec studiów wzięłam ślub z Jurkiem Nowaczykiem, kolegą z klasy C z „Marcinka” i ze studiów. Mamy syna Sławka (profesor informatyki) i córkę Alicję (lekarz weterynarii). W zawodzie nie pracowałam, za to przez kilkanaście lat byłam nauczycielką matematyki w szkole podstawowej. Praca ta dała mi wiele satysfakcji. Potem współpracowałam z mężem w naszej firmie poligraficznej HJN.

Niezrealizowane marzenie o karierze lekarki zaowocowało zainteresowaniem medycyną naturalną, która jest moją pasją do dzisiaj. Od ponad roku jestem szczęśliwą babcią długo wyczekiwanej wnuczki.

KRZYSZTOF WÓJCIAK

Studiowałam na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Poznańskiej. Po studiach na 10 lat zakotwiczyłem jako konstruktor w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Maszyn Pakujących. Ostatnie 3 lata tego okresu spędziłem na kontrakcie w Niemczech, w firmie Hassia Verpackungsmaschinen. Wróciłem pełen wiedzy i nowych doświadczeń. Następne 4 lata spędziłem na testowaniu kilku firm, które jednak nie spełniły moich oczekiwań. Z tych ciekawszych był to ZM Remopap (montaż fabryk papieru – także w Niemczech) i Sea King Ltd Sp. z o.o. (produkcja sprzętu gastronomicznego dla wielkich statków wycieczkowych). Przypadkowo trafiłem na producenta sprzętu chłodniczego do supermarketów z Austrii – Hauser GmbH. Nawiązana współpraca zaowocowała utworzeniem przedstawicielstwa w Polsce,

a następnie utworzeniem spółki z udziałem polskiego przedsiębiorstwa Systherm—Hauser. Niestety, współpraca z polską firmą nie układała się najlepiej. W rezultacie w 1999 r. powstała samodzielna spółka z o.o. Hauser Polska, którą kierowałem przez następne 5 lat. Zajmowaliśmy się chłodnictwem przemysłowym – budową wielkich chłodni i wyposażeniem supermarketów.

W 2004 r. podjąłem przełomową decyzję o założeniu własnej firmy. Na bazie dotychczasowych dobrych kontaktów z inwestorami otworzyłem firmę Gabro Sp. z o.o. Robiłem to samo, co dotychczas, tylko już na własny rachunek. To oczywiście miało swoje dobre i złe strony. Większa swoboda działania, brak szefostwa, ale zarazem ryzyko finansowe. Tak nadszedł rok 2023 i emerytura. Czas wreszcie zająć się tym, na co zwykle brakowało czasu – hobby. Czyli turystyka, rowery, krótkofalarstwo, żeglarstwo, astronomia, elektronika itp. Byłe zdrowie dopisało.

Od lat jestem szczęśliwym mężem dziewczyny poznanej na obozie studenckim. Mamy dwie dorosłe już córki.

WIESŁAW ZIMMER

Studiowałem na Akademii Ekonomicznej w Poznaniu na kierunku Cybernetyka Ekonomiczna i Informatyka. Potem w latach 1992/1993 ukończyłem jeszcze dodatkowe studia podyplomowe w dziedzinie marketingu na tej samej uczelni. W czasie praktyk studenckich na tzw. roku zerowym poznałem moją przyszłą żonę Jolantę z Zielonej Góry, wówczas przyszłą studentkę kierunku Handel Zagraniczny. W czerwcu 1978 r. zaraz po ukończeniu studiów zawarliśmy związek małżeński. Trzy lata później urodziła się nam córka Magdalena, która jest aktualnie specjalistką w zakresie metodyki nauczania języka angielskiego. Mamy dwóch wnuków – Szymona lat 11 i Krzysztofa lat 9.

W swoim życiu zawodowym pracowałem w różnych miejscach i na różnych stanowiskach. Pracę rozpocząłem jako urzędnik w Komisji Planowania przy Radzie Ministrów w Zespole Planowania Regionalnego z siedzibą w Poznaniu. Przez rok byłem urzędnikiem w Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, a później kilka lat przepra-

cowalem w Dziale Inwestycji w Zachodnim Okręgu Energetycznym w Poznaniu. W 1989 r. w dobie istotnych przemian gospodarczych zdecydowałem się przejść do pracy w tzw. sektorze prywatnym i tak już pozostało. Jeszcze kilka razy zmieniałem pracę i były to różne stanowiska w firmach z różnych branż, w tym także własna działalność gospodarcza.

Ostatecznie moją aktywność zawodową zakończyłem w dużej firmie produkcyjno-handlowej z kapitałem niemieckim, będącej spółką prawa handlowego o charakterze korporacyjnym z kilkudziesięcioma spółkami na całym świecie. Przepracowałem w niej ponad 22 lata na samodzielnym stanowisku Kreditmanagera w dziale finansowym, zajmując się oceną wiarygodności kredytowej klientów, szeroko pojętą polityką kredytową oraz wspieraniem sprzedaży, w tym m.in. nadzorowaniem płatności, a w razie konieczności także windykacją. Była to bardzo ciekawa i odpowiedzialna praca w międzynarodowym towarzystwie, jako że nadzorowaliśmy oprócz polskiej również spółki w takich krajach jak Norwegia, Finlandia, Litwa, Łotwa oraz Estonia.

W lipcu 2021 r. w wieku niespełna 67 lat zakończyłem swoją aktywność zawodową i przeszedłem na emeryturę.

JOLANTA ZIELONKA (MUCHA)

Po maturze niestety nie dostałam się na studia (filologia rosyjska), poszłam więc do pracy i był to Urząd Dzielnicowy Poznań Grunwald. Przez 2 lata pracowałam tam w biurze, w Wydziale Spraw Wewnętrznych. Następne moje miejsce pracy to Poznańska Fabryka Maszyn Pakujących „Spomasz”, pracowałam tam w Radzie Zakładowej, a później w dziale socjalnym. Ukończyłam wówczas pomaturalne studium ekonomiczne o profilu pracy, płacy i spraw socjalnych. Następne moje zatrudnienie to Studencka Spółdzielnia Pracy Akademik, gdzie pracowałam w dziale zajmującym się naprawami w 21 poznańskich bufetach studenckich. Kolejne miejsce pracy to Spółka Expo-Service zajmująca się budową stoisk targowych, gdzie pracowałam w administracji. Kolejna i ostatnia praca to 10 lat własnej działalności

gospodarczej; zajmowałam się wówczas zakwaterowaniem gości podczas imprez targowych w naszym mieście. W 1975 r. wyszłam za mąż, mamy dwóch synów: Rafała i Przemysława oraz dwóch wnuków: Jakuba i Ignacego.

Klasa C



Słoneczne zakończenie roku szkolnego po II klasie





Jacy byliśmy młodzi tego dnia...





na półmetku „Marcinkowej” drogi





Czekały nas piękne wakacje...





i kolejne lata nauki





A podczas dnia sportu dzielnie rywalizowaliśmy i przeżyliśmy muskuły





Przyjemnie było spędzić czas z dala od szkolnych ławek





Do dziś pozostały piękne wspomnienia...





z klasowej wycieczki przed maturą



Wspomina RYSZARD DEMBIŃSKI

Jeden ze starszych roczników. Matematyka, klasówka, błady strach padł na wszystkich... Zocha, by uniemożliwić ściąganie, usiadła na blacie swojego biurka twarzą do klasy. Oparła sandaalki na siedzeniu krzeselka i wyciągając szyję, patrzyła z góry na wszystkich. Dyscyplinując, potrząsała nogą i powtarzała: „popatruj, popatruj”... A jakiś dowcipniś z ostatniej ławki stwierdził: „Niebieskie, pani profesor”...

Wspomina MARYSIA JAROSZYK (LEWOWICKA)

Historię mieliśmy z Profesor Mirosławą Wolską. Mówiliśmy na nią trochę z przekąsem „przyjaciółka młodzieży”. Sęk w tym, że ona naprawdę kochała młodzież z całego serca, ale jakoś trudno nam było w to uwierzyć. Pamiętam, że raz oddała prowadzenie lekcji naszemu zapalonemu historykowi Jurkowi. Myślałam, że pójdzie na historię, a on został ginekologiem...

Biologię mieliśmy z Profesor Jadwigą Brożek i chyba z nią też mieliśmy fakultety w czwartej klasie. Rzecz w tym, że niektórzy mieli wrażenie, że biologia nie jest jej najmocniejszą stroną. Nie było internetu i nie można było sprawdzić. Chemia z Radziem – Roman Radoch. Miał serce dla dziewczyn; jak która nie odezwała się słowem przy tablicy, to dostawała 3 i jeszcze przepraszał; jak rozpuściła włosy i podciągnęła spódniczkę kapkę wyżej i ewentualnie coś powiedziała – niekoniecznie na temat – to i 3+.

Pamiętam jeszcze wychowanie techniczne z Profesor Zofią Peretiatkowicz, którą zapamiętałam jako najfajniejszą nauczycielkę, bo to nie były tylko prace ręczne, ale i ciekawe rozmowy.

Pamiętam jeszcze WF z Profesor Anną Burchardt. Wydaje się, że była dość oddana swojej pracy.

Wspomina **ROMAN JUNIK**

W słoneczny wiosenny poranek klasa III C wybierała się na wycieczkę pt. „Śladami Mickiewicza w Wielkopolsce”, organizowaną przez Profesor Zofię Lewicką. Nagle podeszła do mnie Profesor Zofia Załęska i tonem nieznoszącym sprzeciwu rzekła: „Junik na wycieczkę nie jedzie, bo ma złe stopnie z matematyki. Dołącz do innej klasy”. W owym czasie brałem udział w olimpiadzie z języka polskiego i matematyka zupełnie mnie nie interesowała. Podeszedłem do Profesor Lewickiej, przedstawiłem decyzję Zochy. Nie wysłuchała mnie do końca i już ruszyła w kierunku Zochy, zagarniając po drodze Profesor Helenę Stoińską oraz Profesor Mirosławę Wolską (byłem dobry z historii). Zocha, widząc atak trzy na jedną, zaczęła się powoli wycofywać, by po chwili zakomunikować: „Junik na wycieczkę jedzie”.

Jakie wyciągnąłem wnioski? Po pierwsze, warto być dobrym specjalistą w danej dziedzinie. Po drugie, *Nec Hercules contra plures*.

PS. Chętnie podałbym takie tłumaczenie „*Nec Hercules...*”: „I Herkules dupa, kiedy wrogów kupa”, ale może nie wypada.

Wspomina **ANDRZEJ KORCZ**

Profesor Zofia Załęska na zadawane pytanie: „Pani Profesor, czy jutro będzie sprawdzian?” zwykła odpowiadać: „Nie wiem, nie wiem, sama nie wiem...”.

Wspomina **DANUTA MICHALSKA (GRUNDWALD)**

WF, my dziewczyny, też miałyśmy czas jakiś z Profesor Mrozkiem. Bez skutku, choć z wielkim uporem próbował nauczyć mnie dwutaktu.

Bardzo go lubiłam i podziwiałam za sprawność fizyczną – wszystkie ćwiczenia na przyrządach robił razem z nami. A ucząc rosyjskiego, zwracał się do nas (dziewczyn też) „synku”.

Wspomina PIOTR NOWACZYK

Naszej klasie C kilkakrotnie zmieniano nauczycieli języka niemieckiego. W trzeciej klasie na pierwszej po wakacjach lekcji niemieckiego pojawiła się młoda absolwentka germanistyki. Po wejściu do klasy natychmiast zaczęła do nas mówić po niemiecku i trwało to chwilę. W pewnym momencie przerwała i z lekkim zaniepokojeniem stwierdziła:

– Ale Wy chyba nie rozumiecie?

Na to nasz kolega Zbyszek nieśmiało podniósł rękę i powiedział:

– Bo Pani Profesor **zdaje się** mówi po niemiecku!

Wspomina STEFANIA OLEJNICZAK (JASTRZĘBSKA)

ZUS to instytucja, do której każdy prędzej czy później trafi. I jak, pewnego dnia przy moim stanowisku usiadła pani Profesor Gabriela Drzewiecka, nasza wychowawczyni. Przedstawiłam się i usłyszałam nagle wspaniałe komplement: „Wiesz co? Teraz dużo lepiej wyglądasz niż w czasach nauki w liceum”.

Profesor Mrozek na lekcjach języka rosyjskiego uczył nas znanych rosyjskich pieśni.

Profesor Hieronim Bąk był bardzo surowy. Chciał, abyśmy dobrze poznali język niemiecki. Śmiałyśmy się niektórzy z niego i trochę go oszukiwaliśmy, tłumacząc tekst na język polski – czytaliśmy z „gotowca”. Pamiętam jego czerwone dłonie. Dopiero podczas wycieczki do Fortu VII, gdy opowiadał swoje przeżycia wojenne, zaczęliśmy rozumieć niektóre jego zachowania.

Albo Profesor Zofia Załęska – Zocha. Pamiętam, że przez cały rok, nawet w śniegu, chodziła w sandałkach. Na którejś z lekcji matematyki opowiedziała nam dlaczego. W czasie powrotu z zesłania na Sybir doznała odmrożeń. W czasie klasówki czasem denerwowało nas, że siada na pierwszej ławce (żeby nas wszystkich widzieć), trzęsie nogą i brzę-

czy zapinką od buta, niby to czytając gazetę. Pamiętacie? Zocha często sprawdzała, czy mamy tarcze, a jak nie, to wyganiała do sekretariatu, aby dokonać zakupu nowej. Trzeba było ją przyszyć i to na odpowiedniej wysokości – 4 palce Zochy nad łokciem. Najgorzej, jak nic nie wytrzymała i tarcza odpadła. Agrafki też się nie sprawdzały.

Zocha miała psy rasowe, które wystawiała w konkursach odbywających się w hali MTP.

A „Hades”, to magiczne miejsce w piwnicy. Chodziło się tam na papieroska. W obłokach dymu odpisywało się niekiedy zadanie z matmy czy polaka, zjadało się śniadanie przy ploteczkach i ciekawych rozmowach. Nieraz nie zdążyło się na lekcję...

Podczas lekcji nie można było kręcić się po korytarzach. Gdy padało ostrzeżenie: „Uwaga, Graja!” (dyrektor) czy „Uwaga, Doruch! (zastępca dyrektora) – na łeb, na szyję chowaliśmy się po kątach, żeby tylko nas nie znaleźli, bo trzeba by się zdrowo tłumaczyć. Szacunek dla dyrektora był ogromny.

Wspomina **MIROSLAW SROKA**

Z czasów licealnych, oczywiście oprócz wspaniałych koleżanek i kolegów, najbardziej wspominam lekcje WF-u z Profesorem Mrozkiem. Pamiętam też wypracowania z języka polskiego pisane zawsze w niedzielę wieczorem na poniedziałek, czytanie obowiązkowych lektur, z których przepytywała nas Profesor Lewicka – wg mnie najbardziej wymagający nauczyciel. Co poza tym? Odpisywanie zadań domowych z matematyki od kolegi z ławki, no i oczywiście granie w piłkę po lekcjach na szkolnym boisku.

Pozdrawiam wszystkich z „Marcinka” i życzę wszystkiego najlepszego.

Wspomina **MARIA STULIGROSZ**

Chętnie po tylu latach wracam do licealnych wspomnień. Dziewczeta z naszej klasy miały chemię z Profesorem Radochem – Radziem, szczipłym i w okularkach. Miałam wrażenie, jakbym na tych lekcjach

cofała się sto lat wcześniej i uczyła na jakiejś pensji dla dziewcząt. Często tak podsumowywał zajęcia: „Te dziewczynki umią chemię, a te dziewczynki nie umią chemii”. Jednak nie był taki srogi.

Pamiętam też Profesor Marię Mąkównę. Była niskiego wzrostu, lecz energiczna. Radziła sobie z dyscypliną w klasie. Prawdziwy spec od wykładania historii. Potrafiła usystematyzować wiedzę w tabelach. Zestawiała wydarzenia w Polsce i równocześnie w innych państwach.

Miło wspominałam zajęcia techniczne z Profesor Zofią Peretiatkowicz. Jako pedagog poświęcała nam – młodym dziewczętom wiele czasu.

Zapewne pamiętacie też matematyczkę Profesor Zofię Załęską. Wychowała ona wiele pokoleń uczniów.

Klasa D

Wychowawczynie: **HELENA STOIŃSKA**

Uczniowie

Jarosław Anczewski [†]	Renata Lange (Strzyżewska) [†]
Tadeusz Bartoszewski [†]	Ewa Lamprycht [†]
Mariola Bedner (Więznowska)	Janusz Łopieński
Ewa Białkiewicz (Florek)	Tomasz Małek
Wiesław Byrt	Wojciech Matuszczak
Ewa Ciemnoczołowska (Cicha)	Tadeusz Morzy
Marek Ciesielski	Judyta Przybysz (Walentowska)
Renata Czamańska (Kurka)	Grażyna Przysańska
Jadwiga Durkalec (Halwa)	Przemysław Pyda
Andrzej Florek	Michał Rogala [†]
Michał Grzesiak [†]	Maciej Rusinek
Marek Grzybowski	Maria Skołuda (Ślusarska)
Witold Gwizdowski	Barbara Sobierajska [†] (Clay)
Barbara Hęćka (Sierżant)	Grzegorz Sołtysiak
Barbara Jagustyn (Strzyżewska)	Ewa Stężycka
Tomasz Jakubowski	Krystyna Szmeja
Alicja Kielbasiewicz (Frąckowiak)	Krzysztof Terlecki
Andrzej Kóčka	Jeremi Wajda

Maciej Warszawski[‡]
Konstanty Wejman
Teodozja Wikarjak

Anna Wysocka (Bręborowicz)
Anna Załuska
Zofia Ziółkowska

Spis obejmuje wszystkich uczniów klasy D, przy czym nie wszyscy byli z nami przez cały okres nauki w „Marcinku” i nie wszyscy zdawali maturę w 1973 r.

EWA BIAŁKIEWICZ (FLOREK)

Ukończyłam studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Poznaniu. Jestem specjalistą II stopnia z położnictwa i ginekologii. Bardzo lubię swoją pracę, ale ostatnio najchętniej spędzam wolny czas w moim wiejskim domu, szczególnie z wnukami.

MAREK CIESIELSKI

Studiowałem na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Poznańskiej. Pierwsza praca w WSK PZL – Poznań, później w Fabryce Kosmetyków Pollena-Lechia w Poznaniu oraz Centrali Handlu Zagranicznego Inter-Vis w Warszawie. Od 1990 r. do grudnia 2022 prowadziłem działalność gospodarczą w różnych branżach.

Jestem żonaty od 1978 roku, mam dwóch synów i czworo wnucząt. Mieszkam na stałe w Poznaniu. Moje hobby to narciarstwo zjazdowe oraz turystyka piesza i rowerowa.

RENATA CZAMAŃSKA (KURKA)

Ukończyłam Wydział Elektryczny Politechniki Poznańskiej z tytułem magistra inżyniera elektryka. Uzyskałam uprawnienia do projektowania sieci elektroenergetycznych. Pracowałam w kilku biurach projektowych (najdłużej – bo na początku i na końcu kariery zawodowej – w Energoprojekcie Poznań, a także w Budener, Scott Wilson i URS) oraz prowadziłam własną działalność. Zajmowałam się projektowaniem sieci niskich, średnich, wysokich i najwyższych napięć oraz oświetlenia

drogowego. Przez ostatnie 10 lat byłam kierownikiem zespołu projektowania linii w Energoprojekcie Poznań. Od 1 stycznia 2023 r. jestem na emeryturze.

Działam w Stowarzyszeniu Elektryków Polskich. Od kilkunastu lat jestem sekretarzem Oddziału Poznańskiego SEP. Zajmuję się też organizacją konferencji naukowo-technicznych. Co roku uczestniczę w rajdach górskich „Energoprojektów”, których jestem współorganizatorem.

Mam dwoje dzieci – córkę Agnieszkę i syna Marka oraz wnuczkę Kasię i wnuka Kostka.

W ostatnim czasie zabrałam się do opracowania drzewa genealogicznego oraz spisania historii rodziny.

ANDRZEJ FLOREK

Po ukończeniu studiów na Wydziale Elektrycznym Politechniki Poznańskiej zostałem zatrudniony jako pracownik naukowo-dydaktyczny w tamtejszym Instytucie Automatyki. Wyjawszy kilkunastoletnią przerwę, pracuję tam do teraz, obecnie w Instytucie Robotyki i Inteligencji Maszynowej.

Moją żoną jest Ewka Białkiewicz z naszej klasy. Mamy córkę Justynę i dwóch wnuków Wiedeńczyków – Marcela oraz Maksymiliana.

BARBARA HEĆKA (SIERŻANT)

Jako zbuntowana nastolatka po rocznym „zesłaniu” wróciłam do Poznania i zdałam maturę w 74 r. w II LO. Potem studiowałam romanistykę. Wyszłam za mąż, rodziłam dzieci i studiowałam. Ostatecznie skończyłam polonistykę na UAM. Robiłam wiele różnych rzeczy: byłam pilotem wycieczek, ławnikiem, miałam krótkie epizody dziennikarskie. Angażowałam się też w rozmaite działania charytatywne. Raczej mało pracowałam, częściej byłam żoną (od 48 lat), matką (3 synów) i babcią (pięcioro wnucząt), ciągle niezastąpioną.

ANDRZEJ KÓČKA

Studiowałem ekonometrię na Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Do studiów doktoranckich byłem tam zatrudniony, a później (za organizację „Solidarności”) na uczelni nie przyjęto mnie ponownie do pracy (mimo pisemnego zobowiązania AE). Ówczesnemu rektorowi dziękuję – skłonił mnie tym do wyjazdu do Niemiec (1986). Pracuję tu do dzisiaj w przemyśle samochodowym jako informatyk. Moja żona Agnieszka też należy do grona „Marcinkowiczów”, ale studiowała już w Niemczech. Mamy troje dzieci (Wojciech, Jan, Adela) i troje wnucząt (Liwia, Filip, Henri). Obecnie mieszkamy w Fuldzie.

WOJCIECH MATUSZCZAK

Po maturze rozpocząłem studia w Wyższej Szkole Morskiej w Szczecinie na Wydziale Nawigacyjnym, specjalność: Transport Morski. Jako biegłemu w rosyjskim proponowano mi kontynuację studiów w ZSRR, ale odmówiłem. WSM ukończyłem w 1978 roku i podjąłem pracę jako oficer pokładowy w Polskiej Żegludzie Morskiej w Szczecinie. Ożeniłem się w 1977 r. Żonę Małgosię poznałem na obozie polsko-francuskim w 1974 r. Na obóz wiedzeni sentymentem przyjechaliśmy z Tadzkiem Bartoszewskim już jako studenci – wolni strzelcy. W 1979 r. zostałem ojcem Moniki, mojej jedynaczki. Próbowałem równoległe zaocznie studiować ekonomię transportu morskiego na Politechnice Szczecińskiej, lecz mimo zaliczonych kilku semestrów nie udało się tego pogodzić z pracą zawodową i sfinalizować. Brałem udział w strajkach 1980 r., ale jako szeregowy ich uczestnik nie poniosłem żadnych konsekwencji. Pracowałem głównie na mowcach, ale też miałem jeden długi kontrakt na tankowcu na Dalekim Wschodzie. Dzięki znajomości francuskiego w 1992 r. pracowałem na kontrakcie marynarskim w porcie Monte Carlo/Monaco. Stopniowo awansowałem zawodowo, aż w 1993 r. objąłem dowództwo pierwszego statku jako kapitan. W 1997 r. podjąłem pracę w biurze armatora amerykańsko-polskiego w New Jersey. Jednak praca urzędnicza mi nie odpowiadała, więc po kilku miesiącach zrezygno-

wałem i wróciłem na morze. Z różnych mniej lub bardziej dramatycznych przeżyć marynarskich wymienię swoje dowodzenie statkiem „Bataliony Chłopskie” zakotwiczonym na Mississippi opodal lotniska Louisa Armstronga podczas ataku huraganu „Katrina” na Nowy Orlean. Wyszliśmy z niego prawie bez szwanku. Szczęśliwie podczas mojej pracy na morzu nikt z powierzonych mi załóg poważnie nie ucierpiał.

Od 2007 r. jestem dziadkiem. Kłopoty ze zdrowiem zmusiły mnie do zmiany statusu na rencistę w 2013 r. Mimo leczenia nie udało mi się już wrócić na morze. Od 2014 r. aż do wybuchu pandemii jako emeryt pomostowiec pracowałem na umowę zlecenie w charakterze instruktora wykładowcy w Ośrodku Ratownictwa Morskiego przy Akademii Morskiej w Szczecinie. Od 2021 jestem pełnym emerytem, a sny morskie miewam coraz rzadziej.

Moje hobby to narciarstwo zjazdowe, ping-pong, majsterkowanie, języki obce (na studiach miałem jeszcze lektorat hiszpańskiego), prace ogrodowe i koło domu, wędzenie mięsiwa, kiełbas, serów, łososi i węgorzy, hodowla ozdobnych ryb stawowych. Rządy PiS-u zmusiły mnie do baczego śledzenia wydarzeń politycznych i do zdecydowanego zdefiniowania poglądów w tym zakresie. Przez kilka lat zgłaszałem się do obwodowych komisji wyborczych.

Od wyjazdu z Poznania po maturze cały czas mieszkam w Szczecinie.

JUDYTA PRZYBYSZ (WALENTOWSKA)

Absolwentka Wydziału Rolnego Akademii Rolniczej w Poznaniu. Praca zawodowa – Instytut Włókien Naturalnych i Roślin Zielarskich: pracownik naukowy w Zakładzie Standaryzacji Wyrobów Włókienniczych oraz w Zakładzie Innowacyjnych Biomateriałów i Nanotechnologii. Specjalista mikrobiologii surowców i wyrobów włókienniczych, tworzyw sztucznych i kompozytów. Kierownik Pracowni Mikrobiologicznej oraz Kierownik ds. Jakości w akredytowanych Laboratoriach Badawczych Instytutu. Od 2021 r. na emeryturze.

Miłośniczka nadmorskich wędrówek. Mąż Piotr, syn Tomasz.

MACIEJ RUSINEK

Ukończyłem studia na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu: filologia polska i teatrologia. Mam na sobą długoletnią współpracę z Teatrem 8 Dnia, działalność opozycyjną, w Związkach Zawodowych „Solidarność”, podziemną działalność organizacyjną w Radio Solidarność i prasie podziemnej „Obserwator Wielkopolski”. Od 1987 r. mieszkam na stałe w Niemczech we Frankfurcie nad Menem. Wykonywałem różne prace dorywcze, pozyskiwałem pomoc materialną dla wydawnictw podziemnych. Podjąłem decyzję o definitywnej zmianie zawodowej w kierunku fotografii i profesjonalnej obróbki zdjęć. Jestem współzałożycielem i współorganizatorem Wschodnio-Zachodnioeuropejskiego Centrum Kulturalnego „Palais Jalta”, autorem wielu indywidualnych wystaw fotograficznych. Od 2005 r. oprócz własnych, wolnych projektów fotograficznych otworzyłem komercyjne studio fotograficzne: www.fotoloft-maciejrusek.de

BARBARA SOBIERAJSKA[†] (CLAY)

Ur. 9.02.1955 r. w Bratysławie, zm. 21.10.2010 w Lyonie.

Po maturze studiowała filologię romańską na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, z przerwą na roczny pobyt we Francji. Po ukończeniu studiów wyjechała do Francji, gdzie zrobiła doktorat. Wyszła tam za mąż za Malcolma Claya, wykładowcę na uniwersytecie w Lyonie. W 1984 r. urodził im się syn Adam Bernard. Przez krótki czas prowadziła zajęcia z języków słowiańskich na uniwersytecie w Lyonie, jednak przeważnie zajmowała się domem i synem.

W 2010 r. wykryto u niej nowotwór i po kilku miesiącach zmarła. Prochy sprowadzono do Polski i pochowano w grobie rodziców na cmentarzu przy ul. Szczawnickiej (Lutyckiej) w Poznaniu.

GRZEGORZ SOŁTYSIAK

Próbowałem się życiowo ustatkować – po liceum skończyłem policealną szkołę gastronomiczną, Akademię Ekonomiczną w Poznaniu

i na deser, choć nieco później, Akademię Sztuk Pięknych. Z dwoma dyplomami magistrów i stopniem porucznika rezerwy po odbyciu przygody mundurowej chciałem zacząć klasyczną karierę polskiego obywatela... Rodzina, firma, szczeble kariery... Nic z tego – w moim przypadku życie wybrało „plan B”. Wyrwało mnie w świat na długo. Prawie sześć lat spędziłem w Teksasie, eksplorując różne poziomy życia poszukiwacza prawdy o sobie i otaczającej rzeczywistości. Kolejne cztery lata minęły mi na poznawaniu kontynentów – średnio po roku w Ameryce Południowej i Środkowej, Australii i Oceanii, Azji i Afryce. Po szczęśliwym powrocie do kraju związałem się z biurami podróży, które przez dwadzieścia pięć kolejnych lat wysyłały mnie jako pilota i przewodnika swoich klientów. Tymczasem zostałem szczęśliwym mężem, ojcem i ojczymem. Obecnie jestem wciąż dorabiającym wyjazdami emerytem. Mieszkam w Jerzykowie pod Poznaniem.

EWA STEŻYCKA

Ukończyłam psychologię na UAM i AWF w Poznaniu. Koszykarka i nauczycielka (ciągle w szkole).

JEREMI WAJDA

Dla kolegów Michał. W 1978 r. ukończyłem Wydział Ogrodniczy na Akademii Rolniczej w Poznaniu, specjalizacja sadownictwo. Do 2020 r. pracowałem w prywatnej firmie. Obecnie jestem na emeryturze. Ogrodnictwo to moje hobby, któremu dzisiaj poświęcam swój wolny czas.

TEODOZJA WIKARJAK

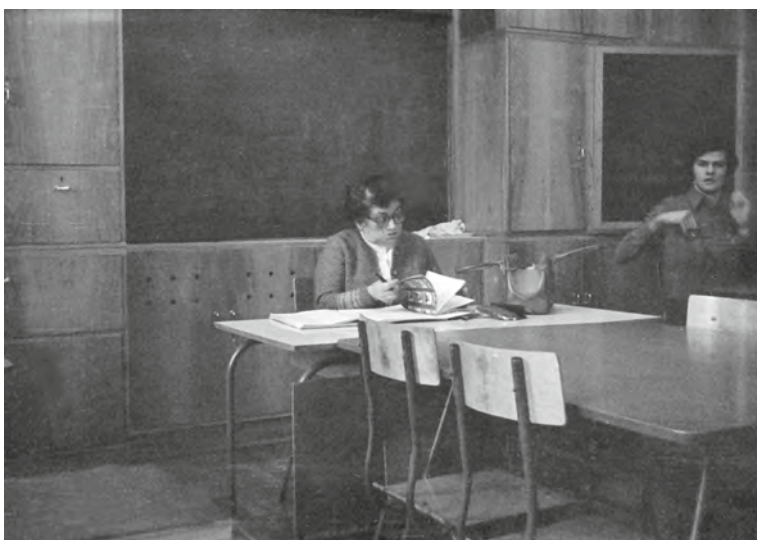
Ukończyłam studia na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu: filologię romańską oraz filologię klasyczną. W 1978 r. podjęłam pracę w Instytucie Filologii Klasycznej UAM na stanowisku asystenta, później starszego asystenta, adiunkta, starszego wykładowcy. W 1981 r. ukończyłam Podyplomowe Studium Kultury i Turystyki

UAM. W 1988 r. uzyskałam stopień doktora nauk humanistycznych w dziedzinie literaturoznawstwa antycznego. Prowadziłam zajęcia z języka łacińskiego i literatury antycznej dla studentów filologii klasycznej, filologii polskiej, studiów śródziemnomorskich, Mediterranean Studies oraz z przedmiotów turystycznych na specjalizacji turystycznej studiów śródziemnomorskich. Opublikowałam kilka artykułów, byłam współautorką dwóch podręczników do nauki języka łacińskiego.

Obecnie mieszkam w Plewiskach pod Poznaniem. Towarzyszą mi dwa 12-letnie czarne koty: Attis i Różia.



Profesor Helena Stoińska podczas lekcji języka polskiego



Profesor Maria Mąkówna podczas lekcji historii



Na lekcjach...



...bywało różnie,

ale np. wycieczka do Gołuchowa była super





Obóz języka francuskiego też był świetną okazją towarzyską...





podobnie jak wycieczka do Warszawy





W stolicy oprócz zwiedzania...





zajęliśmy się „odbudową” Zamku Królewskiego (1972 r.)





...i to z sukcesem

Wspomina **RENATA CZAMAŃSKA (KURKA)**

Obóz języka francuskiego w Gnieźnie

Uczęszczaliśmy do liceum w czasach, gdy o wyjazd za granicę było bardzo trudno. Mimo że byliśmy w klasie o poszerzonym języku francuskim, o wyjeździe do Francji mogliśmy tylko pomarzyć. Tymczasem I Liceum „Marcinek” zostało wyróżnione przez UNESCO organizacją obozu dla młodzieży polskiej i francuskiej prowadzonego w ramach organizacji do spraw wychowania UNESCO przy ONZ. Nie można było wyjechać do Francji, więc Francja przyjechała do nas.

Uczestniczyłam w obozach w 1971 i 1972 r., organizowanych w ośrodku szkolno-wychowawczym przy ul. Powstańców w Gnieźnie. Oprócz uczniów z naszego liceum były też osoby z liceów z innych miast polskich oraz grupa ok. 11 naszych rówieśników z Francji. Obozem kierowały panie Profesor Paulette Jagodzińska i Maria Drobniak. Z Francji przyjechało 10 wychowawców.

Mieliśmy wiele zajęć sportowych, muzycznych, plastycznych. Zwiedzaliśmy Gniezno i okolice oraz Poznań. Zajęcia i wszelkie konwersacje odbywały się po francusku. Okazało się, że francuscy uczniowie zwracają się do swoich wychowawców po imieniu i że ...wolno im palić papierosy. Polskim opiekunom nie pozostało nic innego, jak nam też na to pozwolić.

Wycieczki

Nasza klasa uczestniczyła w dwóch wycieczkach: w Góry Świętokrzyskie oraz do Warszawy.

Pierwsza odbyła się w 1971 r. Wędrowaliśmy śladami Sienkiewicza i Żeromskiego, a w drodze powrotnej zwiedzaliśmy park w Goluchowie. Najbardziej utkwiło mi w pamięci zwiedzanie Oblęgorka. Tata naszej koleżanki Basi – adwokat Stanisław Hęćka – przedstawił nas synowej Henryka Sienkiewicza, pani Zuzannie Sienkiewicz, która była wcześniej kustoszem muzeum i nadal w nim pracowała. Znali się, ponieważ podczas okupacji pan Stanisław pełnił funkcję praktykanta rolnego w majątku Sienkiewiczów. Był żołnierzem działających tam oddziałów partyzanckich Armii Krajowej. Lata 70. to czasy, gdy jeszcze niewiele mówiło się na ten temat. Takie spotkanie z historią zrobiło na nas duże wrażenie.

Podczas wycieczki do Warszawy ważnym punktem – oprócz zwiedzania Żelazowej Woli, Nieborowa i Wilanowa oraz wizyty w teatrze – miała być nasza pomoc w odbudowie Zamku Królewskiego. Nasza wychowawczyni Profesor Helena Stoińska oraz nauczycielka historii Profesor Maria Mąkówna – Marylka bardzo ekscytowały się tym, że decyzja o odbudowie zamku została podjęta. Gdy jednak zvarci i gotowi stawiliśmy się w Zamku, okazało się, że kierownik budowy nie może nas wpuścić. Teraz, po latach, kiedy byłam na wielu budowach, zdaję sobie sprawę, że była to słuszna decyzja, bo nie można wpuszczać na teren budowy osób nieprzeszkolonych przynajmniej w zasadach BHP, a tym bardziej nieletnich. Nasze opiekunki były jednak bardzo rozczarowane. W końcu pozwolono nam prowadzić prace porządkowe koło Zamku: grabienie liści, sprzątanie śmieci i gruzu.

Do szkoły dotarło później podziękowanie za udział młodzieży z „Marcinka” w odbudowie Zamku ☺

Wspomina **WOJCIECH MATUSZCZAK**

W któreś wakacje Andrzej Kóčka, Janusz Łopieński i chyba Andrzej Florek (może jeszcze inni) pracowali przy wykopaliskach na Ostrowie

Lednickim u siostry Andrzeja – ówczesnej magister Hanny Kóčki. Jedną z pamiątek pobytu było zdjęcie, które zamieścił ktoś w szkolnej gablocie na parterze zaraz po wakacjach. Na fotografii znad wody wystawały dwa czy trzy anonimowe gołe siedzenia męskie. Był mały skandalik, ale nie pamiętam, jak to się skończyło.

Kiedyś wrobiono nas jako reprezentantów na jakieś zawody sprawnościowo-obronne. Pamiętam, że jednym z punktów współzawodnictwa był transport rannego. Koleżanka była jako ranna, a ja z Tadzkiem Bartoszewskim żeśmy ją „tachali”, ale już nie pamiętam, czy na noszach, czy na zaimprovizowanym siedzisku ze splecionych rąk. Poszło nam średnio.

Tomek Jakubowski lubił nosić takie trochę dłuższe włosy. Na którejś z lekcji PO Maurycy zwrócił się do niego mniej więcej tak: „Masz się odmaścić na następną lekcję, a jak nie, to niech cię ręka tatusiowa broni”.

A jak już jesteśmy przy wojsku, to pamiętam zabawne lapsusy językowe „Pułkownika”.

1) To jest rentgenometr. Służy do wykrywania materiałów promieniotwórczych. Moglibyśmy schować gdzieś „bazalt” i go poszukać, ale mógłby on (ten „bazalt”) zginąć albo ktoś mógłby go ukraść. Więc nie będziemy (chodziło o dołączoną do rentgenometru małą próbkę promieniotwórczego kobaltu, służącą do szkoleniowego poszukiwania).

2) W warunkach bojowych rannym lub ofiarom broni masowego rażenia można robić też zastrzyki. Strzykawki należy oczywiście uprzednio „wysteroryzować”.

Klasa E

Wychowawcy: **KRYSTYNA CHMIELEWSKA, BOGDAN NOWAK**

Uczniowie

Joanna Adamska (Chłapowska)	Piotr Kowal
Ireneusz Adamski	Ewa Kowalczyk (Łukomska)
Maria Bąk (Bąk-Ziółkowska)	Lidia Kowalec
Dariusz Biernacki [‡]	Alina Krzeszowska (Krzeszowska- -Lellouche)
Ryszard Jacek Bittner	Mirosław Kultys [‡]
Maria Chlebowicz (Zielonka)	Barbara Kwatyra
Jacek Cymiński	Katarzyna Linette (Łacisz)
Jan Deckert	Janusz Maćkowiak [‡]
Magdalena Degler (Nowak)	Andrzej Meller
Witold Dobrowolski [‡]	Wacław Miziniak
Irena Gierkowska (Pietrzykowska)	Jerzy Moderski
Wojciech Hetmański [‡]	Anna Mülaer (Colin)
Marek Hoser	Michał Nowaczyk
Joanna Jakubiak (Sawicka)	Lucyna Rejewska
Sławomir Jastrzębski [‡]	Krzysztof Rostek
Jacek Jenek	Krzysztof Słomski
Jakub Juszcak [‡]	Elżbieta Stankowska (Fellmann)
Anna Koralewska (Koralewska- -Skibińska)	Ewa Strzelbicka [‡] (Fenrych)

Jarosław Wiśniewski
Maria Zajdler

Zbigniew Zasada
Małgorzata Żakowska[‡]

Spis obejmuje wszystkich uczniów klasy E, przy czym nie wszyscy byli z nami przez cały okres nauki w „Marcinku” i nie wszyscy zdawali maturę w 1973 r.

MARIA BĄK (BĄK-ZIÓŁKOWSKA)

Dyplom uzyskałam w 1980 r. w PWSSP (obecnie Uniwersytet Artystyczny). Jestem architektką wnętrz, czasami malarką. Doświadczeń pełne bagaże, których na szczęście nie muszę już dźwigać. Teraz mam czas na wszystko, na inne ważne dla mnie sprawy, bo otrzymaawszy od życia i ludzi wiele, staram się odwdziżyć, pomagając innym. *Ab ovo*, a tak na prawdę *ab malo*, bo wszystko zaczęło się w jakże odległym roku 1989 od zorganizowania sąsiedzkich dyżurów zaopatrywania w jabłka dzieci z warszawskiego domu dziecka im. Jana Baudouina de Courtenay. Później przyszło wspieranie repatriantów, pomoc niepełnosprawnym, uchodźcom, wolontariat Pacjent dla Pacjenta w Stowarzyszeniu na Rzecz Leczenia Niepłodności i Wspierania Adopcji „Nasz Bocian”. Ważne sprawy to też udział w akcjach przeciwko przemocy, na rzecz równouprawnienia, tolerancji, w tym udział i organizacja akcji protestacyjnych: „14 kobiet z mostu” (2017 i 2021) przeciw „marszowi niepodległości” w Warszawie, „Wstyd nam za ciebie” – protest absolwentów w 100-lecie „Marcinka” (2019) przeciw koncelebrewaniu mszy przez absolwenta Jędraszewskiego w kościele przy Stolarskiej, „Murem Za Kasią” (2020) w obronie ofiary księdza pedofila.

RYSZARD JACEK BITTNER

Jestem magistrem ekonomii, absolwentem Studiów Podyplomowych z Prawa i Administracji na UAM w Poznaniu. W latach 1989–1992 byłem wolontariuszem ONZ Programu UNV z siedzibą w Genewie, w 1991 r. odbyłem staż zawodowy w Administracji Kantonu Vaud w Szwajcarii. W latach 1992–2019 pracowałem na stanowisku za-

stępcy Kierownika Urzędu Stanu Cywilnego w Poznaniu. Jestem żonaty, mam córkę.

ANNA KORALEWSKA (KORALEWSKA-SKIBIŃSKA)

Absolwentka wydziału grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Malarka. Członkini szwajcarskiego Związku Artystów Wizualnych VISARTE i polskiego Związku Polskich Artystów Plastyków.

PIOTR KOWAL

Ukończyłem studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Poznaniu, w kolejnych latach uzyskałem specjalizację z neurologii (1986), doktorat (1988), habilitację (1994) i tytuł profesora medycyny z neurologii (2010). Przez całe życie zawodowe byłem związany z Kliniką Neurologii w Poznaniu, gdzie pełniłem obowiązki ordynatora oddziału. W 1991 i 1993 roku byłem na stypendiach naukowych w Austrii (Graz). Mam w dorobku liczne publikacje naukowe polskie i zagraniczne dotyczące epidemiologii chorób układu nerwowego i hemoreologii chorób naczyniowych mózgu.

Jestem żonaty, mam córkę i dwóch wnuków. Lubię podróżować, jeździć na nartach, pływać i czytać książki.

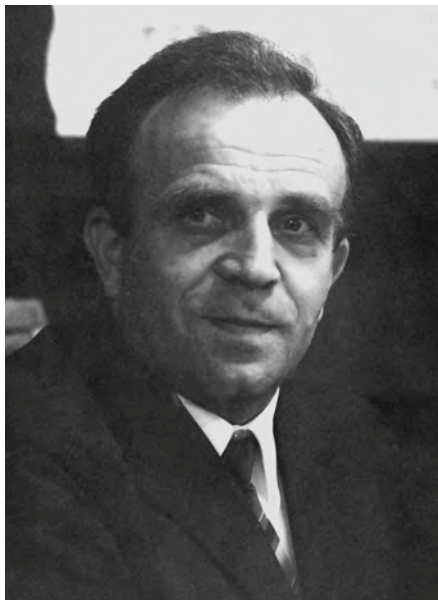
JERZY MODERSKI

Ukończyłem historię sztuki na UAM w 1978 roku. Do roku 1984 pracowałem w Muzeach Narodowych w Szczecinie i Poznaniu, zajmując się sztuką współczesną. W latach 1985–1994 pracowałem w Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu, prowadząc Pracownię Ikonografii. Potem, aż do roku 2004, zajmowałem się działalnością wydawniczą oraz tłumaczeniami literackimi z języków francuskiego i angielskiego. Od roku 2004 aż do dzisiaj pracuję wyłącznie jako tłumacz. Teraz już na emeryturze, a tłumaczenie, które jest moją pasją, pozostaje dla mnie zajęciem dodatkowym.

Mam czworo ukochanych dzieci: Andrzeja, Marysię, Jasia oraz najmłodszego – Frania.



Profesor Krystyna Chmielewska
– wychowawczyni i nauczycielka
języka francuskiego w latach
1969–1972



Profesor Bogdan Nowak –
wychowawca w roku szkolnym
1972/1973, nauczyciel matematyki



Doskonale się bawiliśmy
i na wycieczce w Gołuchowie...





i podczas kuligu w Jerzykowie (1970 r.)...





i na koleżeńskim rajdzie w Rogalinie (1971 r.)...





i oczywiście na prywatce po studniówce (1973 r.)



Wspomina MARIA BĄK (BĄK-ZIÓŁKOWSKA)

Czas liceum to czas zawiązywania przyjaźni „na wieki”, czas, który był dla mnie niezmiernie ważny. Poczucie wspólnotowej więzi przetrwało 50 lat. Pierwszy dzień września 1969 r., pierwsze spotkanie w nowej szkole, w nowej klasie jawi się, jakby to było wczoraj. Może przesadzam, powiedzmy: tydzień temu. Wspomnienia pozostają żywe. I te o koleżankach i kolegach, i te o nauczycielach. W tym miejscu przywołać chciałabym kilka wspomnień o naszym wychowawcy w klasie maturalnej, profesorze Bogdanie Nowaku, pseudonim Kaju, który uczył nas matematyki od początku liceum. Każda lekcja tego przedmiotu zaczynała się co najmniej półgodzinną „pogawędką wychowawczą”, a kończyła się kwadransem matematycznym. Jako że szkołę podstawową ukończyłam jako laureatka olimpiady matematycznej, bazowałam na wiedzy wyniesionej z tamtych lat, bo na jakiej innej, nie przykładając się specjalnie do nauki. I dopiero w III klasie licealnej Kaju, rozdając sprawdziany, stwierdził – a miał rację – Bąkówna, zgłaszaś jak meteoryt... Nasz rocznik był trzecim rocznikiem koedukacyjnym. Kaju, który uczył do tego czasu męskie klasy, czasami o tym zapominał i na stojące przy tablicy przepytywane ofiary płci żeńskiej poirytowany pokrzykiwał: „no powiedźże, chłopie!”

Przytoczyć warto też wspomnienie Wandy Janaszek, córki Profesor Danuty Kaczmarek (z domu Gruszczyńskiej), która uczyła naszą klasę fizyki. Pani profesor urodziła się w Poznaniu w 1929 r. W 1939 r. po wysiedleniu okupację spędziła w Lublinie, ucząc się na tajnych kompletach, a potem pracując jako pomoc w biurze. Po zakończeniu wojny

ukończyła liceum, ale nie dostała się na studia medyczne z powodu „złego” pochodzenia (ojciec był kupcem). W 1950 r. ukończyła Państwowy Kurs Nauczycielski i z nakazu pracy zaczęła uczyć w wiejskiej 4-klasowej szkole. W 1953 r. wyszła za mąż, a ukończywszy I stopień matematyki na UAM w Poznaniu, zaczęła uczyć w I LO w Gnieźnie. W 1963 r. w związku z pracą męża przeprowadziła się do Poznania, gdzie otrzymała pracę w „Marcinku”. W 1967 r. złożyła egzamin maderski na Wydziale Matematyczno-Fizyczno-Chemicznym UAM. Jako nauczyciel matematyki i czasowo fizyki pracowała w szkole do 1982 r. Była wychowawczynią bardzo konsekwentną i wymagającą, przede wszystkim od siebie. W 2002 r. owdowiawszy podupadła na zdrowiu. Po doznanym udarze całkowicie sparaliżowana żyła przez 6 lat pod opieką córki. Zmarła w 2011 r. Jej córka Wanda wspomina: „Mama walczyła jak lew o uczniów z klas, których była wychowawczynią. Z «ciała nauczycielskiego» miała najbliższe więzi z Profesor Marią Drobnik, która odwiedzała moją mamę do końca”.

Powracam myślą również do osoby Profesora Jana Grzegorzewskiego, który prowadził zajęcia plastyczne. Na początku lat szkolnych niewiele o nim wiedziałam poza tym, że zajmuje się głównie malarstwem olejnym, a tematami obrazów są konie, pejzaże i portrety, a jeżeli chodzi o grafikę, pracuje w różnych technikach. Nie wiedziałam, że był oficerem w stanie spoczynku, a podczas wojny organizował z ramienia Rady Głównej Opiekuńczej placówki opiekuńcze na Podlasiu. Mało kto wie, że u zbiegu ulic Grunwaldzkiej i Szylinga stał niegdyś pomnik żołnierza 57. Pułku Piechoty, który później otrzymał imię Króla Karola. Został zniszczony przez Niemców, ale wiąże się z nim ciekawa historia. Twarz żołnierza to twarz autora. „Za mało wówczas natłuściłem rzęsy do odlewu i odlewnicy, zdejmując mi go z twarzy, zdjęli razem z nimi – śmieje się pan Jan. – A przed pomnikiem żołnierza, który rzęsy nie potrzebował, defilowała nawet rumuńska kompania honorowa”.

Profesor wykładał w różnych szkołach, ale ze szczególnym sentymentem wspominał pracę w „Marcinku”. „Młodzież tam była niesamowicie zdolna, ale trudna – z uśmiechem opowiadał Jan Grzegorzewski”.

<https://wielkopolskie.naszemiasto.pl/kto-pamieta-ten-pomnik/ar/c13-123035>

Wspomina **RYSZARD JACEK BITTNER**

„Mały Kaju”

To wspomnienie o naszym wychowawcy i nauczycielu matematyki Bogdanie Nowaku. Wyróżniał się wielką inteligencją i zainteresowaniami muzycznymi. Był niskiego wzrostu i zapewne z tego powodu nadano mu przezwisko „Mały Kaju”. Tak naprawdę był dobrym i wyrozumiałym człowiekiem, ciągle dawał nam – uczniom szansę i wierzył, że potrafi nauczyć nas matematyki. Niestety, większość uczniów naszej klasy wykazywała dużą odporność na jego działania. Ze strony Kaja była więc zachęta, tłumaczenia, prośby, dowcipy i gniewne nawoływania do nauki, co przynosiło słaby skutek. Kiedyś Kaju – który po raz kolejny odbił się o nasz mur obojętności i głupoty – w swej desperacji sięgnął po swój ostateczny argument. Na lekcję matematyki przyniósł futerał ze skrzypcami, wyciągnął z niego instrument i zaczął grać. Trwało to kilka minut, po których w klasie zapanowało ogromne zdziwienie i cisza. Nie sądziliśmy, że Kaju potrafi tak zagrać. Widać było, że gra na instrumencie sprawia mu radość i działa na niego kojąco. To miał być reset. Wzbudził w nas podziw i szacunek. Z mojej strony szacunek do Kaja wynikał z oceny jego nieustających i różnorodnych wysiłków mobilizujących nas do nauki matematyki, bez uciekania się do prostych metod dyscyplinujących, z podziwu dla jego cierpliwości i wytrwałości, mimo że postawione cele nie zostały osiągnięte. Inni nauczyciele swoim działaniem i postawą także przyczyniali się do tworzenia niepowtarzalnego ducha i przesłania Tej szkoły, które rozwijały się w nas później. Za to wszystko dziękuję.

Wspomina **JOANNA JAKUBIAK (SAWICKA)**

Sport od zawsze był obecny w moim życiu, więc trudno mi nie wspomnieć o rekordzie skoku w dal (4,82), który wyskakałam w dniu sportu w pierwszej klasie liceum (1970). Wynik wisiał w gablocie przy sali gimnastycznej jeszcze jakiś czas po opuszczeniu przeze mnie szkoły, z czego jestem bardzo dumna.

Ale nie tylko ze sportem wiążą się moje szkolne wspomnienia. Zdecydowanie największy wpływ na moje życiowe wybory i zainteresowania wywarły lekcje z superwymagającymi, a niekiedy i złośliwymi profesorami. Dlatego muszę wymienić choćby panie Profesor Zofię Lewicką (nie raz usłyszałam „siadaj, nie wiesz...” i ten ruch dezaprobaty; dopiero w drugiej klasie los się do mnie uśmiechnął, doceniła moje pisanie i do matury było już z górki), Janinę Spyrzyńską i Wiesławę Kranz (systematyczność w nauce przedmiotów przyrodniczych).

Wspomnień wesołych, wariackich, głupich, szalonych, czasem też przykrych, jest oczywiście całe mnóstwo, ale zostawię to może na jakiś pamiętnik, jeśli zdążę w tym życiu.

Aha! jeszcze jedno: z rosyjskiego pamiętam do dziś tylko jeden zwrot „żenitsa na kom, na czom”, tylko niestety cyrylica gdzieś umknęła.

Wspomina JACEK JENEK

„Sprawca”

Koniec przerwy. Teraz przed nami zgodnie z planem matematyka z Kajem, czyli Profesorem Bogdanem Nowakiem. Ładujemy się do sali na pierwszym piętrze, czyniąc niesamowity rejdach. Sala jest szersza niż dłuższa, co oznacza, że ciało pedagogiczne, które wchodzi razem z nami do klasy, ma do pokonania większy dystans niż zazwyczaj. Hałas nie cichnie. Wręcz przeciwnie, jakby się wzmacniał. Instaluję się na swoim miejscu i kątem oka widzę, że do sali weszła nasza wychowawczyni, Profesor Krystyna Chmielewska, pieszczotliwie zwana przez nas Kobyłą. Pani Profesor, przez nikogo niezauważona i z miną najwyższej dezaprobaty, zdecydowanym krokiem zmierza w stronę nauczycielskiego stanowiska. A przypominam, hałas nadal nie cichnie. I w tym momencie rozlega się przeraźliwy gwizd. Zapadła grobowa cisza i wszyscy znieruchomieli. Kobyła, która dotarła już do nauczycielskiego stołu i stała obok Kaja, nad którym wyraźnie górowała wzrostem, zapałała świętym oburzeniem i głosem nieznoszącym sprzeciwu, wodząc wzrokiem po potencjalnych sprawcach, zażądała,

aby złoczyńca natychmiast przyznał się swego niecnego czynu. Nie dłużej niż sekundę później Kobyła usłyszała wypowiedziane przepraszającym tonem „ja, pani profesor” i Kaję podniósł dwa palce.

Wspomina ANNA KORALEWSKA (KORALEWSKA-SKIBIŃSKA)

Mam we wdzięcznej pamięci profesorów „Marcinka”. Zwłaszcza tych, którzy okazywali zrozumienie dla moich jednostronnych zdolności i zainteresowań. Wśród nich szczególną estymą darzę Profesora matematyki Bogdana Nowaka, pseudo Kaję, którego desperacją związaną z moją osobą bardzo dobrze rozumiem. A także Profesor Zofię Lewicką, zwaną Lewicą, wykładowczynię języka polskiego, jak i Profesor Krystynę Chmielewską „od francuza”, z przywiązaną niezmiennie romantycznie do torebki apaszka. Ich spojrzenie na nas, uczniów – uważne, życzliwe i inspirujące – budowało nas i w dłuższej perspektywie ukształtowało. Nie za bardzo zdawaliśmy sobie wtedy z tego sprawę ani też z tego, że grono pedagogiczne „Marcinka” doświadczone wojną i stalinizmem widziało w uczniach tej szkoły kuźnię nowych elit.

Z naszym „Marcinkiem” wiąże się cała masa anegdot. Jak choćby ta o ewakuacji szkoły z powodu zbliżającego się huraganu, który nie nadszedł, a który anonsowała odważnie koleżanka Maryla Bąk. Przyjaźnie zawiązywały się i rozwiązywały jak w kalejdoskopie, wypchane płaszcami szatnie były świadkiem namiętnych schadzek, a toalety w podziemiach skrywały na przerwach rozklekotanych egzystencjalnie palaczy i palaczki. Nie byliśmy różni od naszych rówieśników z innych liceów, ale wydawało nam się, że jesteśmy wyjątkowi i w tym rozkosznym złudzeniu przystępowaliśmy do matury. I dziś, po tylu latach, „Marcinek” ciągle nas łączy, bo „Marcinek” jest w nas.

Klasa F

Wychowawczynie: **MARIA WALLIS-STIASNY**

Uczniowie

Grażyna Błaszkiwicz [‡] (Zarzyńska)	Jakub Kurzawski
Włodzimierz Bujałowski	Magdalena Liersch (Gumna)
Piotr Caliński	Urszula Loba [‡] (Florczak)
Jerzy Ciszek	Ewa Łukasik
Lidia Derwich [‡] (Derwich van Deurzen)	Włodzimierz Matuszak
Magdalena Dobrzyńska (Witecka)	Halina Matysiak [‡] (Kostecka)
Hanna Fuk (Jarzęcka)	Dorota Rachocka
Marian Gessner	Marek Ratajczak
Ewa Grzesik [‡] (Ziemska)	Leszek Ratajski
Lucyna Juwa (Śliwińska)	Zofia Sadowska (Margi)
Jolanta Kędzierska	Jolanta Silska (Silska-Hałupka)
Stefan Kiszka [‡]	Sabina Skrzypczak (Full)
Mariola Knapik (Barker)	Józef Stankiewicz
Janusz Kotowicz [‡]	Barbara Stasińska (Stasińska-Krzyś)
Marek Kozak [‡]	Roman Stemerowicz
Anna Kozłowska (Skołuda)	Andrzej Szlęzak
Janusz Krawiec	Piotr Szmytkowski
	Hubert Wański

Magdalena Weber (Weber-Faulhaber) Alfred Zając (Adamczewski)
Hanna Wolny (Wolny-Delavoie) Grzegorz Zarzyński
Wiesława Wrzeźniowska (Wrzeź-
niowska-Sołtysiak)

WŁODZIMIERZ BUJAŁOWSKI

Ukończyłem studia z biologii i biochemii, a następnie studia doktoranckie z biochemii fizycznej na UAM i w PAN. W trakcie studiów miałem wyjazd do Stanów Zjednoczonych w ramach wymiany naukowej między uniwersytetami polskimi i amerykańskimi. To był szok kulturowy i naukowy. Początkowo zaskoczył mnie praktycyzm nauki amerykańskiej. W tym jest jej siła.

Po doktoracie z biochemii fizycznej i biologii molekularnej wyjechałem na stypendium Maxa Plancka do Instytutu Maxa Plancka w Getyndze, w Niemczech, do laboratorium laureata nagrody Nobla. Wspaniałe miejsce. No merci, pure science. Fantastyczny profesjonalizm.

Później był wyjazd do Stanów Zjednoczonych, tym razem na dobre, na drugie studia postdoktorskie, już bez szoku kulturowego, chociaż do Teksasu. Tam jest naprawdę bardzo gorąco. W tenisa można grać tylko wieczorem albo w nocy przy świetle.

Następnie objąłem stanowisko „professor with tenure” na University of Texas, wydziale medycznym w Galveston, w biochemii fizycznej. A tam własne laboratorium, studenci, doktoranci, postdocy, zajęcia, wykłady, walka o granty, publikacje. Praca naukowa w enzymologii fizycznej nad kompleksami białko-kwas nukleinowy zaangażowanymi w replikacji DNA i mającymi funkcjonalne znaczenie w chorobach rakowych.

PIOTR CALIŃSKI

Absolwent Wydziału Prawa UAM. Wieloletni pracownik struktur bezpieczeństwa wewnętrznego, służby kryminalnej, dochodzeniowej, przestępczości gospodarczej, zarządzania kryzysowego, antyterroryzmu, infrastruktury krytycznej oraz doradca i praktyk biznesowy

w zakresie audytu, zarządzania ryzykiem, compliance, kontroli zarządczej, ochrony informacji i danych osobowych, transparentności biznesu. Autor Rządowego programu zapobiegania przestępczości samochodowej i ubezpieczeniowej. Kawaler Narodowego Orderu Zasługi Republiki Francuskiej. Wykładowca Collegium Civitas i MBA INE PAN. W latach 2009–2017 dyrektor Biura Audytu Wewnętrznego w PSE S.A. W 2010 r. Prezes Zarządu PSE Info. Od 2016 r. właściciel firmy „Doradztwo gospodarcze, Bezpieczeństwo biznesu”. W latach 2016–2018 Członek Zarządu ACFE Poland Chapter #183. Od 2021 r. Prezes Zarządu Spółdzielni Bezpieczeństwo Obrotu Bankowego; PRINCE2 Foundation; AWCO.

Żona – Grażyna (klasa C), córka i syn – prawnicy, czworo wnucząt.

LIDIA DERWICH[‡] (DERWICH VAN DEURZEN)

Ukończyła Wydział Lekarski Akademii Medycznej w Poznaniu. Pracowała jako anestezjolog w Szpitalu Miejskim im. Józefa Strusia. Zginęła w wypadku samochodowym na niemieckiej autostradzie w lutym 1988 r., jadąc do Polski z Holandii, gdzie zamieszkała po ślubie.

HANNA FUK (JARZĘCKA)

Studiowałam fizykę na Wydziale Matematyki Fizyki i Chemii UAM w Poznaniu, pracę magisterską pisałam w Zakładzie Fizyki Magnetyzmu Instytutu Ciała Stałego. Od 1978 r. pracowałam w Instytucie Fizyki UAM na stanowisku asystenta. W 1987 r. uzyskałam stopień doktora nauk fizycznych w zakresie fizyki teoretycznej i jako adiunkt pracowałam w Instytucie Fizyki Teoretycznej, prowadząc ćwiczenia i wykłady dla studentów fizyki. W 1993 r. przeszłam do firmy Delogue Informatique zajmującej się tłumaczeniem i wdrażaniem francuskich systemów zarządzania sprzedażą oraz systemów kredytowych w bankach. W kolejnych dwóch firmach również zajmowałam się informatyką i wdrażaniem oprogramowania Microsoft. Obecnie oprócz prowadzenia swojej firmy wraz z mężem wspieramy działalność córki, która prowadzi prywatne przedszkole.

Mam troje dzieci, dwóch wnuków we Francji i trzeciego w Polsce. Pasjonuje mnie narciarstwo, żeglarstwo oraz pływanie.

MARIAN GESSNER

Moje życiowe powołanie to zawód inżyniera. Politechnikę ukończyłem w 1978 r. ze specjalnością Mosty i budowe podziemne. Dalsze zawodowe losy wiodły przez Warszawę, gdzie zatrudniłem się w Zakładach Budownictwa Mostowego. Przez kilka lat kierowałem budową kolejowych i drogowych mostów w różnych miejscach w Polsce. Po powrocie od 1984 r. zebrane doświadczenie wykorzystywałem w pracy w Zarządzie Dróg i Mostów w Poznaniu. Kierowany przeze mnie zespół sprawował nadzór nad budową i remontami większości mostów i wiaduktów w naszym mieście. Mam nadzieję, że ich długoletnia bezawaryjna eksploatacja będzie źródłem nie tylko mojej satysfakcji. W czasie wolnym lubię piesze wędrówki.

EWA GRZESIK[†] (ZIEMSKA)

Absolwentka Wydziału Prawa UAM. Pracowała jako adwokat. Angażowała się społecznie w działalność na rzecz Smochowic – dzielnicy, w której mieszkała.

Była wielką miłośniczką psów. Kochała zresztą wszystkie zwierzęta i była wrażliwa na ich los. Interesowała się historią, szczególnie drugą wojną światową. Pasjonowała ją kultura i sztuka okresu międzywojennego. Zmarła w 2019 r.

LUCYNA JUWA (ŚLIWIŃSKA)

W latach 1974–1978 studiowałam na Wydziale Biologii i Nauki o Ziemi na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Ten czas to nauka, ale też – z uwagi na charakter studiów – wielka przygoda. Relacje z naszymi wykładowcami i promotorami to marzenie studentów; braliśmy udział w ich badaniach naukowych, a często prace magisterskie były tych badań częścią. To było bardzo inspirujące.

A potem dorosłe życie: praca w szkole sportowej w Szczecinku, a po powrocie także w Poznaniu. Ten zawód był moim powołaniem.

Jako że życie przynosi różne niespodzianki, w 1992 r. rozpoczęłam przygodę z bankowością. I sama byłam zaskoczona entuzjazmem, z jakim poznawałam tę dziedzinę, poszerzałam wiedzę podczas studiów podyplomowych na Akademii Ekonomicznej oraz podczas licznych szkoleń i konferencji. Efektem była kreatywna praca w centrali banku.

Obecnie, już poza życiem zawodowym, podróżuję, zgłębiając historię sztuki, asany jogi i uczę się języka angielskiego.

We wszystkich działaniach wspierają mnie dzieci: starszy syn Łukasz i córka Julia.

JANUSZ KOTOWICZ[†]

Po dwuletniej szkole policealnej uzyskał dyplom fizjoterapeuty. Przez niemal 46 lat rehabilitował pacjentów Szpitala Klinicznego im. Heliodora Świącickiego w Poznaniu. Był niezwykle lubiany przez podopiecznych i współpracowników. Zmarł w 2021 r.

MAREK KOZAK[†]

Absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Był artystą rzeźbiarzem. Zrealizował duży projekt w ogrodach pałacu Sanssouci w Poczdamie. Zmarł w 2016 r.

MAGDALENA LIERSCH (GUMNA)

Ukończyłam Inżynierię Środowiska na Politechnice Poznańskiej. Pracę zawodową rozpoczęłam w 1978 r. w Biurze Projektów Budownictwa Komunalnego, a skończyłam w 2019 w Skanska SA.

Córka Barbara i syn Maciej też są wychowankami „Marcinka”. Mam czworo wnucząt w wieku jeszcze przedlicealnym.

Pasjonują mnie ptaki, ale do prawdziwego birdwatchera mi daleko. Odwiedziłam jednak odległe miejsca, by obserwować ulubione

gatunki: wyspa Hornøya - maskonury, Helgoland – głuptaki, Djoudj w Senegalu – pelikany, Walvis Bay i Altiplano – flamingi, Ballestas – pingwiny, Colca – kondory...

„Marcinka” wybrałam ze względu na możliwość nauki języka francuskiego. Jak na ironię trafiłam do klasy niemieckiej. Po kilku dniach usilnych próśb Dyrektor Graja przeniósł mnie z B do F. Razem ze mną klasę zmieniła Lidka Derwich. Usiadłyśmy w jednej ławce i tak zaczęła się nasza przyjaźń.

EWA ŁUKASIK

Ukończyłam automatykę na Politechnice Poznańskiej. Przez 6 lat pracowałam dla Telekomunikacji Polskiej przy wdrażaniu elektronicznych central telefonicznych. Po zniesieniu stanu wojennego wróciłam na Politechnikę, obroniłam doktorat z elektroniki i telekomunikacji, pracuję do dziś w Instytucie Informatyki. Unosi się tu duch „Marcinka” za sprawą grona jego absolwentów, wybitnych twórców podwalin informatyki. Zawsze interesowały mnie techniki audiowizualne, nie mogłam żyć bez muzyki. Dlatego moja praca naukowa i dydaktyczna dotyczyły multimediów. Dziś czuję się szczęśliwa, realizując projekty w dziedzinie humanistyki cyfrowej – muzykologii obliczeniowej. Jestem członkiem kilku towarzystw naukowych, z satysfakcją pełnię funkcję wiceprezydenta ds. Europy Centralnej w Audio Engineering Society. „Marcinek” otworzył nas na świat. Poznawałam go prywatnie, jako pilot wycieczek zagranicznych, a także zawodowo. Poznańskie dziedzictwo promowałam jako przewodnik po mieście. W chwilach wolnych tańczę flamenco i śpiewam chorał gregoriański.

WŁODZIMIERZ MATUSZAK

Ukończyłem Akademię Rolniczą – Wydział Rolny oraz Wyższą Szkołę Bankową – Zarządzanie Nieruchomościami. Pracowałem w Banku Spółdzielczym Dopiewo oraz w Zarządzie Komunalnych Zasobów Lokalowych Miasta Poznania. Obecnie jestem na emeryturze. Mam żonę i dwie córki.

MAREK RATAJCZAK

Po maturze i studiach na ówczesnej Akademii Ekonomicznej przyszedł czas trwającej do dziś pracy – na obecnym Uniwersytecie Ekonomicznym w Poznaniu. Od 2000 r. jestem profesorem tytularnym. Wyniesiona z „Marcinka” znajomość języka francuskiego szczególnie przydała się w pracy polskiego ko-dyrektora francusko-polskich studiów z zarządzania, realizowanych przez ponad dwadzieścia lat we współpracy z Instytutem Zarządzania Uniwersytetu Rennes I. Moje więzi z uczelnią uległy pewnemu rozluźnieniu w latach 2012–2015, kiedy to – całkowicie niespodziewanie – zaproponowano mi wejście do szeroko rozumianego rządu. Początkowo byłem podsekretarzem, a potem sekretarzem, czyli pierwszym zastępcą ministra w ówczesnym Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Prywatnie w roku pięćdziesięciolecia matury będę obchodził jubileusz czterdziestopięcioletnia małżeństwa.

SABINA SKRZYPCZAK (FULL)

W 1975 r. ukończyłam dwuletnie Policealne Studium Hotelarsko-Turystyczne i uzyskałam dyplom Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej im. Fryderyka Chopina, a w 1980 r. – studia muzykologiczne na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza. W 1981 r. wyemigrowałam do Australii i zamieszkałam na stałe w Sydney. Pięć lat później ukończyłam studia muzykologiczne na uniwersytecie w Sydney, uzyskując tytuł Master of Music with Honours. W 1987 r. wyszłam za Davida Fulla, a w 1996 r. urodził nam się syn Daniel, który dzięki swoim predyspozycjom do muzyki zdobył wysokie umiejętności gry na fortepianie i wiolonczeli.

Odwiedziłam Polskę w latach: 1989, 1998, 2000, 2006, 2008, 2010, 2012, 2013, 2015, 2016 i 2022.

Wśród osób, które odwiedziły nas w Sydney, była m.in. śp. Profesor Paulette Jagodzińska, która gościła u nas pięć tygodni na przełomie września i października 2008 r.

JÓZEF STANKIEWICZ

Ukończyłem inżynierię środowiska na Wydziale Budownictwa Lądowego Politechniki Poznańskiej. Następnie pracowałem w biurach projektowych. Od maja 1986 r. do dziś prowadzę własną działalność – instalacje i serwis systemów grzewczych.

Żona Maria, dwoje dzieci (Michał i Magdalena). Trzy wnuczki: Marcelina, Kornelia, Laura.

Do mojego zainteresowania turystyką z lat młodzieżowo-studenckich doszły obecnie sporty zimowe (narty) oraz wszystko, co na wodzie i pod wodą, zwłaszcza rejsy morskie.

BARBARA STASIŃSKA (STASIŃSKA-KRZYŚ)

Po maturze ukończyłam Wydział Lekarski Akademii Medycznej w Poznaniu. Jestem lekarzem chorób wewnętrznych, specjalistą w dziedzinie chorób płuc i alergologii. Aktualnie pracuję w Wielkopolskim Centrum Chorób Płuc i Torakochirurgii.

W 1977 wyszłam za mąż – mój mąż Tadeusz jest również lekarzem. Mamy dwoje dzieci – starszą córkę Małgorzatę i syna Grzegorza. Jestem szczęśliwą babcią trzech wnuczek. Moje hobby to wędrówki i książki.

ANDRZEJ SZŁĘZAK

Ukończyłem filologię angielską (1978) i prawo (1979) na UAM. Potem doktorat, habilitacja i stanowisko profesora na Wydziale Prawa (Instytut Prawa Cywilnego). Po zmianie ustroju – a wcześniej liznąwszy nieco świata (stypendia w Oxfordzie i w Ann Arbor, Michigan) – zostałem praktykiem. Jestem współzałożycielem kancelarii „Sołtysiński, Kawecki & Szlęzak”, dziś jednej z największych w Polsce. Po kilkuletniej przerwie w pracy naukowej wróciłem „do akademii”. Jestem profesorem na Uniwersytecie SWPS w Warszawie, kierując tamtejszą Katedrą Prawa Prywatnego. Poza tym jestem arbitrem w sporach krajowych i międzynarodowych oraz członkiem władz różnych spółek; z najbardziej znanych: Agora SA oraz Jeronimo Martins.

Z żoną Danutą, którą poznałem na anglistyce, dzielę szczęśliwe życie już od 44 lat. Mamy syna (też prawnika, ale z wyboru niepraktykującego w zawodzie) i wnuczkę. Mieszkamy pod Warszawą, ale Poznania zawsze żal.

PIOTR SZMYTKOWSKI

Po zdaniu matury kontynuowałem naukę w Jeleniej Górze, gdzie mieściła się filia Wyższej Szkoły Ekonomicznej we Wrocławiu. Dlaczego właśnie tam? Bo to jedyne miejsce w całym PRL, gdzie był kierunek Ekonomia i organizacja turystyki. Niestety, brak „czerwonego paska” na świadectwie i tak zwane „niewłaściwe pochodzenie”, a w konsekwencji brak dostatecznej liczby punktów stanęły mi na drodze do kontynuowania nauki na wymarzonym kierunku. Na szczęście wybrana uczelnia oferowała inne kierunki, a liczba zdobytych punktów umożliwiła studiowanie gospodarki miejskiej.

W mojej drodze zawodowej szukałem tego, co chciałbym wykonywać – po studiach była gazownia, następnie administracja publiczna oraz banki. Przez ostanie kilkanaście lat pracy zawodowej zmagiałem się z finansami administracji samorządowej – i to było, oprócz rodziny, dzieci i wnuków, bardzo dobrym wyborem. Po przekroczeniu 65 lat stwierdziłem, że gminę powinni reprezentować młodszy.

HUBERT WAŃSKI

W 1977 r. ukończyłem Akademię Ekonomiczną w Poznaniu, a w 1995 r. studia podyplomowe z organizacji i zarządzania na Uniwersytecie Rennes I. W 2008 r. obroniłem rozprawę doktorską na Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, uzyskując tytuł doktora nauk ekonomicznych. Opublikowałem kilka artykułów o tematyce ekonomicznej, jeden o metodologii badań naukowych. Pracę zawodową rozpocząłem w 1978 r. w Poznańskich Zakładach Ceramiki Budowlanej jako referent, a zakończyłem w 2019 r. w ZORIN sp. z o.o. na stanowisku dyrektora finansowego. Wiele lat pracowałem w bankach.

Publikuję artykuły o tematyce przyrodniczej i łowieckiej w „Łowcu Polskim” i „Braci Łowieckiej”. Jestem autorem książki *Lot, który trwa*. W przygotowaniu do druku jest książka *Darż Bór, Wielkopolsko*.

Zbieram polskie, rosyjskie i francuskie starodruki i wydawnictwa sprzed 1917 r., które w wolnych chwilach z przyjemnością studiuję.

Mam żonę Halinę, nauczycielkę, i syna Andrzeja, ekonomistę.

HANNA WOLNY (WOLNY-DELAVOIE)

W 1977 r. ukończyłam filologię romańską na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, a w 1981 r. zrobiłam licencjat ze studiów teatralnych na paryskiej Sorbonie. Od 1983 r. jestem też analitykiem-programistą, od 1990 r. menadżerem projektów – projektantem systemów informatycznych w Państwowej Wyższej Szkole Telekomunikacji w Paryżu.

Mieszkam we Francji w obrębie aglomeracji paryskiej, jestem mężatką, mam dwoje dzieci: Joanna (ur. 1983) i Matthieu (ur. 1993).

Od 1995 r. pracuję na różnych szczeblach i w różnych dziedzinach w korporacji France Telecom, obecnie Orange SA.

ALFRED ZAJĄC (ADAMCZEWSKI)

Ukończyłem studia medyczne w Poznaniu i od 1983 r. pracuję w lecznictwie otwartym. Jestem do dzisiaj lekarzem Podstawowej Opieki Zdrowotnej, właścicielem poradni City-MED w Poznaniu. Mam żonę, troje dzieci (2 synów i córkę) oraz pięcioro wnuków (4 wnuczki i 1 wnuka).



Na rozpoczęciu roku szkolnego 1970/1971 humory nam dopisywały



Wykopki 1971 r., czyli przedsmak robotniczych praktyk studenckich,





też były okazją poniekąd towarzyską



I LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE IM. K. MARCINKOWSKIEGO

1969

KL. IVF.

1973



BARBARA
STASIŃSKA



JAKUB
KURZAŃSKI



EWA
GRZESIK



LIDIA
DERWIK



ZUZANNA
ŻUWA



WYCHOWANKA
MARIA
WALLIS



HUBERT
MĄSIŃSKI



MAGDALENA
LIĘRSKA



ANNA
KUZŁOWSKA



PIOTR
SZMYTKOWSKI



JOLANTA
SILSKA



GRZEGORZ
ZACZYŃSKI



DOROTA
RACHOCNA



MARIAN
JESSNER



PIOTR
CAURSKI



EWA
LURABIK



MAGDALENA
DOBZYŃSKA



MAGDALENA
WEBER



JERZY
CISZEWSKI



JANUSZ
KRAWIEC



MAREK
KOZAK



MAREK
RATACZAK



GRAŻYNA
BŁASZCZAK



HANNA
WOLNY



HANNA
FIK



JOLANTA
KĘDZIEŃSKA



ZOFIA
SADOWSKA



JANUSZ
KOTOWICZ



WIEŚŁAWA
WRZEŚNÓWSKA



URSZULA
LOBA



SABINA
SKRZYŻCZAK



WALDEMAR
BUJAKOWSKI



WŁODZISŁAW
MATUSZAK



STEFAN
KUSZA



MARIOLA
KNAPIK



ANDRZEJ
SZLACH



JÓZEF
STANKIEWICZ



ALFRED
ZAJĄC



ROMAN
STEMEROWICZ



LESZEK
RATAJSKI



HALINA
MATYSIAK

A po maturze wyglądaliśmy już całkiem dorośle

Wspomina WŁODZIMIERZ BUJAŁOWSKI

„Marcinek” był dużym przeskokiem w porównaniu ze szkołą podstawową. Zapachniało profesjonalizmem i intelektualnymi wymaganiami. Klasa znakomita, wypełniona ludźmi, którzy byli zainteresowani kształceniem, a dużo mniej imponowaniem czy to pieniędzmi, czy pozycją rodziców. Duża – chyba zaczęliśmy jako 43-osobowa klasa – z pół na pół częścią damską i męską.

Część męska miała dość szybko wyodrębnioną grupę, którą określałem po swojemu „chłopcy z Grunwaldzkiej”. Przyszli z jednej szkoły podstawowej usytuowanej gdzieś w rejonie tej ulicy. Sympatyczne chłopaki wzmocnione poczuciem poprzedniej wspólnoty. Pamiętam, że fascynowała ich moja zamszowa marynarka, którą nosiłem przez pierwsze miesiące szkoły. Poza tym była grupa „niezależnych” (z którą się najbardziej identyfikowałem) i grupa „po obu stronach”. W grupie „niezależnych” stacaliśmy brydżowe boje. Ciekawym elementem było poszukiwanie po lekcjach otwartej klasy w pustej szkole i znalezienie czterech krzesel.

Część damska klasy była super. Ambitne, inteligentne i ładne dziewczyny. Niektóre trochę zwariowane, ale kto z nas wtedy nie był trochę zwariowany. Zakochałem się w co najmniej kilku z nich, chociaż miałem przez lata swoją ukrytą „wielką miłość”.

Profesorowie zaskoczyli mnie tym, że dość szybko miałem wrażenie, że im naprawdę zależy na tym, żebyśmy się czegoś nauczyli. Pierwszą dwóję dostałem z matmy za nieprzyniesienie gąbki na lekcję, gdy byłem dyżurnym.

Profesor Wallis, nasza wychowawczyni, prowadziła koło chemiczne z niezwykle zaraźliwym entuzjazmem. Niemniej nie pozwoliła nam na zsyntetyzowanie nitrogliceryny.

Wspomina **MARIAN GESSNER**

Nauka francuskiego była piękną przygodą. Nauka pierwszego języka obcego z własnego wyboru. Nie uczonego pod przymusem, tak jak od 5 klasy język rosyjski. Z przyjemnością wspominam codzienne lekcje z Mirką (Profesor Warszawską, 1925–2002) w sprzyjającej nauce atmosferze małej grupy – połówki klasy. Do dziś w uszach brzmią słowa: *Je m'baladais sur l'avenue...* i innych przebojowych piosenek tamtego okresu, których uczyliśmy się, realizując kurs poszerzony. Zawartą w tytule naszego podręcznika zapowiedź *Un jour j'irai a Paris* zrealizowałem dopiero w 2002 r. Wówczas niestety do sprawnego porozumiewania się brakowało już wielu słów.

Wspomina **LUCYNA JUWA (ŚLIWIŃSKA)**

Lubiłam i lubię naszą klasę jako grupę, ale także jako osoby towarzyszące mi w poznawaniu siebie, innych, doświadczaniu przygód, pierwszych miłości, spełnianiu marzeń, realizowaniu zadań i samo-realizacji. Czas liceum to mój czas szczęśliwości, budowałam siebie z wieloma spośród naszej klasowej gromady i dzięki nim. Wiem, to górnolotne słowa, ale tak czuję, opisując swój czas dojrzewania.

Zmrużmy więc oczy i dajmy się ponieść wspomnieniom...

Zawsze byłam osobą aktywną, ciekawą świata i ludzi, dlatego też już po 7 klasie i przez okres liceum wraz z moją przyjaciółką Anią, pod opiekuńczym okiem jej rodzeństwa, należałam do studenckiego Klubu Speleologii i Taternictwa, łączyłam po górach i jaskiniach. Mam nawet na koncie pierwsze kobiece zejście na ówczesne dno jaskini Bandzioch (odkrytej w masywie Kominiarskiego Wierchu przez poznaniaków właśnie, w późniejszych latach odkryto jeszcze wiele jej korytarzy). Góry nadal Kocham miłością bezwarunkową, zaraziłam ich urokiem syna, córkę, rodzinę.

Ludzie gór, moi znajomi z licznych wypadów, mieszały się z koleżankami i kolegami z liceum i mam nadzieję, że wspólnie spędzony czas pozostawił miłe wspomnienia. Muszę wspomnieć też, że moje nader skromne lokum było miejscem spotkań ludzi z różnych środowisk, każdy był miłe widzianym gościem, którego moja Mama witała dobrym słowem i kanapką. To także miejsce naszych gorących dyskusji, nauki, śpiewów przy akompaniamencie gitary Sabiny, słuchania płyt – także tych podarowanych mi przy różnych okazjach – i świętowania 18 urodzin (jak my się wtedy pomieściliśmy?).

Zawsze najwyżej ceniłam i pielęgnowałam relacje między ludźmi, których spotykałam na swojej drodze.

Myszę, że klasowe wyjazdy organizowane przez Profesor Wallis pozwalały nam poznać się bliżej w innej niż szkolna rzeczywistości. I tak odkrywaliśmy, że mamy wśród nas dobrych organizatorów, niektórzy czuli się odpowiedzialni za pozostałych (dzięki, Roman), byli opiekuńczy, ale też szaleni w korzystaniu z życia (Jurek jako buszujący w zbożu). Byliśmy weseli, beztroscy, piękni i młodzi! Ale też bardzo, bardzo koleżeńscy: pomagaliśmy sobie nawzajem, gdy nauka za bardzo kogoś uwierała, zwłaszcza przed maturą, ale także w trakcie maturalnych egzaminów (dobrze, że młodsze roczniki nie będą tego czytać).

Dzieliliśmy się swoimi pasjami: i tak Sabina edukowała mnie muzycznie, tajemnymi ścieżkami wprowadzając do filharmonii na koncerty, na przesłuchania podczas konkursów skrzypcowych im. Henryka Wieniawskiego, na występ Konstantego Kulki. Dzięki Niej muzyka klasyczna i opera towarzyszą mi do dziś.

Lubiłam lekcje języka polskiego. Pamiętam interpretacje wierszy przez Hanię Wolny, niesztampowe, wnikliwe, Jej.

Roman często kwestionował opinie Profesor Lewickiej na temat literatury, a Ona mądrze pozwalała na to, dając nam poczucie swobody wypowiedzenia myśli.

Profesor Załęska to całkiem osobny rozdział – pamiętam, że była widzkiem na jednej ze szkolnych olimpiad. Biegłam wtedy na 60 metrów i zajęłam II miejsce, a na lekcji matematyki następnego dnia pani Profesor wyraziła zdziwienie, że można umieć matematykę i do-

brze biegać – niezrozumiałe, prawda? A pamiętacie słynne gazety, które „czytała” w trakcie klasówek? A to, że przez całą zimę chodziła w sandałach?

Do dziś kojarzę Dymitra Samozwańca i pokazaną pięknie przez panią Profesor Mąkównę wizualizację przejęcia władzy – ekspresyjne gesty wkładania korony na głowę. I, oczywiście, daty, daty, daty – konik pani Profesor.

Mieliśmy też czas poezji i przedstawień, nie wiem, czy któreś doszło do skutku, ale pamiętam spotkania, które – w założeniach – miały nas do nich przygotować. Kto uczestniczył, ten wie...

No i liczne zabawy taneczne, szkolne i te pozaszkolne. Ach, te emocje, bicie serca, radości i smuteczki. I poncz u Żuza po studniówce. Cudne.

Cieszę się, że moje korzenie są także tu, w LO nr 1, w „Marcinku”.

Wspomina EWA ŁUKASIK

Z ostatniej chwili

Spotkanie klasowe w sobotę 7 stycznia 2023 r.

Przyleciała Sabina z Australii. Magda zorganizowała z tej okazji spotkanie w tym samym miejscu, co 15 lat temu, gdy poprzednio widzieliśmy się z Sabcią. Republika Róż. Byliśmy też kiedyś w Republice Słonecznej. Czyżbyśmy byli republikanami? – ktoś zażartował. Dziś jest nas 14 osób. Nie wszyscy dotarli. Ale od tamtego spotkania ubyło nas znowu. Osiem osób po tamtej stronie. Świeże w pamięci odejście Janusza, Grażyny...

Przyleciała też z Paryża Hania. I dojechał z Berlina Roman. Sabinka jak zwykle przywiozła dla każdego australijski prezencik. Chyba traktujemy się coraz bardziej jak rodzina. Próbujemy wspominać, ale okazuje się, że opowieści, które jeszcze niedawno były bardzo żywe i pełne szczegółów, już trochę przyblakły. Żartujemy, jaka pamięć jest zawodna i jak czasami można sobie wmówić pewne zdarzenia, a inne wyprzeć z pamięci. Jak nazywała się po mężu nasza młoda fizyczka,

Profesor Maciejewska? Nikt nie pamięta. A była delegacja z klasy na Jej ślubie. Lubiliśmy ją. Wprowadzała nas w świat fizyki kwantowej. Teraz jak znalazł – zaczyna się era komputerów kwantowych.

Niedawno dziewięćdziesiąte urodziny obchodziła nasza wychowawczyni, Profesor Wallis. Delegacja z naszej klasy była na okolicznym spotkaniu w „Marcinkowej” stołówce. Wypiękniała ta stołówka od naszych czasów, ale miło wspominamy herbatkę i drożdżówki z tamtych lat. Po lekcjach uczestniczyliśmy w zajęciach kółek zainteresowań. Profesor Wallis prowadziła koło fotograficzne i tam doskonalili swój kunszt Marek i Janusz, często fotografując nasze piękne koleżanki. Pani Profesor prowadziła też kółko chemiczne. Pamiętam słynną próbę nikotynową. Kółko teatralne to była domena Profesor Lewickiej. Zabierała nas na przedstawienia do Teatru Polskiego. Do dziś pamiętam słynną rolę Andrzeja Nardellego, który wygłaszał monolog Kordiana na szczycie Mont Blanc, stojąc na drabinie. To była inscenizacja Adama Hanuszkiewicza, z którą przyjechał do Poznania. Profesor Osuchowska prowadziła kółko recytatorskie, gdzie doskonale sprawdzał się Marek Ratajczak. Pięknie recytowała też Grażyna. Lucyna najszybciej biegła i najdalej skakała – Profesor Mrozek mawiał: „biegajcie, dziewczęta, biegajcie”... Mariola śpiewała w chórze, którego przebojem był mazur ze *Strasznego dworu*, a Andrzej i Stefan grą na skrzypcach zasilali szkolną orkiestrę. Oba zespoły prowadził Profesor Grochowalski. Miał z nami wychowanie muzyczne, ale na lekcjach często wołał komentować mecze piłkarskie, niż roztrząsać zawilości form muzycznych. Z repertuaru orkiestry zapamiętałam serenadę Schuberta – gdy tylko ją słyszę, w wyobraźni przenoszę się do auli Szkoły. To tam w 500-ną rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika ubrani w togi przedstawialiśmy jego dorobek jako astronoma, ekonomisty, lekarza i filozofa. Za naszych czasów powstała też Pro Sinfonika, ruch młodych melomanów, której klub, a jakże, mieliśmy w „Marcinku”. Pamiętam spotkanie ze słynnym Jerzym Waldorfem, bywalcem sal koncertowych i autorem felietonów muzycznych.

Oknem na świat były wieczory klubu UNESCO. Z wypiekami na twarzy słuchaliśmy okraszonych slajdami opowieści poznańskich uczestników wypraw archeologicznych do Sudanu, późniejszych pro-

fesorów Michała Kobusińskiego i śp. Lecha Krzyżaniaka. Wspominamy też nasze, za sprawą UNESCO organizowane, obozy języka francuskiego w Gnieźnie. Kto z kim dzielił pokój, kto uciekał z balu kostiumowego, a kto zdobył na nim nagrodę za najlepszy strój, którą były plakaty ze zdjęciami Paryża czy winorośli w Szampanii. Sabina wspomina długie włosy Hani, które rozpuszczone robiły ogromne wrażenie. No i *soirées cabaret* z francuską kuchnią i występami: teatr cieni, pantomima... Dobrze pamiętam? Hania wspomina, jak chwaliła się przed Francuzami teatrem Grotowskiego. Na obozie był rygor, ale nasi rówieśnicy z Francji zaskakiwali nas swobodą obyczajów. Moje muzyczne wspomnienie z obozów to były utwory Ennio Morricone z westernu *Pewnego razu na Zachodzie* – skóra cierpła (i cierpieć nadal) przy dramatycznej partii harmonijki, a nastrój łagodnie przy romantycznej wokalizie. Tam też słuchaliśmy Joan Baez i jej przejmującej *Here's to you Nicola and Bart* ze świeżego filmu *Sacco i Vanzetti*. Basia jeździła na obozy Błękitnej Czternastki, a Grzegorz wspomina wyprawę speleologiczną...

Lucynka pyta o zdjęcia z balu maturalnego. Czy ktoś jakies ma? Nikt się nie zgłasza... Odbywał się w nieistniejącej już kultowej Adrii przy Targach. Mało z niego pamiętamy... Choć wspominaliśmy sukienki balowe – Lucynka swoją piękną seledynową solejkę uszytą przez mamę Hani w podziękowaniu za pomoc w przygotowaniach do matury z matematyki. No i ta chwila, gdy profesorowie Mrozek i Haglauer poprosili do tańca obie dziewczyny...

Wspominamy też śp. Profesor Paulette Jagodzińską, spotkania z Nią po maturze, nasze marzenia o Paryżu i podręcznik tę tęsknotę podsycający *Un jour j'irai à Paris* – czyli „Pewnego dnia pojedę do Paryża”...

Rozmowa schodzi na 50-lecie matury i na książkę *My z „Marcinka”*. Czy uda nam się zebrać materiały? Żałujemy, że nie ma na spotkaniu Macieja, chcielibyśmy go poprosić, żeby napisał wspomnienie o swojej śp. Mamie, Profesor Warszawskiej, która również uczyła nas francuskiego...

Po trzech dniach od spotkania dotarła do nas wiadomość, że Maciej zmarł 27 grudnia 2022 r.

Mój „Marcinek”

Do „Marcinka” trafiłem w znacznej mierze pod wpływem sporej grupy (łącznie ze mną pięć osób) Koleżanek i Kolegów – z bardzo dobrej, działającej wtedy przy ul. Widnej Szkoły Podstawowej nr 27 – którzy postanowili (wszyscy z sukcesem) ubiegać się o przyjęcie do tego prestiżowego liceum. „Marcinek” – pomijając wspomnienia związane bezpośrednio z koleżeńskim gronem – kojarzy mi się między innymi z Klubem UNESCO, którym wtedy opiekowała się Profesor Zofia Lewicka. Dawał on możliwość spotkania i rozmowy z ludźmi, którzy mieli okazję „bywania w świecie”. W dość szaro-burej rzeczywistości PRL, aczkolwiek i tak po grudniu 1970 roku trochę bardziej „kolorowej” niż wcześniej, bo wkraczaliśmy do „Marcinka”, gdy jeszcze „panował” Władysław Gomułka, ale większość czasu przypadła na okres tak zwanego „cudu” z pierwszych lat rządów Edwarda Gierka.

„Marcinek” to także Kółko Teatralne, którym wtedy opiekowała się aktorka, między innymi Teatru Polskiego w Poznaniu, Irena Osuchowska-Jasińska. Niejako z urzędu osoby zaangażowane w działalność Kółka Teatralnego uczestniczyły we wszystkich akademiach i innych uroczystościach „ku czci”, tudzież reprezentowały „Marcinka” w ramach występów na zewnątrz szkoły. Zapamiętałem takie występy w Parku Wilsona (wtedy Kasprzaka) w stojącej tam muszli koncertowej. Zarówno w szkole, jak i poza nią często łączono występy recytatorskie z oprawą muzyczną orkiestry i chóru, które także działały w Szkole.

I wreszcie „Marcinek” to obozy francusko-polskie organizowane w okresie letnim w Gnieźnie. Atrakcją było uczestnictwo w nich grupy naszych równolatków z Francji oraz towarzyszących im francuskich opiekunów.

Okres mojego/naszego pobytu w „Marcinku” przypadł na czas zamknięcia pewnej epoki. W 1972 r. zakończył pracę wieloletni dyrektor Ludwik Graja. Miałem wielki zaszczyt, jako ówczesny przewodniczący samorządu szkolnego, wygłosić przemówienie, w którym

w imieniu uczniów żegnałem dyrektora Graję i dziękowałem Mu za wszystko, co zrobił dla szkoły i dla nas. To naturalne, że zmiany personalne się dokonują, ale niektóre są po prostu zmianami osób, a inne zmianami o znacznie większym znaczeniu. Wraz z dyrektorem Grają definitywnie odchodził do przeszłości „Marcinek” jako szkoła niekoedukacyjna. Formalnie zmiana ta dokonała się kilka lat wcześniej, ale wśród grona pedagogicznego raz po raz dawał o sobie znać sentyment do czasów, gdy dziewczęta miały „swoją” szkołę w postaci zlokalizowanego niedaleko liceum nr 2, a „Marcinek” był tylko dla chłopców. Ale kwestia koedukacyjności miała znacznie mniejsze znaczenie niż to, że dyrektor Graja był wyrazicielem i obrońcą pewnej wizji „Marcinka” jako szkoły w dobrym tego słowa znaczeniu elitarnej. Czasem obrona tej elitarności przyjmowała postać pamiętanych do dziś i wspominanych w formie anegdot uwag na temat zachowań czy wyglądu (na przykład kwestia męskich fryzur) niektórych „wychowanków” i związanych z tym „propozycji” poszukania dla siebie innego miejsca. Dopiero z perspektywy czasu widać, że była to wizja edukacji mającej na celu nie tylko przekazywanie wiedzy, ale przede wszystkim kształtowanie czy też formowanie młodych ludzi jako przyszłych obywateli. „Marcinek” był miejscem służącym budowie tego, co w ówczesnych realiach PRL mogło wydawać się zbędne (a na pewno tak to postrzegała ówczesna władza), czyli społeczeństwa obywatelskiego. Już wkrótce, bo zarówno w trudnym okresie lat 80. XX wieku, jak i po rozpoczęciu transformacji ustrojowej okazało się, że wiele osób z grona absolwentek i absolwentów „Marcinka” grało i nadal odgrywa istotną rolę w życiu społecznym i gospodarczym, a fundamenty tej aktywności, czasem w sposób nie do końca przez nas uświadamiany, powstały w znacznej mierze w okresie spędzonym w „Marcinku”.

Rok odejścia dyrektora Grai był dla mnie i pozostałych maturzystów rocznika 1973 przede wszystkim początkiem okresu przygotowań do matury i konkretyzowania planów na przyszłość dotyczących miejsca studiowania. W tamtych czasach, gdy niewielka część młodzieży miała okazję kontynuować edukację do poziomu szkoły wyższej włącznie, „my z Marcinka” prawie wszyscy staraliśmy się na te studia trafić i w większości wypadków swój cel osiągnęliśmy. Moja deklaracja

zamiaru ubiegania się o przyjęcie na uczelnię zmieniającą wtedy nazwę z Wyższej Szkoły Ekonomicznej na Akademię Ekonomiczną (dziś Uniwersytet Ekonomiczny) w Poznaniu była zaskoczeniem dla części moich nauczycieli. Zwłaszcza słynna Zocha, czyli Profesor Zofia Załęska nie ukrywała swego zdziwienia, bo kojarząc mnie z występów recytatorskich, a zarazem nie považając mojej znajomości uczonej przez Nią matematyki uważała, że powinienem myśleć o karierze aktorskiej. Matura zdawana w pięknej auli była wielkim przeżyciem. Zdaliśmy ją lepiej lub gorzej, niż się spodziewaliśmy, ale to, co zawsze będę pamiętał, to wielka życzliwość naszych nauczycieli, którzy starali się dostrzec w nas przede wszystkim to, co dobre, a nie nasze słabości.

Wspomina **SABINA SKRZYPCZAK (FULL)**

Liceum kojarzy mi się z czasem moich wysiłków, aby zdążyć odrobić zadania domowe i nie dać się zaskoczyć klasówką. Wielką ulgą było to, że Wallisowa starała się organizować nam wycieczki poza miasto, co zresztą w niewielkim gronie sami skutecznialiśmy w ostatnich klasach „Marcinka”. Po prostu w niedzielę wsiadało się w podmiejski pociąg, aby potem wysiąść na jakiejś stacji przy lesie. Wtedy jakoś udawało mi się odprężyć i na chwilę zapomnieć o tych stertach zeszytów czekających w domu. Podobały mi się śpiewy przy ognisku inaugurowane przez Wallisową, a zwłaszcza w Jej interpretacji: *Czerwony pas, za pasem broń*; potem nauczyłam się od Paulette piosenki: *W towarzystwie weteranów*. Były to stare piosenki z czasów ich harcerstwa lub obozów studenckich. To wspólne śpiewanie i poznawanie piosenek z lat przedwojennych, jak również licznych piosenek poznanych na lekcjach francuskiego zachęciło mnie do nauki gry na gitarze, a dokładnie do nauki chwytów gitarowych na użytek akompaniowania naszej małej grupy koleżanek, niemającej zahamowań względem śpiewania. Z tego, co pamiętam do moich wysiłków wokально-instrumentalnych najchętniej przyłączała się Lucyna ze swoim silnym i czystym mezzosopranem. Oczywiście bardzo ceniłam jej pełne zaangażowanie, nie mówiąc o tym, że właśnie wśród grotolażów – w kręgach których Lucyna się obracała – krążyły zupełnie nieznane mi piosenki

rajdowe, nierzadko z tekstem niecenzuralnym, które szybko znalazły się i w moim repertuarze. Były śpiewane głównie przez „chłopców z Wrocławia” (czyli braci grotołazów), którzy przejazdem odwiedzali gościnne mieszkanie Lucyny przy Grunwaldzkiej 88, gdzie mnie też nie brakowało, m.in. z racji słuchania Beethovena z płyt długogrających, a na pewno z racji nieodrobionych zadań z matematyki. Właśnie „chłopcy z Wrocławia” wprowadzili mnie (nas) w repertuar Jana Kaczmarka z wrocławskiej „Elity”: *Czego się boisz głupia...* i tym podobnych młodzieżowych szlagierów. Pamiętam, że od Lucyny albo jej doborowych jaskiniowców nauczyłam się też piosenki zaczynającej się od słów: *O alkoholu, przeczysta wódka...* Każda ze zwrotek parodiowała różne języki europejskie: włoski, francuski, angielski, niemiecki i rosyjski. Końcowa zwrotka była znów po polsku i zaczynała się od słów: *Wszystkie bimbrownie dziś w gruzach leżą.*

Poza tymi niecenzuralnymi piosenkami, którymi nie można było popisywać się w towarzystwie „ciał pedagogicznych”, Lucyna chętnie śpiewała np. *Gdybym miał gitarę czy Obozowe tango* i mnóstwo, mnóstwo innych.

Tak przebiegała moja edukacja para-muzyczna, dzięki której chętnie udzielałam się na wszelkiego rodzaju ogniskach i wycieczkach.

Wspomina ANDRZEJ SZLĘZAK

Po maturze postanowiłem zostać anglistą. We wczesnych latach 70. („wczesny Gierek”) rozpoczął się proces otwierania się Polski na świat, oczywiście tylko na tyle, na ile pozwalał panujący wówczas system polityczny. Niemniej język angielski – jako instrument niezbędny, by ów kontakt nawiązać – stał się modny, wobec czego studia anglistyczne wydawały się dobrym wyborem na przyszłość.

Lata studiów filologicznych wspominam jako „łatwe, lekkie i przyjemne”, bez nadmiernych obciążeń akademickich, za to z intensywnym kontaktem z dobrze już wówczas rozwiniętą kulturą studencką („Teatr Ósmego Dnia”, kluby studenckie jako jedyne miejsca, gdzie można było posłuchać jazzu itd.). Pracowałem w tamtych latach właśnie w klubach studenckich (głównie w „Akumulatorach”, trochę

w „Aspiryncę”), więcej czasu marnując, niż budując swoją przyszłość. Refleksja na temat potrzeby wypracowania sobie jakiegoś miejsca w życiu przyszła później, gdy wiadomo już było, że bycie anglistą to mniej więcej tyle, co bycie nauczycielem w szkole. Piękny zawód, ale w tamtych latach zupełnie niekonkurencyjny wobec możliwości uczenia angielskiego prywatnie (dziś powiedzielibyśmy: w „szarej strefie”), z wielokrotnie wyższymi zarobkami.

Żeby więc odsunąć nieco wyjście ze świata studenckiego i wejście w dorosłość, postanowiłem rozpocząć kolejne studia. Tym razem padło na prawnicze, bo najbardziej uniwersalne i dostępne bez egzaminu wstępnego, w ramach tej samej uczelni.

Tam zaś spotkałem przyszłych Mistrzów (profesorowie Ziemiński i Radwański), a oni z kolei pokazali mi drogę, którą podążam do dziś. Najpierw drogę tę pokonywałem jako akademik, z habilitacją „przed czterdziestką”, a potem jako praktyk, gdy zmiana ustroju w 1989 r. wywołała nagle zapotrzebowanie na „prawników z angielskim”. Tych zaś wtedy wielu wcale nie było – dla prawnika „naturalnym” językiem obcym był francuski czy niemiecki, bo z tych właśnie kręgów kulturowych czerpała polska, pochodząca jeszcze z międzywojnia tradycja prawnicza, szczęśliwie niewiele zniekształcona (gdy chodzi o prawo cywilne) przez czasy realnego socjalizmu. Do dziś zresztą „gomułkowski” – bo z 1964 r. – Kodeks cywilny dość dobrze sobie radzi z potrzebami współczesności, choć potrzeba zmian jest coraz bardziej nieunikniona.

Działalność akademicką godzę do dziś z praktyką prawniczą. Jestem profesorem Uniwersytetu SWPS w Warszawie, a zarazem działam w ramach kancelarii „Sołtysiński, Kawecki & Szlęzak” (obecnie: ponad 160 prawników). Jest to kancelaria genetycznie „poznańska”, bo Profesor Sołtysiński i ja wywodzimy się z Instytutu Prawa Cywilnego UAM, a wielu spośród dzisiejszych partnerów kancelarii jest absolwentami UAM oraz „Marcinka” (wystarczy wspomnieć Mikołaja Sowińskiego, syna Barnaby, Zbyszka Wiznera czy Sławomira Łuczaka).

Ilekrót jestem w Poznaniu i mijam „Marcinka”, nieodmiennie odczuwam pewność, że mniej byłoby tego dobrego, co mnie w życiu spotkało, gdyby nie „Marcinek” właśnie – mimo czasów, w których przyszło nam się tam uczyć albo inaczej – wbrew tamtym czasom.

O dwóch naszych profesorach

Profesor Antoni Grochowalski

Kochał muzykę, czego dowodem są jego losy: karierę zawodową kończył jako profesor Akademii Muzycznej w Poznaniu. Wcześniej był w „Marcinku” nauczycielem wychowania muzycznego, ale też prowadził chór szkolny i niewielką orkiestrę smyczkową, której byłem niezbyt udolnym członkiem (lepiej wychodziło mi granie – a raczej improwizowanie – hymnu na różnych licealnych „oficjalkach”; może ktoś jeszcze pamięta). Profesor Grochowalski był mało wymagającym nauczycielem licealnym, ale też publiczność miał trudną: większość z nas była głucha na muzykę. Słynne zaś były jego sprawdziany (formalnie: z życiorysów sławnych kompozytorów) oceniane „na wagę” (im dłuższy tekst, tym lepsza ocena). Nieważne nawet, czego tekst dotyczył (bo Profesor sprawdzianów nie czytał). Należało wystrzegać się tylko oddawania kartek z wzorami matematycznymi, bo wtedy już na pierwszy rzut oka było widać, że praca jest nie na temat. Natomiast zapiski z geografii, języka polskiego czy notatki z historii przechodziły gładko. Młodzież lubił, mimo że niekoniecznie zawsze zasługiwaliśmy na Jego sympatię. Kiedyś wstawiliśmy mu samochód (bodaj Syrenkę) „na styk” pomiędzy dwa rachityczne drzewka rosnące przed pawilonem, w którym prowadził lekcje (budynek na tyłach głównego gmachu). Nie mógł wyjechać, a akurat się spieszyl. Zapadło mi to w pamięć. Dziś wstyd, bo głupi żart, ale wtedy...

Profesor Maurycy Skoczowski

Był taki przedmiot – przysposobienie obronne. Nauczyciela zapamiętałem z powodu jego nieortodoksyjnego podejścia do treści dydaktycznych. Owszem, nauczył nas (do dziś umiem) bandażować dłoni „w jodełkę”. Ale zapamiętałem Jego też z innych ćwiczeń praktycznych, zwłaszcza zaś z „wyciągania rannych z zagruzowanego budynku”. Stoły ustawialiśmy wówczas w nieładzie i jeden na drugim, a pod takim „gruzowiskiem” ulokowany był „ranny” – nasz kolega słusznych gabarytów. Zada-

nie polegało na tym, by tego kolegę wyciągnąć bez naruszenia misternej konstrukcji z ławek. Oczywiście kolega nie współpracował, a konstrukcja bywała naruszana. Dziś by nie przeszło (bez prokuratora w tle).

Wspomina **Hanna Wolny (Wolny-Delavoie)**

Dlaczego Francja?

Po ukończeniu studiów – jako że moi rodzice nie należeli do PZPR i nie mieli tzw. chodów – udałam się, jak szeregowy Kowalski, do urzędu zatrudnienia. Siedziała tam przysadzista i już na pierwszy rzut oka niezadowolona z życia podstarzała „urzędolniczka” w szarym kostiumie z takiegoż koloru wąsem. Zmierzyła mnie od stóp do głów i po krótkim grzebaniu w papierach szczerze zaproponowała pracę nauczycielki rosyjskiego w szkole podstawowej na peryferiach Poznania. Na moją nieśmiałą uwagę, że właśnie skończyłam romanistykę i to z niezłym wynikiem, dorzuciła sucho: A co to za różnica? Przecież to wszystko języki obce? Nie było to moje pierwsze zderzenie z „systemem”, ale wtedy właśnie czara goryczy się przelała. Pragnienie zmiany klimatu stało się koniecznością życiową. Oczywiście w Paryżu było na początku i chłodno, i głodno, póki nie udało się uzyskać pozwolenia na legalną pracę. Zamieszkałyśmy z Basią Sobierajską (z klasy D, potem razem studiowałyśmy) w małym dwupokojowym mieszkanku. Studiowałam teatrologię i chwyciłam się różnych zajęć: roznosiłam ulotki po kafejkach, pozowałam do zdjęć fotografowi ze Szczecina, byłam tłumaczką freelancerką dla francuskich przedsiębiorstw prowadzących handel z Polską. Bywałam modelką na Salonie prêt-à-porter za 1000 franków dziennie i sprzątałam u bogaczy w ekskluzywnej dzielnicy za 10 franków za godzinę.

Gdy nastał trend informatyczny, zaczęłam wszystko od podstaw. Musiałam zdać matematykę na poziomie maturalnym, ale po francusku, choć zupełnie nie znałam tego słownictwa. I tu muszę wspomnieć Profesor Zofię Załęską, czyli Zochę, postać niezwykle barwną, która dawno temu uczyła również moich rodziców. Po latach cała ta wiedza wróciła, jakby to było wczoraj.

Nie mogę nie wspomnieć Profesor Paulette Jagodzińskiej, która odwiedziła mnie w Paryżu. Dużo jej zawdzięczam. Przed pójściem do „Marcinka” nienawidziłam francuskiego, którego naukę zaczęłam na prywatnych lekcjach już wcześniej. Języka co prawda pięknie brzmiącego, ale o wyjątkowo skomplikowanej gramatyce. Paulette Jagodzińska pomogła nam pokochać ten język i mimo jego zawiłości opanować go na tyle, że mogliśmy uczestniczyć w obozach francuskich z rówieśnikami z Francji, a mnie później skończyć romanistykę i osiedlić się we Francji bez bariery językowej. Dwujęzyczność przydała się i w pracy, gdy z ramienia firmy objęłam dyrekcję biura reprezentacyjnego w Warszawie w okresie sporu między ówczesnym polskim rządem a naszym konsorcjum w sprawie inwestycji w operatora telefonii komórkowej Centertel.

Wszystkie te różnorodne doświadczenia mają korzenie w młodości, w kluczowym „Marcinkowym” okresie. Nasza wychowawczyni, Profesor Wallis, zwana Walizą, już na początku pierwszej klasy zabrała nas na jednodniową włóczęgę, potem również na wykopki. To z „Marcinka” wyniosłam otwartość na szeroko pojęty świat. Chęć samodzielnego pogłębiania wiedzy, odkrywania nowych horyzontów. Duch „Marcinka” zezwalał nam na coś, co w PRL-owskich kagańcowych czasach było niezwykle cenne – na samodzielne myślenie. Przy wszechobecnej propagandzie i braku wolnych mediów wyjście – nawet chwilowe i bardzo dyskretne – ze znormalizowanego sposobu postrzegania rzeczywistości było dla nas powiewem swobody i wolności. Pamiętam tu szczególnie Profesor Zofię Lewicką, której lekcje języka polskiego z ich otwarciem na poszczególne etapy literatury światowej od średniowiecza począwszy, na cywilizacyjny rozwój myśli ludzkiej, były prawdziwym oknem na świat. Te młodzieńcze lata, lata buntu wobec autorytetu rodzicielskiego, naznaczone były pewnym „Marcinkowym” rygiorem. Przeciwno któremu oczywiście byliśmy w opozycji, ale był on nam w tamtym czasie potrzebny i sprawił, że wielu z nas nie tylko nie zeszło na manowce, ale i wyrosło na wartościowych ludzi.

I za to „Marcinkowi” jestem dozgonnie wdzięczna.

Małżeństwo z klasowym rodowodem

Naszą wspólną historię zaczęliśmy pisać od balu maturalnego w Adrii, w 1973 r. Grażyna Błaszkwicz – pierwsza na liście obecności w dzienniku klasy F i ja (Michu) – ostatni. I trochę przypadkowo wspólny stolik na balu maturalnym. Grażka rozpoczęła studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej, a ja studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Poznańskiej. W 1977 r. były oficjalne zażęczy w Helsingerze (mieście Hamleta) i ślub. Po studiach i moim zaliczeniu SOR zamieszkaliśmy w Ostrowie Wielkopolskim. Mamy dwoje dzieci – Marysię i Michała.

Dziesięć pierwszych lat pracowałem w Zakładzie Doświadczalnym przy Zakładach Automatyki Przemysłowej, zdobywając doświadczenie zawodowe na wielkich budowach socjalizmu PRL-u i krajów RWPG. Od 1989 r. do dzisiaj prowadzę własną firmę, świadcząc usługi w branży IT. Grażyna pracowała jako pediatra w Kolejowym Szpitalu Dziecięcym i na oddziale pediatrycznym Szpitala Powiatowego w Ostrowie Wlkp., a później jako kardiolog dziecięcy w prywatnej przychodni. Łączyła nas wspólna pasja do jazzu, wina i karawaniingu – ulubione miejsca to Alpy i Portugalia (kontynentalna oraz wyspy). Nasza wspólna historia trwała 47 lat – Grażyna odeszła 26 czerwca 2020 r.

Jak każdy z nas, mam piękne wspomnienia z „Marcinka” (niedobrych nie było lub wyparowały), obrazy i historie pozostające w pamięci do końca życia. Na przykład pochód wojsk Hannibala na słońcach przez Alpy, zaprezentowany w niepowtarzalny sposób przez Profesor Marię Mąkównę albo mecze Górnika Zabrze z AS Roma na lekcjach wychowania muzycznego z Profesorem Grochowalskim. Pamiętam sprawdzanie zamocowania tarcz z numerem szkoły i długości włosów (u chłopaków) na lekcjach Profesor Zofii Załęskiej i oczywiście rajdy z naszą wychowawczynią Profesor Marią Wallis.

Klasa G

Wychowawcy:

ANTONI MROZEK (I klasa),

HENRYK KRZYŻANOWSKI (GACEK) (II-IV klasy)

Uczniowie

Urszula Andrzejewska (Klemt)	Maria Kałmuczak (Nikończuk)
Mariorita Baszyńska (Gnatowska)	Norbert Kaźmierczak [‡]
Maria Chojnacka (Habasińska)	Roman Kędziora
Elżbieta Chwirot [‡]	Piotr Kościński
Michał Cizak	Dorota Krysztofowicz (Adamczak)
Leszek Duchowski	Krystyna Kubiak
Zbyszko Dziecioł [‡]	Wiesława Kufel (Pacholczyk)
Piotr Gieryn	Janusz Kujawiński
Michał Grabski	Małgorzata Lehmann
Andrzej Hałas	Arkadiusz Maćkowiak
Anna Hołyńska (Pawlak)	Krzysztof Madelski
Elżbieta Hunek (Kowalska)	Andrzej Maj
Andrzej Jankowski	Maria Musielak
Krzysztof Jankowski	Zofia Pawołek (Przybylska)
Jarosław Marcin Januszkiewicz	Bogdan Perzyński
Liliana Jowiec (Madelska)	Elżbieta Reszelska (Wajda)

Klasa G

Marek Rybczyński

Bartłomiej Sierakowski

Michał Sobczak[‡]

Dorota Szocińska (Cywińska)

Elżbieta Szocińska (Charmier-
-Ciemińska)

Anna Tatarska[‡] (Morzy)

Lucyna Tatarska (Kierzek)

Urszula Wiącek (Łukuć)

Hanna Wroniak

Ewa Ziarkowska (Rosińska)

Ten spis obejmuje wszystkich uczniów naszej klasy. Nie wszyscy byli z nami przez wszystkie lata nauki.



Portret profesora Henryka Krzyżanowskiego
namalowany przez Bogdana Perzyńskiego (Bodzia) dla Kroniki klasy G



Choć na czarno-białych fotografiach...



wyglądaliśmy dojrzałe...



w naszej szkolnej codzienności...



Profesor Maria Wallis-Stiasny
podczas lekcji chemii



Profesor Elżbieta Nowaczyk-Schwermer podczas lekcji fizyki



Profesorowie Urszula Sztwiertnia-Pic i Henryk Krzyżanowski podczas lekcji języka polskiego



Profesor Henryk Krzyżanowski podczas lekcji języka francuskiego



Na boisku bywało...





dość rozrywkowo





W dniu zakończenia II klasy humory na pewno nam dopisywały...





tak jak podczas rajdu
w 1970 r.





Z sentymentem wspominamy rajd do Sierakowa „Naprzeciw latu” (1971 r.)



Wspominają LILIANA JOWIEC (MADELSKA)
oraz ELŻBIETA (EŚKA) RESZELSKA (WAJDA),
na podstawie wspomnień wspólnych oraz Kroniki klasy G

Pierwsza G, czytane *gie*

Rodziliśmy się dziewięć lat po wojnie. To jeszcze były czasy, kiedy po szkole był obiad, a potem podwórko. Do podstawówki chodziły dzieciaki z sąsiednich ulic, wszyscy się znali. Po piwnicach biegało się z patykiem i strzelało do wroga. Oczywiście do *niemca*. Do *ruskich* jakoś nikt nie strzelał, nie było ich w naszych zabawach. O wielu rzeczach się nie rozmawiało, taki był świat.

Pamiętacie pierwszy dzień w „Marcinku”? Najpierw duma z przyjęcia do TEJ szkoły, ciekawość, jak tam będzie, nadzieja na wielkie przyjaźnie. A pierwsze wrażenie po wejściu do nowej klasy? Makabra! Prawie sami obcy, mało kumpli z sąsiedniej ulicy. Sala na parterze, słoneczny dzień, a my tak pomiędzy Dudą-Graczem a Mleczką. Byliśmy nastoletni, niedomyci, pryszczaci i okrutni.

Wrażenie dziwaczności wzmocniło dodatkowo pierwsze spotkanie z Mrozkim, który uczył nas wuefu. Do klasy wchodzi wysoki, prężny facet i wita nas mniej więcej tak: „W tym roku wielu kandydatów do naszej szkoły bardzo dobrze zdało egzaminy. Lepiej, niż to było przewidziane... Planowanych było sześć klas, od A do F. Te klasy zapełniły się szybko, no i potem została taka zbieranina. Nie wiedzieliśmy, co z Wami zrobić, to się zrobiło dodatkową klasę Gie, czyli to

wy, no taaaak... a mnie dali wychowawstwo. Zobaczymy, co z tego będzie, ha ha ha...”.

Ewa była piękna. Miała długie czarne włosy, gęste czarne brwi i ciemną cerę. Wysoka, postawna, mogła grać Carmen bez charakteryzacji. Na rajdzie klasowym stanęła za bramkarzem i zaczęła tańczyć, robiąc striptiz. Oczywiście udało jej się rozproszyć wiejską drużynę piłki nożnej i nasi chłopcy wygrali mecz. W każdym razie tak to pamiętamy. Dotarło wtedy do nas, ile w Ewie humoru i radości życia. Od pierwszej klasy wyglądała jak młoda kobieta, my przy niej byliśmy dziećmi, onieśmiała nas. Wystarczyło, aby trzymać dystans.

Kto był wesoły, był traktowany jak śmieszny. **Cysiu** się kłania. Wszyscy widzieliśmy pęknięte spodnie, w których kiedyś przyszedł do szkoły. Z tyłu, na pupie, dziura. Pod spodem białe majtki. Śmiałyśmy się, a on razem z nami. Poszedł do domu, zmienił spodnie i wrócił. Pokazać wam, jak to się stało? – pyta. No i stanął na środku tych wielkich szkolnych schodów i się pochylił, pamiętacie? Między parterem a pierwszym piętrem. Wtedy te drugie spodnie też mu pękły. Cysiu – niewysoki, nieszczupły, rumiane, okrągłe policzki – śmieje się razem z nami. Nikt tego dnia więcej mu nie dokuczał. Zaimponował nam dystansem do siebie. Jak ja go wtedy podziwiałam, jak mu zazdrościłam poczucia humoru! Do dzisiaj, kiedy znajdę się w głupiej sytuacji, najchętniej reaguję śmiechem. Cysiu, dzięki ci za ten trick! Podobno chorujesz. Trudno uwierzyć, przecież zawsze byłeś uśmiechnięty. Nawet nie wiem, jakbyś wyglądał bez uśmiechu.

Cysiu, Eśka – to od imion, ale oczywiście były też przezwiska. To Eśka zaczęła mówić **Buba** na Marka, ale czy Puchacz Buba to coś złego? A że mówiąc Buba, ciągle się chichrałyśmy i Markowi mogło się wydawać, że się z niego śmiejemy. Przecież nie miałyśmy złych intencji. Marek, wiedziałeś, że to było uznanie? Bo miałeś fajne pomysły i potrafiłeś zaskoczyć, na przykład czerwoną podszewką w marynarce, pamiętasz?

Na Andrzeja mówiliśmy **Andrzejek**. Czemu? Bo był wysoki, szczupły, delikatny, miał bladą twarz i się rumienił. Nikt mu nie powiedział, że ma piękne, szczupłe dłonie artysty, ale że był dla nas chuchrem, to musiał wiedzieć. Na matematyce zakładał na głowę dziwną szlafmycę, żeby mu Zocha włosów nie obcięła. Zamiast pokazać, że nam to imponuje, śmialiśmy się z tej szlafmycy.

Ze mnie (Liliany) też się śmiano. Szczególnie, jak chciałam coś zorganizować i rwałam się do przodu z wyciągniętą ręką, mówiąc z wielkim przejęciem: A ja mam taką propozycję... Do tego byłam zakompleksiona, dziwnie ubrana, z Junikowa, i strasznie mi zależało na akceptacji. Co się dziwić, że to na mnie spadały najgłupsze przewiska.

Anka była świetna w sporcie, ale mieszkała poza Poznaniem. Choć nie z Junikowa, to jednak – myśleliśmy – ze wsi. Wystarczyło, żeby tworzyć dystans. Zaprosiła nas kiedyś do domu, a tam, na przedmieściach Tarnowa Podgórnego, stoi willa z oknem z luksferów na dwa piętra, piękny ogród, miła rodzina. Czy ktoś wspomniał, że bardzo nam się tam podobało? Że przyjęto nas serdecznie? Anka jako jedna z pierwszych mówiła, że ma chłopaka (Tadek z sąsiedniej klasy), chyba jako pierwsza z nas miała dziecko. Była przebojowa, energiczna, pogodna. Odeszła jako jedna z pierwszych. Do dziś nie wierzę, że nie żyje ktoś tak wyraziście, ciepło obecny w naszej młodości.

Krzysztof i **Michał** siedzieli na końcu, w rzędzie pod ścianą. Jeśli w ogóle się odzywali, to raczej do siebie, w milczeniu też palili papierosy. Głównie w Hadesie, czyli w piwnicznej toalecie naprzeciwko stołówki, do której tylko palacze mieli wstęp. Zawsze ktoś stał na korytarzu i pilnował, żeby nikt z nauczycieli przypadkowo tam nie trafił. Stołówka pachniała jak stołówka, Hades jak szkolna toaleta, naloty były więc rzadko. Krzys był dobrym uczniem i zawsze pozwalał Michałowi ściągać. Łaziłam tam za nimi bez zaproszenia, paliłam tylko po to, by być bliżej Krzysia. Opłaciło się – dzięki temu dziwaczne nazwisko Jowiec wymieniłam na Madelska. Przyjaźnimy się do dziś. Jesteśmy rodzicami Mateusza, jedyne klasowe dziecko.

Michał zorganizował rajd, na który pojechaliśmy wszyscy, razem z Gackiem. Spaliśmy pokodem w wiejskiej szkole, wygraliśmy mecz z miejscowymi chłopakami. **Bodziu** miał wielki płaszcz artysty z sentencją na kołnierzu „Tu mi dobrze, tu się rozmnożę“, a Michał śpiewał najbardziej świńskie piosenki, jakie w życiu słyszeliśmy. Michała już nie ma wśród nas, a Bodziu jest malarzem gdzieś w Ameryce.

Powszechny, jak powietrze, był strach przed nauczycielami. Tam oni – tu my. Dwóję z historii można było dostać na przykład za to, że ktoś się całował na przerwie.

„Każden uczeń, któren nie ma emblematu...” – krzyczała Zocha na matematyce. Sprawdzała, czy tarcze są dobrze przyszyte. Norbertowi wyrwała tarczę razem z kawałkiem materiału ze szkolnej bluzy. Przecież nie mogła pokazać, że coś zrobiła nie tak, więc dalej na niego wrzeszczała. I wtedy wstała **Marysia**, prymuska z warkoczykami do pasa, i nakrzyczała na Zochę. Zocha zamarła na chwilę, my też. Trzeba było „przewalutować” opinię o grzecznej Marysi, która miała prawie same piątki i zawsze odrabiała zadania domowe. Czy ktoś kiedykolwiek powiedział Marysi, jak nam wtedy zaimponowała? Bo że jest kujonem, to słyszała na pewno, a że bywa z nas wszystkich najodważniejsza – chyba nie.

Wielu z nas pamięta Profesor Załęską, czyli Zochę, surowość jej ocen, bezwzględność i małe dziwactwa. Jednym z nich było noszenie sandałów przez cały rok. Podobno podczas pieszej ucieczki przed bolszewikami (po rewolucji październikowej) odmroziła sobie nogi i w pełnych butach puchły jej stopy.

Leszek Duchowski wspomina: „Gdzieś pod koniec osiemdziesiątych lat ubiegłego stulecia stało się modne nienoszenie skarpetek przez mężczyzn. Absolutnym *faux pas* były sandały czy półbuty ze skarpetkami noszone do krótkich spodni. Oczywiście dostosowałem się do trendu. Poszedłem jednak dalej – sandały (naturalnie bez skarpetek) noszę od tego czasu przez cały rok, niezależnie od pogody i tempe-

ratury. Ot, takie moje prywatne dziwactwo. Nachodzi mnie dziś refleksja: na ile to zachowanie Profesor Załęskiej miało wpływ na mój sposób noszenia obuwia? A także ogólniej: w jakim stopniu szkoła kształtuje zachowania i charaktery swoich podopiecznych?”

Leszku, chyba dobrze, że zachowania niektórych nauczycieli były z naszej perspektywy tak absurdalne, iż odstraszały od propagowanych postaw. „Marcinek” miał opinię szkoły elitarnej, co nie było zgodne z obowiązującą linią partii, że się tak wyrażę. Za naszych czasów dyrektora Graję, który przez wiele lat rządził „Marcinkiem”, wymieniono na pana chwalonego się poparciem rządzącej partii. Kazał nam się uczyć na pamięć, w którym to roku (czyli „zaniedługo”) kraje socjalistyczne przegonią kraje kapitalistyczne pod każdym względem. Za wyrecytowanie takiego zdania do mikrofonu dostawało się piątkę. Pod warunkiem, że panu dyrektorowi udało się włączyć mikrofon, bo miał z tym kłopoty. Na pewno chciał być lubiany – opowiadał nam czasem o sobie, na przykład o tym, jak: „Ktoś mi głabnoł szwamke, jak miałem przed tablicom wisieć na haku marynarke...”

Zazwyczaj siedziałam z Eską w przedostatniej ławce pod oknem. Tylko na rosyjskim siedziałyśmy z przodu, oko w oko z nauczycielką, bo potrafiłyśmy ją zagadać i był spokój. Na pierwszą lekcję pani Profesor przyniosła rosyjską gazetę i objaśniła, że takie gazety będziemy dostawać co tydzień. Każdy powinien przeczytać jeden artykuł tygodniowo, a uczeń wezwany do tablicy będzie musiał opowiedzieć, o co chodziło w wybranym przez niego artykule. W pierwszej gazecie najkrótszy artykuł mieścił się na pierwszej stronie u góry i poświęcony był traktorzystce. Na kogo padło, ten recytował na środku klasy jedno zdanie o tym, że „Żeńszczina pałuczyła priz traktorista-maszynista”. Dostawało się piątkę. Następna pytana osoba mówiła mniej więcej to samo. I tak przez cały rok, każdy uczeń wzywany do tablicy streszczał swój artykuł o „żeńszczynie, co pałuczyła priz”. Pani Profesor nie miała wyjścia – musiała udawać, że wszystko pasuje, albo iść na wojnę z całą klasą. Wybrała pokój. Kiedyś zapowiedziała klasówkę, a Eśka uśmiechnęła się do niej i mówi:

– Ale pani profesor ma dziś piękny stanik... (rzeczywiście stanik przeświecał pod bluzką).

– Co, naprawdę podoba się? – zapytała zaróżowiona rusycystka, pokłósała nam wielkim biustem przed oczyma i zamiast klasówki zarządziła ciche czytanie rosyjskiej gazety. Każdy miał spokój.

Dla mnie najmilsza była Eśka. Nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek coś głupiego jej powiedział. Miała w twarzy coś dziecinnego i taka figlarność w spojrzeniu została jej do dzisiaj. Zbiera nasze adresy, telefony, maile, organizuje spotkania klasowe. Wiem, że jak zadzwonię o północy i powiem „przyjedź i pomóż”, to najpierw przyjedzie, a potem zapyta, co może zrobić. Niektóre osoby z klasy G spotykam regularnie, inne bardzo rzadko – w Poznaniu, na nartach czy w samolocie na drugi koniec świata – a mimo to mam wrażenie, że wiele nas łączy, że możemy na sobie polegać. Tak, jakby wyparowała cała głupota, a we wspomnieniach zostały dobre, ważne chwile. Fajnie spotkać Ewę i zobaczyć, że ktoś w naszym wieku jest ciągle tak młodzieńczy. Powspominać, jak Hania Wrótniak cierpliwie rozczesywała mi włosy w szpitalu kilka godzin po urodzinach Mateusza. Poczytać maile od Marcina, który pisze mi czasem miłe rzeczy – oj, a nie można było tak wcześniej zdradzić cienia sympatii, zamiast wymyślać mi głupie przezwiska? Przy okazji: Marcin, fajne książki piszesz...

Gacek był inny. Heniu, Tobie chyba naprawdę zależało, żeby nas czegoś nauczyć. Byłeś młody, nigdy przedtem nie prowadziłeś klasy jako wychowawca, bardzo się starałeś. Chodziłeś po sali, a zamiast mówić do nas, rozmawiałeś z nami. Miałeś ciekawe pytania, lekcje z Tobą nigdy nie były nudne, ale wówczas nikt by tego głośno nie powiedział. Bawiło nas, jak wyciągałeś usta w dziubek, demonstrując, że francuski „cel” – *but* nie brzmi jak polski „but”, że *neige* (śnieg) to nie „nesz”, że *jeune* (młody) to ani „żyn”, ani „žen”, tylko jeszcze coś innego. Te usta w dziubek, imponujące uszy i czarna czupryna szybko ściągnęły na Ciebie przezwisko Gacek. Śmiałyśmy się z Twojego zaangażowania, nikt nie chciał na lekcji ćwiczyć wymowy francu-

skich samogłosek. Chyba że w domu, przed lustrem, potajemnie – to co innego. Wielu z nas do dziś ceni to, że dzięki Tobie dobrze sobie radzimy z francuskim. Okazywałeś nam sympatię, ale nie wiem, czy nas lubiłeś. My, oczywiście, odwrotnie.

„Ja sportu żadnego nie..., ale wędrówka zawsze tak!”

Rozmowa z Profesorem Marią Wallis-Stiasny,
najstarszą „harcerką Marcinka”

Rozmawiała telefonicznie **Hanna Wolny-Delavoie** z klasy F

Hanna Wolny-Delavoie: Większość „Marcinkowych” profesorów miała przezwiska. Czy pani profesor zna swoje?

Maria Wallis-Stiasny: No znam parę przezwisk... hmm... hmm... (pełne zakłopotania milczenie). Słuchaj, dla niektórych, ale to z klas starszych, byłam Mamą, ale również od nazwiska używano, np. Walizka, a już tak bardzo nieprzyjemnie to Waliza. (śmiech).

H. W.-D.: No ale z tego można się dzisiaj pośmiać! Ja byłam Wolnizną, więc w sumie...

M. W.-S.: No można, ja się pewnie nie obrażę (śmiech).

H. W.-D.: A skąd ta „Mama”? Bo to jest interesujące...

M. W.-S.: Jak tutaj przyszedłam do „Marcinka”, prowadziłam obóz letni w Tatrach, a i przedtem były różne takie wypadki. I wiesz, jak chłopacy krzyczeli za mną: pani profesor, pani psor, pani psor... Diabli mnie brali, bo wiesz, jak to brzmi?! No i ja mówię: „Słuchajcie, po imieniu nie wypada...”, bo jakoś tak nie wypadało, żeby mnie po imieniu wołali.

Któryś wymyślił Mama. No to niech będzie Mama. I tak już zostało. Od tego obozu się zaczęło.

Ale ja ci zaraz coś powiem. Tak w ogóle takim moim przezwaniem zawsze było ME-LI-TA. Melita, bo na imię mam Maria. I tak zawsze byłam znana, w akademiku itd. Ale w „Marcinku” to się nie przyjęło. Barnaba na przykład wie, że ja jestem Melita. I starsza część nauczycieli z pierwszych lat „Marcinka” też wiedziała. A potem przez to, że przez 9 lat dyrektorowałam, to już było per Pani Dyrektor.

H. W.-D.: Jeszcze do tego wrócimy. Ale zacznijmy od początku. Jak to się stało, że „Marcinek”? Że chemia?

M. W.-S.: Ja właściwie byłam zainteresowana nie chemią, a biologią, na którą się nie dostałam. Formalnie z braku miejsc. Była możliwość zapisania się na listę rezerwową. Albo na chemię, albo na biologię. Mogłam wybrać. Ale że z tej listy rezerwowej łatwiej było przepisać się na studia chemiczne, więc zaryzykowałam i poszłam na chemię.

Skąd „Marcinek”? Pierwsze kroki stawiałam w mojej rodzimej szkole średniej – u Urszulanek przy Spornej. Tam dyrektorka szkoły, matka Bożena, wspaniale przekazała mi arkaną wiedzę, a zwłaszcza sposób prowadzenia części doświadczalnej, która najbardziej młodzież interesuje. Matka Bożena nauczyła mnie metodyki nauczania i bardzo dużo u niej skorzystałam. Przez 3 lata tam uczyłam. Potem, jako że zamknęli szkołę u Urszulanek, zaproponowano mi pracę w Technikum Budowlanym przy Rybakach. Tam przez 4 lata nauczalam młodzież, głównie męską. Potem dyrektor się zmienił. Przyszedł bardzo nieprzychylny człowiek (nazwiska nie będę podawała) z nadania partyjnego, który chciał zrobić w szkole porządk. Zrobiła się nieprzyjemna atmosfera. Dla mnie nie był „łaskawy”, można powiedzieć. Grupa nauczycieli zrezygnowała, w tym i ja. Była dość kłopotliwa sytuacja. Udało mi się dostać do „Marcinka”, choć o miejsce ubiegał się ktoś inny, po linii partyjnej. Zatrudniono mnie właściwie dzięki nauczycielce od matematyki – dosyć szanowanej w gronie. Ona przekonała dyrektora, że lepiej wziąć mnie, osobę z siedmioma latami praktyki, niż dziewczynę świeżo po studiach, bo taką miałam rywalkę z nadania partyjnego.

H. W.-D.: A który to był rok, ten pierwszy w „Marcinku”?

M. W.-S.: To był rok 1964. W tym czasie byłam też przez 5 lat na Uniwersytecie jako asystent, nie na asystenturze, tylko w Polskiej Akademii Nauk. Mogłam sobie pozwolić na tę asystenturę i pracę w szkole, bo nie miałam zajęć ze studentami. Dyrektor się zgodził, bym jednocześnie pracowała na uniwersytecie.

H. W.-D.: Czyli w „Marcinku” pracowała pani profesor od 1964 roku aż do emerytury. A emerytura kiedy?

M. W.-S.: Emerytura w 1991.

H. W.-D.: No to ładnych parę lat! Ile roczników przeszło przez ręce pani profesor?

M. W.-S.: Ojej, to trudno wyliczyć. To znaczy wiesz, wychowawstwo to były 3 klasy, czyli 12 lat. A w ilu klasach uczyłam, trudno mi powiedzieć. Na pierwszej maturze to byłam trochę tak jak świadek, bo uczyłam bardzo krótko. Ale już w 1965, po roku, była moja pierwsza matura jako odpytującej.

H. W.-D.: A jeśli chodzi o wychowawstwo? Pierwsza to była jeszcze klasa męska, a potem nasza?

M. W.-S.: Tak, wasza klasa była następna. Potem miałam 2 lata przerwy i ostatnią klasę z wychowawstwem. A potem przeszłam już do wieczorówki jako zastępca dyrektora.

H. W.-D.: Rozumiem, że te klasy, w których się miało wychowawstwo, są tymi najlepiej zapamiętanymi, bo z nimi było najwięcej bliskiego kontaktu.

M. W.-S.: Tak, ten kontakt jest najbliższy.

H. W.-D.: A która z tych klas jakoś najbardziej utkwiła w pamięci, dała się lepiej czy gorzej zapamiętać?

M. W.-S.: Najlepiej pamiętam te dwie pierwsze, to znaczy tę pierwszą męską i waszą klasę. Ta klasa ostatnia, to była biedna klasa, bardzo biedna. W jakim sensie? Zbieranina z całego Poznania, to po pierwsze.

I ona szła trybem półrocznym. To znaczy o pół roku później zaczynała. Wtedy minister oświaty wpadł na szatański pomysł, by dzieci, które nie miały promocji (a wtedy promocja była co pół roku), połączyć w jednej klasie. I ta klasa była zlepkiem z różnych szkół z Poznania. Do „Marcinka” przetrzucono młodzież, która nie zaliczyła pierwszego półrocza. To była tragiczna sytuacja. Po pierwsze, zbieranina niesamowita, przyjęta bez żadnych egzaminów. No i wtedy, za zgodą dyrekcji szkoły, przeprowadziłam tam pewną selekcję. Nawiązaliśmy współpracę z ośrodkiem badawczym, który udzielał pomocy trudnej młodzieży. Udostępniono nam psychologów, którzy przebadali i porobili – chyba 3 razy – testy rozpoznawcze, aby stwierdzić, kto się nadaje do ogólniaka, a kto nie. Po pół roku część tej młodzieży zrezygnowała, a potem też ciągle była pewna rotacja. W sumie z tej początkowej grupy 40 osób połowę doprowadziłam do matury.

H. W.-D.: Z nami nie było takich kłopotów? Z naszą klasą?

M. W.-S.: Nie, skądże! Przecież Wy byliście wybrani... Słuchaj, tamta klasa nie przechodziła żadnych egzaminów wstępnych. Byli nam narzuceni. W pewnym sensie narzuceni szkole. Trzeba było rozpoznać, skąd oni są, jaki mają potencjał. Część osób nie nadawała się w ogóle do liceum. W poprzednich szkołach już nie zdali, a co dopiero tutaj. Przecież „Marcinek” miał wtedy bardzo wysokie notowania. Był pierwszą ze szkół w Poznaniu, a dziesiątą w skali krajowej!

H. W.-D.: Co utkwilo pani profesor w pamięci z związku z naszą klasą?

M. W.-S.: Pierwsza rzecz to taka cicha rywalizacja między Wami a klasą równoległą prowadzoną przez panią Stoińską. I była to głównie rywalizacja, jeśli chodzi o wyniki. Czasami Wy mieliście lepsze wyniki, a czasami oni. Ja tej klasy nie uczyłam w ogóle, praktycznie jej nie znałam.

H. W.-D.: Czy to była klasa D?

M. W.-S.: Nie pamiętam. Prawdopodobnie tak, bo to też była klasa z rozszerzonym francuskim. A poza tym wiesz, wyście byli ogólnie

klasą bardzo inteligentną. No, o przeciętnej wyższej niż średnia, krótko mówiąc: na wysokim poziomie. W porównaniu z innymi klasami to na pewno tak. W innych klasach, które uczyłam po was, było gorzej. W klasie oczywiście były rozbieżności pomiędzy młodzieżą, ale chyba nikt nie czuł się gorszy czy lepszy.

H. W.-D.: Zawsze są jakieś rozbieżności. A propos tych ocen jeszcze... Był taki „tajemny kajecik”, który pani profesor miała pod ręką. Czy można coś o tym „tajemnym kajeciku”?

M. W.-S.: No tak, wiesz... He, he, wiesz... Głównie oceny tam miałam, ponieważ dziennik nie zawsze był pod ręką. Dziennik wędrował, bo grupy i tak dalej... Notatki tam sobie robiłam... Ale ja wszystkie te zeszyty potem pokasowałam. Z różnych powodów zostały zniszczone, tak że nie mam ani jednego z tych zeszytów.

H. W.-D.: Dzisiaj byłoby ciekawie to przeczytać, jakieś recenzje na temat każdego z nas...

M. W.-S.: Tam były raczej stopnie albo czy trzeba pomóc komuś czy coś takiego... Ale nigdy nie było, wiesz, jakichś uwag na temat zachowania czy coś... To już zupełnie nie wchodziło w rachubę.

H. W.-D.: W stylu: ma potencjał albo nie ma potencjału...

M. W.-S.: Nie, nie notowałam takich rzeczy, bo przede wszystkim to mogło być krzywdzące, gdyby kiedykolwiek wpadło w czyjekolwiek ręce. Tam głównie były oceny, które przepisywałam potem mozolnie do dziennika, jeśli dziennik wędrował, bo klasa była podzielona na grupy. Jedna grupa miała chemię, a druga inny przedmiot. Czasami, jak już ktoś mnie bardzo zdenerwował, coś sobie tam wpisałam, ale to bardzo rzadko (śmiech). Trudno było wyprowadzić mnie z równowagi! W '91 roku, gdy już byłam na emeryturze, poproszono mnie, żebym zastępowała przez krótki czas panią Halinę, chemiczkę, która pojechała do sanatorium. Ta klasa maturalna wyprowadziła mnie wtedy z równowagi.

H. W.-D.: Jak to się stało?

M. W.-S.: Powiedziałam sobie wówczas (uśmiech), że już do nauczania nie wrócę, bo po prostu nerwy mi wysiadły. Prawie byłaby z tego pyskówka, tak bym to określiła... Prowadziłam zajęcia dla tych, którzy szli na medycynę. Trochę poszerzoną biochemię. Wykłady z biochemii właściwie, czego w ogóle nie było w programie. Zachęcałam, żeby uczestniczyli wszyscy. Że przyda się każdemu, czy idzie na chemię, czy na biologię, czy na medycynę. A ponieważ cały materiał był przerobiony, zrobiłam taki kurs biochemii. I jeden facet – nawet nie pamiętam nazwiska, twarzy też nie pamiętam – młody człowiek wstał i pyta, czy on musi chodzić. – Nie musisz, ale jest wskazane. – Bo ja nie idę... – Słuchaj, mówisz, że nie idziesz, ale ja znam takie przypadki, że ktoś się zarzekał, że na chemię nie pójdzie i z chemią nie chce nic mieć do czynienia, a potem okazywało się, że z jakichś powodów trafiał na farmację na przykład, gdzie chemia jest potrzebna. Klasa zaczęła się śmiać, a ten się zaczął stawiać. W pewnym momencie zreфлектоваłam się, pomyślałam, że to nie jest partner do dyskusji dla mnie. Powiedziałam: – Słuchaj, wiesz co, skończmy z tym! A ten zaczął na mnie, no dosyć tak, z takim tupetem odezwał się... Wzięłam dziennik pod pachę i wyszłam z klasy. I powiedziałam sobie, że nigdy więcej... I rzeczywiście już więcej nie miałam zajęć. Po prostu puściły mi nerwy...

H. W.-D.: A nasze lekcje wychowawcze? Jakie wspomnienia ma pani profesor z tych lekcji?

M. W.-S.: Wiesz co? Te lekcje wychowawcze mi nie wychodziły... Moim zdaniem jakoś to nie było to, co bym chciała... Przede wszystkim pamiętaj o jednym: trzeba było wiele rzeczy przemilczeć. Bo nigdy nie było wiadomo, kto, co i jak... Wdawać się w rozmowy takie, które by były dobre dla jednej i drugiej strony, było czasami niedopuszczalne i niemożliwe do przeprowadzenia. Stąd te lekcje były płaskie, moim zdaniem, bardzo płaskie! Nie takie, jakbym chciała... Nie było rozmów, dyskusji, wolności mówienia... Nie chciałam narażać ani siebie, ani was.

H. W.-D.: Rozumiem, takie czasy były...

M. W.-S.: No takie były czasy! Ja, słuchaj, wiem, jak wygląda od wewnątrz pewien budynek na Jeżycach, budynek UB, czyli Urzędu Bezpieczeństwa. Znałam go dosyć dobrze. Działałam w duszpasterstwie akademickim prowadzonym przez oo. dominikanów. W okresie, o którym mówię, Twoja mama już nie brała udziału w spotkaniach [Profesor Wallis jest młodsza od mamy o 10 lat; w 2022 roku skończyła 90 lat, a mama lat 100 – przyp. H. W.-D.]. Całe duszpasterstwo akademickie zostało rozpirzone i parę osób sobie posiedziało. Byłam przesłuchiwana, a potem przez rok miałam stałą inwigilację. Anioła stróża, który od czasu do czasu umawiał się ze mną na „randki”. Przy czym te „randki” były kilka razy w jakiejś kawiarni, a czasem w jakimś domu prywatnym. On zastrzegął, że to mieszkanie służbowe. To było ze 2 czy 3 razy na Łazarzu. Cóż... „przyjemne” spotkania. A bardzo często spotykaliśmy się „przypadkowo”... Po szkole, czekał na mnie... (śmiech pełen goryczy). Dyrektor Graja wiedział o wszystkim, bo opinia do „Marcinka” przyszła z kuratorium. Jedna była pozytywna, że dobra nauczycielka i tak dalej..., a druga, że jestem politycznie niepewna.

H. W.-D.: Ale to było związane z duszpasterstwem akademickim?

M. W.-S.: Tak, choć trochę też z budowlanką, w której przed moim odejściem była nieprzyjemna atmosfera. Przede wszystkim jednak solą w oku było to, że ja cały okres wojny spędziłam poza granicami Polski.

H. W.-D.: No właśnie, a jak do tego doszło?

M. W.-S.: Ojciec był pracownikiem ministerstwa lotnictwa i miał rozkaz stawienia się w Warszawie. Rozkaz musiał wykonać, ale wziął mamę i mnie ze sobą. Mieliśmy prywatny samochód. Wyjeżdżaliśmy z Poznania 5 września 1939 roku, kiedy mosty zostały już wysadzone. Drogą okrężną przez Wronki dostaliśmy się na szosę warszawską. W Warszawie już nikogo nie było z ministerstwa i ojciec musiał jechać dalej, to znaczy do Lublina. Potem do Lwowa i z Lwowa do Zaleszczyk. W Zaleszczykach... (dłuższa pauza) Wiesz, ja tego dokładnie

nie pamiętam, miałam 7 lat... Nigdy w domu nie rozmawialiśmy o tym i to był błąd. Nastawienie komunistyczne spowodowało, że nie poruszaliśmy tych tematów... Mogę mówić tylko to, co pamiętam. Wiem, że w Zaleszczykach ojciec kogoś spotkał i zdeponował to, co miał przekazać. Tamci ludzie na drugi albo trzeci dzień po naszym przyjeździe wyjechali, przekroczyli granicę z Rumunią. Myśmy się zatrzymali trochę dłużej w Zaleszczykach, ale po kilku dniach też pojechaliśmy do Rumunii. Byliśmy jednym z ostatnich samochodów, które przejechały przez most, bo niecałą godzinę później był nalot, zbombardowano most i przyległości, zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie, to znaczy i po polskiej stronie, i po rumuńskiej poleciały bomby.

H. W.-D.: A potem, jak słyszałam, trafiliście do Anglii...

M. W.-S.: Tak. Potem w Bukareszcie ojciec samochód sprzedał. Tam jeszcze została mu wypłacona gaża, bo ministerstwo wtedy było w Bukareszcie. I myśmy z Bukaresztu... Ojciec chyba od razu kupił bilety do Anglii. Ktoś ojca przekonał, że w Europie nie ma co szukać, że trzeba do Anglii... I pamiętam, że jechaliśmy pociągiem przez Jugosławię, z przystankiem chyba w Belgradzie, bo pamiętam Belgrad. Potem z Belgradu przejazd przez Włochy, z przesiadką w Turynie. Pamiętam Całun Turyński. Stamtąd do Francji. W Paryżu zatrzymaliśmy się chyba na tydzień, bo mama zaniemogła. Już w Bukareszcie leżała w szpitalu. Potem ta cała ucieczka dotknęła ją psychicznie i dlatego w Paryżu był dłuższy przystanek. I dopiero potem trafiliśmy do Anglii. Tam rząd już się częściowo sformował. Ja zresztą niedawno czytałam, że Polska właściwie nigdy się nie poddała, bo rząd niezależny na obczyźnie zawsze istniał. W każdym razie przez cały rok ojciec był bez pracy – na chlebie, jak to się mówi, darowanym. A ja dostałam się do szkoły polskiej prowadzonej przez Olgę Małkowską. Gdy padła Dunkierka, ewakuowano tę szkołę do Edynburga. Matka moja powiedziała, że dość już tej tułaczki. I podczas tego okropnego bombardowania byliśmy już razem w Londynie. Mama powiedziała, że absolutnie nie rozdzielamy się. Bo wcześniej rodzice zostali w Londynie, a ja byłam w Devonie. Poszłam już wtedy do angielskiej szkoły,

do podstawówki. Na początku z maluchami... Przez kilka tygodni byłam z takimi maluchami, że miałam stoliczek pod brodą. Zapewne po to, aby narobić braki językowe. A potem już trafiłam do normalnej klasy. Ale to wszystko się mamie nie podobało, więc przepisała mnie do Nottingham do szkoły Św. Józefa, którą skończyłam w terminie. Później poszłam do szkoły średniej, czyli do high school. A w 1946 r. wracaliśmy do Polski.

H. W.-D.: Ciekawe dzieje... A czy ma to jakiś związek z angloskim brzmieniem pani nazwiska?

M. W.-S.: To jest właściwie nazwisko niemieckie. Byłam niedawno u mojej przyszywanej wnuczki w Westfalii i tam bardzo dużo osób nosi nazwisko o takiej samej pisowni. Rodzina wywodzi się chyba z takiej niemiecko-polskiej rodziny Ślązaków. Kuzyn ojca usiłował odnaleźć korzenie, ale nie wiem, do czego doszedł. W każdym razie wiem, że ojciec wywodził się z majątnego gospodarstwa. Jedno z większych gospodarstw w Imielinie było własnością dziadka. Duże gospodarstwo hodowlane, podzielone później między trzech synów. Mój ojciec był najmłodszy i dostał najmniej, ponieważ otrzymał wyższe wykształcenie. Po śmierci babki zostało podzielone drugi raz. Ten kawałek ziemi, który dostał się rodzicom, wyratował nas z biedy, kiedyśmy wrócili do kraju. A mnie z kolei teraz. Resztkę tego majątku sprzedałam i to wyratowało mnie w ostatniej chwili z trudnej sytuacji po przejściu na emeryturę. Dopóki były dwie emerytury, wszystko było jeszcze do wytrzymania, ale jak mąż zmarł (w 2000 r.), zostałam na swojej emeryturze i była bieda. Właściwie jak zapłaciłam za mieszkanie, to już niewiele (gorzki śmiech) mi zostawało.

H. W.-D.: A wracając do „Marcinka”. Aktualnie wyjazdy integracyjne są w modzie, ale w tamtych czasach nie było to popularne. Skąd wziął się pomysł na wyjazdy z nami, na przykład do Tuczna?

M. W.-S.: Z harcerstwa. Ja jestem od obozów harcerskich, od wycieczek... Prowadziłam wcześniej klub PTTK. Ale za waszych czasów już nie. Musiałam zrezygnować, bo rozchorowałam się porządnie, miałam kłopoty z nerkami. A wędrować lubiłam od czasów akade-

mickich. Twoją mamę poznałam zresztą na takiej wędrówce rowe-rowej. Ja sportu żadnego nie, ale wędrówka tak. A że miałam talent organizacyjny i lubiłam to, takie wypadki były dla mnie bardzo atrakcyjne. Teraz to już mniej, ale jeszcze 3 lata temu wędrowałam. Może inaczej, ale wędrowałam.

H. W.-D.: A może teraz à propos kółek. Bo były kółka: fotograficzne, chemiczne i była na nim próba nikotynowa... Pamięta pani profesor?

M. W.-S.: Nie, nie bardzo pamiętam. Oczywiście, że było kółko, prowadziłam cały czas koło chemiczne, również olimpijskie. Do czasu przejścia na stołek dyrektorski prowadziłam kółka. Potem miałam mniej godzin.

H. W.-D.: A jak to było z tym dyrektorowaniem?

M. W.-S.: Profesor Wilczyńska była zastępcą dyrektora, ale gdy przeszła na emeryturę, trzeba było ją zastąpić. Dyrektor zaproponował stanowisko Dance Kaczmarek, ale ona została tylko rok. Potem przyszedł nowy dyrektor, nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska, i chciał sobie dobrać towarzystwo. Nie wiem, jak to się stało, ale zaproponował mnie. Tak więc zostałam na pół etatu drugim zastępcą dyrektora razem z dyrektorem Banasiewiczem, który był już pierwszym zastępcą dyrektora. Honor honorem, ale też stwierdziłam, że trochę grosza się przyda. Mąż zresztą mnie namówił, żeby to wziąć, no i zgodziłam się. Z Banasiewiczem przez rok pracowaliśmy razem. To był początek lat 80. i wtedy się zaczęły te wszystkie historyjki z marszami, z demonstracjami itp. itd. Ponieważ szkoła była solą w oku niektórych osób (właściwie codziennie na dużych przerwach był przemarsz takich panów w mundurkach), stwierdziłam, że ja jako osoba z opinią politycznie niepewnej lepiej zejść ze światła dziennego. Tym bardziej że miałam swoje poglądy, na niektóre rzeczy może inne aniżeli gros, a nie chciałam się bawić w sprawy polityczne. W tym miejscu trzeba dodać, jak działała wieczorówka w tamtych czasach. Pracowaliśmy tam na zmianę. Dwa wieczory w tygodniu dyżur miałam ja, potem był dzień przerwy i resztę tygodnia miał dyżur Banasiewicz. Był to

bałagan w tym sensie, że nie wiedziała prawica, co czyni lewica. Młodzież nie wiedziała, do kogo ma się zgłaszać, była zdezorientowana. Poszłam do dyrektora i zaproponowałam, żeby dyrektor Banasiewicz przejął zastępstwoienne, a ja przejdę do wieczorówki i zorganizuję ją całościowo. I rzeczywiście trochę przywróciłam tam porządek. Miałam panią sekretarkę bardzo dobrą i razem jakoś uporządkowałyśmy wszystko, żeby był ład i skład. Ale przystałam na to pod warunkiem, że będę nadal wykładać chemię w części dziennej. Tak więc miałam zajęcia i rano, i po południu. Siedem pełnych lat prowadziłam tę wieczorówkę. Oddałam ją dobrze ustawioną. Potem już nie wiem, jak to działało, bo kontakt ze szkołą się urwał. Banasiewicz został dyrektorem głównym i póki piastował to stanowisko, wszystko było OK. W sumie mnie się dobrze pracowało, byłam, jak to się mówi, „na swojej placówce”.

H. W.-D.: A jak to było po roku `89?

M. W.-S.: W `91 odeszłam na emeryturę. Jeszcze trochę w szkole dłużyłam, czasem brałam jakieś zastępstwa, ale nie przyjąłm już żadnych godzin stałych.

H. W.-D.: Czyli właściwie większa część kariery pani profesor przypadła na czasy komuny...

M. W.-S.: Tak. W latach 80., kiedy zaczęły się te wszystkie historie, przeszłam do wieczorówki, bo ona nie była tak inwigilowana jak dzienna. I grono profesorskie było spokojniejsze, zajęte swoim domem i pracą wieczorową, wykładami. Tam na szczęście nie politykowano.

H. W.-D.: Może dlatego, że uczniami byli ludzie dorośli?

M. W.-S.: Wiesz, z tą dorosłością było różnie... Tam były inne sprawy, wieczorówka miała inne problemy. Byli ludzie dorośli i często już pracujący, ale i młodzież. Przede wszystkim ludzie skrzywdzeni przez życie czy po jakichś perturbacjach. Dużo było dziewcząt ze szkoły baletowej, które nie dostały się do klasy przygotowującej do matury, to znaczy ich wykształcenia średniego, tego baletowego, bo na przykład

przytyły czy nie były w stanie technicznie spełnić niektórych wymagań... Potem brak niektórych przedmiotów uzupełniały u nas i maturę zdawały u nas. Było tam dużo różnej młodzieży. Po raz pierwszy zetknęłam się tam na serio z narkotykami! Bo wtedy w szkole dziennej tego nie było. Przynajmniej do mnie nie dochodziły tego typu wiadomości. A w wieczorówce problem był tak poważny, że miałam kontrakt z Monarem zawarty. Miałam opiekuna z Monaru, który pomagał.

H. W.-D.: A jeszcze wracając do naszej matury... Jak pani profesor wspomina nas w tym roku przedmaturalnym? Czy baliśmy się matury?

M. W.-S.: Nie wyczuwałam, żebyście byli przerażeni maturą. Nie pamiętam niczego takiego. Nie docierały do mnie żadne skargi ani problemy. Wydawało się, że byliście przygotowani tak „pewnie”. A że się trochę kombinowało, to wszędzie się kombinuje...

H. W.-D.: Oczywiście! Inaczej świat nie byłby ciekawy.

M. W.-S.: No właśnie! (śmiech)

H. W.-D.: A z którą klasą z tych wszystkich zachowała pani profesor stały kontakt?

M. W.-S.: Najbliższy kontakt miałam z klasą męską, w której miałam pierwsze wychowawstwo. Duża grupa młodzieży stamtąd należała do PTTK. Były wszystkie te wędrówki i obozy... Muszę przyznać, że najlepiej uczyło mi się właśnie męskie klasy. I te pierwsze koedukacyjne. Była grupa dziewcząt, które pracowały z dużym oddaniem w kółku chemicznym. Nazwiska mi teraz uciekają, ale te dziewczyny stanęły do olimpiady chemicznej!

H. W.-D.: To była zapewne dla tych dziewcząt forma wyzwania...

M. W.-S.: Chyba tak. Bardzo często były tam powiązania rodzinne między chłopcami a dziewczętami. Wspomina się ich bardzo dobrze. Potem już było coraz więcej dziewcząt w klasie, a chłopaków coraz mniej... I w pewnym momencie ten „Marcinek” jakby... spłaszzył się.

„Ja sportu żadnego nie..., ale wędrówka zawsze tak!”

Mieliśmy nadzieję, że dziewczęta podniosą kulturę. Bo chłopacy tak między sobą, to wiesz... ten język jest taki...

H. W.-D.: Koszarowy?

M. W.-S.: Koszarowy! Dobre określenie! Można było się spodziewać, że on trochę zmięknie, a tymczasem poszło w drugą stronę (śmiejch).

H. W.-D.: Ale za naszych czasów nie było przecież tak, żeby dziewczyny źle się wyrażały...

M. W.-S.: Wiesz, wasza klasa, jeszcze raz podkreślam, wyróżniała się bardzo wysoką kulturą. Tam było tylko parę osób, co do których miałam pewnego rodzaju wątpliwości, ale... Ale tak, to wiesz, porównaj sobie... [tu padają – w formie pochwały – imiona kilka osób, które pominę milczeniem, a potem pani profesor mówi o jednej z uczennic, która potrafiła powiedzieć, co myśli, gdy się wściekła; ustaliłyśmy, że imię zostanie między nami – przyp. H. W.-D.). Ale ogólnie mam poczucie pewnej kultury waszej wyniesionej z domu.

H. W.-D.: Prawie półtorej godziny już tak rozmawiamy. Czy pani profesor nie jest zmęczona?

M. W.-S.: Nie, ja tu sobie wygodnie siedzę (śmiejch). Po ciemku, nie zapaliłam nawet światła (śmiejch).

H. W.-D.: A to sprzyja wspomnieniom...

M. W.-S.: Tak, oczywiście!

H. W.-D.: Pozostaje mi podziękować pani profesor za rozmowę, za poświęcony czas i za cierpliwość. Życzę dużo zdrowia i spokojnej, dobrze zasłużonej emerytury.

O moich korzeniach i wspólnotach

Wspomina **HENRYK KRZYŻANOWSKI**

Człowieka kształtują korzenie oraz wspólnoty, do których należy lub należał. Moje korzenie to sprawa nieprosta. Nieboszczka SB tak o mnie napisała w swoich aktach w latach 80.: „Pochodzi z rodziny obszarniczej i jest bardzo negatywnie ustosunkowany do socjalistycznych realiów”. Niby prawda, choć status ziemiański skasowali rodzinnie Niemcy zaraz jesienią 1939 roku, wypędzając nas do Generalnej Guberni; potem przyklepali to bolszewicy reformą rolną. Zrobili to niejako zaocznie, nie czekając, aż porucznik Józef Krzyżanowski, wzięty do niewoli pod Kutnem, wróci z Oflagu w Woldenbergu. A ja jestem rocznik 1946 – więc czy moje korzenie są w ciasnocie i zgrzebności komunalnego bloku czy w nigdy niezazanym uprzywilejowaniu ziemiańskiego dworu? Zapewne trochę tu, trochę tam. W rodzinie tradycje ziemiańskie były bardzo kultywowane, a spotkania rodzinne upływały na niekończących się wspominkach dorosłych o rozmaitych wydarzeniach sprzed wojny. Zatem korzenie ziemiańskie też niewątpliwie trzymają mnie w konkretnym miejscu na ziemi.

A wspólnoty? Te wyznaczał naturalny bieg życia; najpierw beztroskie (choć bez Ojca) podwórkowe dzieciństwo w biedzie wśród życzliwych sąsiadów z bloku, trydencka ministrantura w gotyckiej farze, plebejska podstawówka, już trochę bardziej elitarne liceum. Wyjazd

z Sieradza – romanistka i anglistka na UAM, praca w liceum i na uniwersytecie, potem Jan Paweł II, Solidarność, stan wojenny z ciągiem dalszym, wreszcie rok 1989 i III RP. Bardzo kochana Żona, rodzina, przyjaciele, także ci od wspólnego „knucia”, różni pracodawcy, własna działalność, wydawanie kursów językowych na kasetach, prowadzenie olimpiady anglistycznej, od jakiegoś czasu także publicystyka i rymowanki na Facebooku.

„Marcinek” – wspólnota dobrej szkoły

W „Marcinku” znalazłem się we wrześniu 1969 r. jako świeżo upieczony magister romanistyki. Zostałem jednak zatrudniony jako... anglista. Miałem ukończony zaledwie jeden rok filologii angielskiej, ale anglistów z dyplomami było wtedy jak na lekarstwo. To efekt luki z czasów stalinowskich, kiedy zamknięto ze względów ideologicznych większość anglistyk, poznańską również. Dyrektor Ludwik Graja postawił mi warunek kontynuowania studiów w trybie zaocznym, co rzecz jasna zgadzało się z moimi własnymi zamiarami. W liceum nie było na razie zbyt wiele godzin angielskiego, więc etat dopełniałem, ucząc francuskiego. Jednak nie w klasach poszerzonych, które były oknem wystawowym „Marcinka”, a w zwykłych, tych z końca alfabetu.

Mam kiepską pamięć sytuacyjną, więc niewiele pamiętam ze swoich pierwszych tygodni w szkole. Wszystko było nowe – koledzy nauczyciele, większość w wieku dobrze średnim, wypełnianie dziennika z liczeniem rozmaitych często dziwacznych statystyk. Solidna, poniemiecka architektura szkoły z lepszymi i gorszymi salami. Rzecz jasna, najbardziej liczyły się dzieci, o pardon, młodzież. Wchodzisz do klasy zaraz po dzwonku, hałas pauzy szybko cichnie, ustępując miejsca ciszy, z czterdziestoma plus parami oczu lustrującymi cię uważnie, co było przyjemne bo dawało psychiczną ostrogę. „Bon jour mes amis!” „Bon jour, Monsieur”. Sprawdzasz listę i potem już organizujesz lekcję.

Lubiłem uczyć języka, wkładałem w to sporo energii i pomysłowości. Pamiętam skandowanie chórem wzorów zdań i dialogów czy

uczenie śpiewu francuskich i angielskich piosenek. Albo wymyślane na użytek konkretnej lekcji ćwiczenia, często wymagające schematycznych rysunków kredą na tablicy. Niektóre z pomysłów wykorzystałem potem, układając kursy dla samouków. Testy, które szybko stały się moją specjalnością, a które wcale nie musiały być wtedy zapowiadane.

Czy byłem dobrym nauczycielem? Myślę, że nie najgorszym, choć nie miałem doświadczenia ani przygotowania metodycznego, czasem nie potrafiłem zapanować nad klasą (z reguły ponad 40 osób), a czasem zbytnio polegałem na improwizacji (czyli mówiąc wprost – szedłem na lekcję słabo przygotowany). Ale generalnie się starałem.

A z drugiej strony moimi sukcesami byli uczniowie, którzy startując zupełnie od zera (wtedy nie było kursów angielskiego dla przedszkolaków ani nawet dla uczniów podstawówek, nie mówiąc już o wyjazdach), potrafili całkiem porządnie opanować język bez żadnych dodatkowych lekcji. Było ich niemało, kilkoro zostało anglistami.

Zawsze starałem się traktować uczniów równo, bez względu na poziom inteligencji, czy byli dla mnie mili czy niespecjalnie, czy uczyli się chętnie czy nie. A także niezależnie od urody pańien. Nie było to wcale łatwe i wymagało ode mnie sporej czujności, zważywszy, że „pan profesor” miał wtedy 23 lata (aż trudno uwierzyć), był zatem tylko o siedem czy osiem lat starszy od swoich uczennic. Byłem co prawda szczęśliwie zaręczony, ale w genach otrzymałem potężną dawkę wrażliwości na kobiecą urodę. Mam nadzieję, że pod tym względem jakoś podołałem.

Kadra pedagogiczna „Marcinka” składała się w większości z rzetelnych i doświadczonych nauczycieli, znacznie starszych ode mnie. Obowiązywała wzajemna lojalność, co w połączeniu z życzliwością wobec uczniów w pewien sposób łagodziło pozornie sztywny system. Było niepisana zasada, że wychowawca klasy pełni rolę adwokata uczniów słabszych czy sprawiających kłopoty. „Panie kolego, ja wiem, że ten Jerzyk to leń patentowany, ale on ma ciężko w domu, bo ojciec pije”. Takie rozmowy były w pokoju nauczycielskim na porządku dziennym. Na ogół interwencje wychowawców były skuteczne, co mnie – żóltodzioba przejętego misją dbania o poziom – czasem bulwersowało. Dziś widzę, że racja była po stronie obrońców.

Dość drastycznym, a w sumie humorystycznym przykładem zderzenia młodzieńczej pryncypialności z doświadczeniem był udział w dorocznym rajdzie do Dąbrówki, na który w pierwszym roku pracy w maju 1970 roku zostałem wysłany razem z romanistką Paulette Jagodzińską. Ze strony koleżeństwa był to typowy przykład tzw. frycowego, bo Paulette była moją koleżanką z roku, przyjętą do „Marcinka” razem ze mną. Na studiach nie uczestniczyłem w rajdach i na miejsce biwaku dotarłem nieco spóźniony. To, co ze zgrozą zastałem, to jakaś chyba stodoła wypełniona młodzieżą męską w stanie wskazującym na tzw. spożycie. Wyobraźnia podsuwała mi pożar, który niechybnie wybuchnie w nocy, do czego jednak nie doszło. Rano odbył się apel z przybyłymi władzami i wszyscy wrócili do Poznania zadowoleni, prócz Paulette i mnie, rzecz jasna. My, pałając świętym oburzeniem, wymusiliśmy nadzwyczajną radę pedagogiczną w poniedziałek na dużej przerwie. Szacowne grono i dyrektor, pozornie dzielając nasz gniew, sprawnie nas spacyfikowało i cała rzecz skończyła się bodaj kilkoma obniżonymi stopniami ze sprawowania czy może tylko wezwaniem rodziców. Pamiętam swój podziw dla profesora Marii Mąkówny za waleczność, z jaką na owej radzie broniła swoich ancymonów. Dla debiutanta w nauczycielskiej profesji było to niewątpliwie ważne doświadczenie. W tamtym czasie nie wiedziałem, że mój pobyt w „Marcinku” potrwa tylko pięć lat i życzliwość, jakiej doznawałem od grona pedagogicznego, niezwykle mnie dopinguwała. Czułem się wtedy pełnoprawnym członkiem szacownej wspólnoty nauczycieli „przodującego zakładu oświatowego nr 1” i było to jakoś nobilitujące.

Wbrew temu, co można by sądzić, w codziennej pracy nie czuło się politycznego nacisku opresyjnej komuny. Były oczywiście serwityuty takie jak obowiązkowy udział w pochodzie pierwszomajowym, groteskowe wyjazdy na wykopki czy rocznicowe akademie. Ale to było coś w sumie zewnętrznego. Dość humorystycznie przebiegła próba zapisania mnie do PZPR. W pustym pokoju nauczycielskim dyrektor, wyraźnie zażenowany, zagadnął: „Wy byście, kolego, hm, hm, do organizacji się nie zapisali?” „Nie, dziękuję za zaufanie, Panie Dyrektorze, ale nie”. Słowo „organizacja” kojarzyło się wtedy jedno-

znacznie, z pewnością nie chodziło o żadną tajną organizację niepodległościową. Mimo wszystko poczułem wtedy szacunek dla Dyrektora za to, że wyraźnie wbrew sobie jednak próbę tę podjął. Ja na jego miejscu po prostu bym nakłamał zwierzchności, że „rozmawiałem, ale nie chciałem”. A on kłamać widać nie potrafił.

Ciekawe, że presję polityczną zacząłem odczuwać pod koniec mojej pracy w „Marcinku”, czyli za wczesnego Gierka. Nowy dyrektor zaczął wtedy nastawać na wychowawców, by zwiększali „uharczerzowanie” swoich klas. Z pewnością sam tego nie wymyślił.

Moja klasa G – wspólnota serdeczna

Wychowawcą klasy G zostałem dopiero po roku, w ich klasie II, zastępując Antoniego Mrozka, świetnego wuefistę i chyba rusycystę, który okazywał mi potem dużo sympatii i gotowości do pomocy. Nie wiem, dlaczego tak zostało to urządzone. Może dyrektor Graja, który szalenie dbał o „Marcinka”, chciał przez ten pierwszy rok zobaczyć, czy się nadaje?

Tę klasę lubiłem od początku – była bardziej zróżnicowana socjalnie niż klasy z początku alfabetu, ale bardzo szybko się zintegrowała. To była integracja pozytywna, nie skierowana wrogo na zewnątrz, a ułatwiająca nauczycielowi współpracę. Bardzo szybko dało się rozszyfrować, kto jest ważny, kto mniej, a kto pozostaje trochę z boku (więc może trzeba go jakoś włączyć?). Ton nadawały dziewczęta, co w wieku 15 lat jest chyba normalne, więc o ich względy należało się starać w pierwszym rzędzie. Nie było to ani trudne, ani niemiłe. Do dziś pamiętam ich nieco złośliwe uśmiešky, kiedy przekazywałem jakieś administracyjne polecenia, czy próbowałem z własnej inicjatywy towarzystwo to cywilizować. Ale to była inteligentna złośliwość życzliwa (oksymoron? wcale nie), taka, która pozwalała obu stronom zachować autonomię. Szybko odkryłem, że nazywają mnie Gacek („A uszy miał, ogromne, muskularne...”), co dość mnie rozbawiło. Ogólnie rzecz biorąc, ze strony moich wychowanków spotkałem się z dużą sympatią (na pewno sprzyjał temu mój wiek), co bardzo ułatwiało mi pracę aż do ich matury. Wystarczyło tego nie zepsuć.

Ważną częścią pracy była współpraca z rodzicami. W tamtym czasie pozycja nauczyciela była absolutnie niekwestionowana. Rodzice na ogół bardzo chętnie współpracowali, niektórych trzeba było nawet mitygować w karaniu swoich pociech. Wyklócających się o oceny czy skłonnych do pieniactwa wtedy nie było w ogóle.

Wydarzeniem ogromnie integrującym były rajdy klasowe, których głównym organizatorem był zmarły przed kilku laty Michał Sobczak. Pierwszy zbiegł się z planowaniem wycieczki – wtedy był to ważny element organizacji roku szkolnego. Incydent z Dąbrówką tylko wzmocnił moje obawy przed wyjazdami do znanych miejsc turystycznych typu Kraków czy Gdańsk. Oczyma duszy widziałem niekoniecznie udane próby spacyfikowania moich Drogich Baranków w hotelach, bieganie z piętra na piętro i negocjacje z recepcją. A w schronisku szkolnym w nadnoteckiej głuszy byliśmy sami. Więc kiedy Michał przyszedł z planem pierwszego rajdu, zaczynając od zapewnienia, że całą organizację bierze na siebie, chętnie się zgodziłem. Odbyły się dwa takie rajdy i z obu mam jak najlepsze wspomnienia.

Wspólnym przedsięwzięciem wychowanków była Kronika klasowa, prowadzona w albumie z czerwonymi okładkami zapewne z inicjatywy Dziewcząt Kierujących (dziękuję Ci, Wiesiu!), oczywiście w ściślejszej tajemnicy przede mną. Byłem świadomy, że coś takiego istnieje, przez co najmniej dwa lata (uczniom nawet się nie śni, że nauczyciel spacerujący po klasie widzi WSZYSTKO). Ale jakby na WSZYSTKO reagował, życie byłoby nie do zniesienia. Odchodząc ze szkoły, uroczycie mi ją wręczyli i nietrudno sobie wyobrazić, z jaką ciekawością zabrałem się do lektury. Moja ś.p. Żona, dobrze orientująca się w moich nauczycielskich perypetiach, była pełna podziwu dla literackiego poziomu i humoru wielu wpisów. A była z wykształcenia polonistką.

Nadeszła matura i rozstanie z wychowankami, niewolne od emocji. Wszystkich potrafię do dziś rozpoznać z imienia i nazwiska na zbiorowej fotce. Myślę, że miałem szczęście, trafiając na ten akurat zespół uczennic i uczniów, i jestem pewien, że sporo im wszystkim zawdzięczam. Choćby to, że wzmocnili mój optymistyczny stosunek do życia i życzliwe podejście do napotykanych ludzi. Z niektórymi dawnymi uczniami do dziś łączę mnie przyjaźń.

Solidarność – wspólnota najważniejsza

Odszedłem z „Marcinka” rok po klasie G, przechodząc do pracy na anglistyce. Był to dla mnie awans zawodowy, dający mi szersze perspektywy życiowe. Uczyłem metodyki, co nie bardzo lubiłem, uważając, że jest to trochę tak, jakby uczyć pływania bez basenu. Wkrótce pojechałem na stypendium do Stanów, po powrocie w 1981 r. obroniłem doktorat i wyspecjalizowałem się w testach językowych. Aż do roku 2022 układałem testy olimpiady anglistycznej dla wszystkich etapów.

W drugiej połowie lat 70. w kraju zaczął się ruch opozycyjny. Bez wahania włączyłem się, co na początku polegało przede wszystkim na kolportażu wydawnictw poza cenzurą. Ta wspólnota ludzi podobnie myślących dość szybko rozrastała się wśród inteligencji, zwłaszcza po wyborze Jana Pawła II i jego pierwszej pielgrzymce do Polski. Zaraz po podpisaniu Porozumień Gdańskich rzuciłem się w wir tworzenia NSZZ „Solidarność” na uniwersytecie i w regionie. Wybrano mnie do zarządu regionu i zostałem delegatem na zjazd Solidarności w gdańskiej „Olivii”. To było 13 miesięcy niezwykle wytężonej działalności w pospolitym ruszeniu albo inaczej konfederacji Polaków. Wiele z zawartych wtedy znajomości i przyjaźni trwa po dziś dzień. Stan wojenny tej wspólnoty nie zniszczył. Przeciwnie, wzmocnił wzajemne więzi ludzi, mimo że niektórzy, tak jak ja, zostali internowani, a innych nęcano inwigilacją i skazywano w politycznych procesach za trwanie przy „Solidarności”. Wspólnota lat 80. opierała się na wzajemnym zaufaniu i przekonaniu, że nie wolno dać się na powrót zapędzić do klatki realnego socjalizmu. Niezależnie od tego, jak się to wszystko skończyło, uważam ten okres za najważniejszą część mojego życia publicznego. W pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że wtedy wszystko było czarno-białe, a my byliśmy po stronie białej.

Zwieńczeniem działalności solidarnościowej był czynny udział w organizacji wyborów w czerwcu 1989 (byłem rzecznikiem Komitetu Obywatelskiego), a potem roczna praca dla Wojciecha Kaczmarka, dobrego przyjaciela z „Solidarności”, który został pierwszym po przełomie prezydentem Poznania.

Po roku odszedłem, bo nie chciałem rezygnować z zawodu anglisty, a działalność polityczna mnie nie pociągała. Absolutnie nie podzielam przy tym prostackiego poglądu, że politycy to głupcy i darmozjady. Nie, w demokracji są oni niezbędni, ale ja po prostu wolałem uczyć angielskiego. Na ostatnie dziesięć lat przed emeryturą wróciłem na uniwersytet, aby prowadzić autorski intensywny kurs dla zaawansowanych w Instytucie Językoznawstwa. Bardzo to lubiłem, bo był to chyba najbardziej owocny okres mojego nauczania. Ale to już inna historia.

Stowarzyszenie Wychowanków Gimnazjum i Liceum
im. Karola Marcinkowskiego
Rok założenia 1989

60-809 Poznań, ul. Bukowska 16, NIP: 781-13-83-731

Konto: Santander Bank S.A., 6 Oddział w Poznaniu, 61-967 Poznań

Numer dla wpłat krajowych: 54 1090 1362 0000 0000 3601 8123

Numer dla wpłat z zagranicy: PL54 1090 1362 0000 0000 3601 8123, SWIFT WBKPPLPP

www.myzmarcinka.pl

